WIANEK

Miéj ty sobie pałace, ja mój domek ciasny,
Prawda, nie jest wspaniały, szczupły, ale własny.

I. Krasicki.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



Painted by W. Boxall. Engraved by J. Thomson.

ZAMYŚLONA.

WIANEK NOWOROCZNY

NA ROK

1837.

ZEBRANY i UŁOŻONY

przez

Karola Korwella.

Zawierający w sobie oryginalne utwory prozy i poezyi,

Z sześcią Rycinami i Muzyką.

WYDANY NAKŁADEM

JOZEFA KACZANOWSKIEGO.

W WARSZAWIE,

w Drukarni O. Glücksberga przy ulicy Senatorskiey N° 467.

ZAMYŚLONA.

(Z RYCINĄ)

»Raz się pączek, raz rozwinie,
»Gdy go wiosna wita:
»I w życiu, tylko dziewczynie
»Raz szczęście zakwita.

»Sen się miły prędko płoszy
»I z powiek ulata,
»Lecz prędzéj, chwilkę roskoszy
»Długie tracą lata.

»Słuchaj piękna! słuchaj głosów
»Co brzmią w piersiach miło.
»Pytaj serca i niebiosów,
»Czy szczęście przybyło!

⁂

»A gdy czułość przy urodzie
»Wiek młody umili,
»Kiedy nieba z sercem w zgodzie
»Nietrać piękna! chwili.

⁂

»Tobie życie mile spływa,
»Mile wśród igraszek;
»Lekka, płocha i szczęśliwa,
»Jak w powietrzu ptaszek.

⁂

»I ja śpiewam; brzmią i giną
»Lekkie, płoche dzwięki;
»Lube głosy z ust mi płyną,
»Ale w sercu jęki.

⁂

»A więc serc swych w takim stanie,
»Pilnujmy oboje;
»Przy tobie, szczęście zostanie,
»A przy mnie—łzy moje.—«

I przebrzmiała piosnka czysta—
Rzucił okiem z boku,
A iskra, jak łza ognista,
Jaśniała mu w oku.

I przebrzmiała piosnka czysta—
Westchnął przy spojrzeniu,
A iskra, jak łza ognista,
Zagasła w westchnieniu.

Ona przy nim jest dla słuchu,
Lecz jakby na szkodę.
Dzwięk piosenki brzmi jéj w uchu,
A drży serce młode.

Myśli zlatują się tłumem
Co grały wesoło,
Jak kamieniem, tak rozumem
Obciążone czoło.

Pochyliła lekko głowę,
Kędziory opadły,
Lica miłe, wpół-różowe,
Jak lilijka bladły.

Oczy w jedném miejscu trzyma,
I w takim sposobie,
Jak gdyby chciała oczyma
Co wynaleść sobie.

I białe składa ramiona,
I z wdziękiem uroczém,
Zadumana— *zamyślona* —
Więc zgadnijcie o czém?

A. J. Szabrański.

Wysoki-Zamek
1594.

I.

Na rynku Lwowskim, przed jedną z okazalszych kamienic z żelaznym gankiem, przy którym zawieszone złote winne grono, zwiastowało skład wina zamożny: stało na schodkach kamiennych młode dziewczę, strojnie i bogato przybrane. W oczach czarnych, jaśniejących, malowały się: szczérość, niewinność i żywe namiętności. Skłonieniem głowy, i miłym uśmiechem witała przechodzących znajomych; lecz niestała teraz dla pokazania się na

rynku, ale oczekiwała z utęsknieniem ojca: bo godzina oznaczona powrotu już dawno uderzyła na wysokiéj wieży ratusza. Ile razy po bruku, od strony bramy *Halickiéj*, usłyszała turkot, odwracała z radością głowę, i dłonią zasłaniając oczy przed promieniem słońca, wypatrywała, czy to nie kolebka Pana Ojca. Minęła godzina, a czarno-brewa Pelagia stała na schodkach, wzdychając smutnie, ile razy turkot ją zawiódł; nareszcie usłyszała głos, ze sklepu wołającéj matki: »Pelasiu! Pelasiu!« i dziewczę z pośpiechem wróciło do ciemnego sklepu.

W godzinę potém, wóz ładowny stanął przy samych schodkach kamiennych; zeskakuje zeń młodzieniec i śmiało wchodzi. Nie było w sklepie Pani *Jurowej* (jak nazywano po mężu matkę Pelagii) ale zostało same dziewczątko, które, na widok cudzoziemca, i do tego urodnego, upiekło raka wyżéj oczu, a dając znak, aby spoczął na ławie, skórą dzikiego wieprza obitéj, wybiegła po matkę.

Młodzieniec przybyły, równie się zmięszał widokiem Pelagii; zachmurzył oblicze, zmar-

szczył czoło, i przyłożył rękę do serca, jakby tam, czy ból jaki, czy wzruszenie uczuł. Usiadł na ławie i patrzał obojętnie w głąb ciemnego sklepu, gdzie beczki wina stały porządnie ustawione, a w szafach gąsiory i butelki.

Wkrótce przybyła Pani Jurowa w towarzystwie córki; powitała uprzejmie przybyłego cudzoziemca, i zaczęła mu zadawać pytania, naprzód po polsku, później po rusku: ale młodzieniec kręcąc głową, dał poznać, że nierozumie żadnego z tych języków. Była tém wielce zmartwiona poczciwa niewiasta; przecięż widząc strudzonego, poleciła córce mieć o podróżnym staranie, a sama się na chwilę oddaliła ze sklepu.

Pelagia nalała puhar cynowy wina węgierskiego, i podała młodzieńcowi. Przyjmując podany jedną, drugą ręką uchwycił jéj dłoń białą, i oczy iskrzące zatopił w obliczu dziewczęcia. Żywy rumieniec okrył jéj lica, a nie mogąc ręki swojéj wyrwać, spuściła oczy ku ziemi. Kiedy po chwili spojrzała, młody podróżny, już się od niéj odsunął, wypuścił jéj

dłoń białą z drżących ręku, ale oczy świeciły mu jak dwie lampy, i ciągle utkwione na jéj oblicze.

Nagle turkot powozu usłyszeli zarazem. Pelagia z wykrzykiem radości wybiega, i na kamiennych schodkach ściska osiwiałego ojca, a podróżny, po ukłonie, wyjmuje pismo i oddaje Panu Jurowi.

Starzec przeczytawszy z uwagą, zaczął rozmowę po łacinie z przybyłym, a żona i córka dowiedziały się w prędce, że młodzieniec ten, jest Włoch rodem, bogaty, nazywa się *Michelini*, i przywiózł wyborne wina z wyspy Krety.

Prokop, parobek Pana Jura, poczciwy kmieć z Pokucia, opowiadał tegoż dnia w gospodzie swoim towarzyszom, że przybył jakiś *Memec*, młody i gładki, a przybył z takiego miejsca, że tam niema innych zwierząt jeno same krety, i dlatego ta ziemia nazywa się Kreta.

II.

Na *Wysokim-Zamku*, co górował ponad miastem, był burgrabią *Białoskurski*. Człek

podżyły i stateczny, a cnoty niepodejrzanéj. Poważna siwizna ubieliła mu głowę, wąsy i długą brodę. Miał dwunastu synów, wszystko wyrostki dojrzałe: bo najmłodszy dwadzieścia lat kończył.

Matka, podeszła niewiasta, kochała wszystkie syny zarówno, a jéj serdeczne przywiązanie wyznaczało się szczególnie, że żadnego prośbie nic nie odmówiła; nawet kiedy zbłądził, zasłużył na chłostę który, ukrywała przed surowym ojcem błędy niemałe synów. Starzec pochylony wiekiem, zajęty obowiązkami służby zamkowéj, przy słabym wzroku, dostrzegał przecię niekiedy, że synowie rzadko doma siedzą: matka jednak, na zapytanie męża zaraz ich wymawiała, tłumacząc, że poszli albo do kościoła, albo za sprawunkiem do miasta z jéj polecenia. Tak upływały lata. Białoskurski żył w tém błogim omamieniu, że syny spłodził cnotliwe: a gdyby wiedział, co tajném było i poczciwéj matce, zapłakałby piołunowemi łzami, i rzucił klątwę na bezbożne głowy.

Nieraz matka czuwając w noc długą, żeby

odemknąć furtę zamkową hulającym synom, zdrzymnęła się, a przecięż usłyszała zawsze uderzenie rekojeścią szabli w furtę, i co zdążyła biegła staruszka z kluczem, psykając jeno, żeby spiącego nie zbudzono ojca. Nazajutrz przybierała postać niestrudzonéj bezsennością; ale starość potrzebuje wygody: coraz ta zaślepiona matka dłużéj czuwając, słabła na zdrowiu, nieśmiejąc nigdy zapytać żadnego, co robili? zkąd wracają?.

W dzień niedzielny, już dwunasta po północy na zegarze uderzyła, gdy staruszka, z przerażeniem usłyszała, nietylko silne uderzenia w furtę, ale nawet głosy jakby drżące z bojaźni: »Matko! otwiéraj prędzéj!« Zaledwie zdążyła otworzyć, wpadło pomięszanych dwunastu synów z dobytemi szablami i zaraz furtę zamknąwszy, podparli żelaznym drągiem, nakazując matce, żeby nieotwierała nikomu, chociażby jak najmocniéj wybijano.

Biedna niewiasta pierwszy raz w życiu poznała, że i jéj synowie mogą bydź winni. Pięciu dźwigało duże tłomoki, a każdy niemal

był we krwi zbroczony. Przeżegnała się z przestrachem wracając do izby, gdy synowie biegli z pośpiechem ukryć zdobycz w tajnikach zamku. Jeszcze niezgasiła lampki, gdy usłyszała liczne głosy, ażeby otworzono furtę zamkową. Stara uklękła przed świętym obrazem i modliła się szczérze, aby wszystko złe Bóg oddalić raczył. Ale głosy wołały coraz liczniejsze. Wkrótce zabłysła wielka światłość, a uderzenia kilku toporów zachwiały w posadzie mocno okowaną furtę. Zbudzony ze snu starzec, porywa na barki węgierski kożuch, i dobywszy karabeli, z latarnią chce wychodzić; lecz ujrzawszy żonę klęczącą przed obrazem: »A co wasze tak późno porabia? Gdzie synowie?«

Zadrżała na to zapytanie i umilkła: a Białoskurski słysząc coraz rosnącą wrzawę, wychodzi na podworze, zapytuje czego chcą, i czego o tak późnej dobie wybijają do zamku? —»Otwórz burgrabio! otwórz! albo sami wysadzim i bramę, i furtę!«

—»Na rany Chrystusowe!« krzyknął z gnié-

wem starzec, — »jeżeli się który odważy, to mu łeb odetnę, jak głowę kapusty!«

— »Nas tu więcéj, niebojémy się ciebie! otwieraj stary, bo twoje syny złodzieje i rozbójnicy!«

— »Tak, złodzieje! zbójcy!« zawołało kilkadziesiąt głosów.

Burgrabia oniemiał na tak ciężkie zarzuty swemu imieniowi i swojéj krwi zadane. Chciał co odrzéc, ale głos utracił, zadrżał i upadł na wilgotną murawę, bez przytomności.

Tymczasem za podwojonémi razy furtę wyłamano, i do 60 zbrojnych przedmieszczan Lwowa wtłoczyło się do zamku. Z okropnym wrzaskiem wpadli do mieszkania starców, zabrali wszystkie klucze, poczęli przy zapalonych łuczywach przeglądać cały zamek. Burgrabia przyszedłszy do siebie, zawlókł się do łoża, i upadł nań zalany łzami, a biédna niewiasta, klęcząc noc całą, prosiła nieba za synów, bo w jéj oczach byli niewinnymi! Hukliwa wrzawa coraz ucichała; nadedniem mieszczanie opuścili zamek, nieznalazłszy ani synów

burgrabiego, ani przemocą zabranych i pokradzionych rzeczy.

Nazajutrz, kilku obywateli stanęło przed starcem, i wyliczając mu kradzieże i rabunki synów, żądali u zgrzybiałego ojca wynagrodzenia za krzywdy, i surowego ukarania rozpustnych synów. Nieszczęśliwa matka, w rozpaczy załamując ręce, przeklinała życie własne, że doczekała się takiéj hańby, a starzec złamawszy szablę z rodzinnym herbem, plunął nań z pogardą, i drzewo genealogiczne, wiszące w pierwszéj izbie podarłszy, zdeptał nogami, i wyszedł z zamku. Osłabione kroki powlókł do miasta; lecz zaledwie zbliżył się pod ratusz, głosy: »Idzie ojciec złodziei, i zbójców» zakrwawiły mu serce. Spojrzał z pogardą na motłoch wrzeszczący, i w rozpaczy silniejszym krokiem wszedł do sali, gdzie stan rycerski już był zgromadzony.

Dwóch Konsulów miasta: Paweł Jelonek i Stanisław Gąsiorowski, słuchali oskarżeń licznych na synów Białoskurskiego, gdzie do-

wodzono ich rabunki i kradzieże. Wszyscy, ze zgrozą nie wątpiąc o zbrodniach dwunastu synów, wołali: »złodzieje! zbójcy! zabić! zabić!« Konsul Jelonek powstał z krzesła, i wniósł w gronie rycerskiém, aby ojca zgrzybiałego, od sprawowania urzędu burgrabiego oddalić, a zamek, teraz łotrów jaskinią, poczciwszemu oddać w zarządy.

Starzec niepomyślał nigdy o téj hańbie do wczorajszéj nocy; teraz słysząc swoje imię spotwarzone, siwiznę zhańbioną, cześć odjętą, wystąpił na środek. Spojrzał obłąkanym wzrokiem, chciał się bronić, ale upadł na środku komnaty. Litościwsi przybiegli podźwignąć nieszczęsnego ojca; ale piérwszy zobaczywszy twarz zsiniałą i nabrzmiałą, porwał za rękę i wykrzyknął: »nieżyje!«— Na tragach wyniesiono burgrabiego ciało do *Wysokiego-Zamku*, a głosy: »ojciec zbójcow i złodziei!« obiły się jeszcze o mury i baszty dawnego grodu, gdzie w tajnikach ukryci młodzi zbrodniarze, oszukali czujność przedmieszczan!

III.

Miesiąc upłynął od téj doby, kiedy razem we Lwowie rozmawiano, o przybyłym włochu, pięknym Michelini, i o śmierci starego burgrabiego. Konsulowie miasta, litując się nad stanem biednéj wdowy Białoskurskiéj, zostawili jéj dawne pomieszkanie, z warunkiem, że żadnego z synów nie przechowa. Zapłakana i stroskana matka przyrzekła, a jednakże następnéj nocy otworzyła furtę zamku synom, co zaniechawszy przedmieść Lwowa, w dalsze strony na wyprawy chodzili.

Ciało zmarłego burgrabi leżało na prostym tapczanie, okryte białém prześcieradłem; baba szpitalna i dziad z katedry, siedzieli przy nim, a nieszczęśliwa wdowa, wpuściwszy synów do zamku, usiadła na dębowéj ławie, i zczerwieniałe oczy od płaczu, zwróciła na bladą twarz zmarłego męża. Dwunastu synów weszło naówczas do komnaty, i wszyscy wieńcem uklękli wokoło ciała zmarłego ojca; wszyscy jednem byli uczuciem przejęci: żalu do ludzi, co niby

przyprawili o śmierć ojca: a niepomnieli, że sami są sprawcami zgonu cnotliwego starca. Tak teraz oddychali jeduém uczuciem, jak jedno uczucie zapalało ich, conoc niemal, do rozbojów i kradzieży.

Matka i wdowa, zapomniawszy o zbrodniach swego potomstwa, z boleści przechodziła do radości, gdy odwróciwszy oczy od trupa męża, spojrzała na urodę swoich synów. A było czego zazdrościć: topolowéj postaci, czerstwego lica, dorodni, mogli bydź chlubą niejednéj rodziny, podporą niejednego ojca i niejednéj matki. Nazajutrz po pogrzebie ojca, nocną dobą, zebrali się razem w Bartatowskim lesie: bo ci, do których powzięli urazę, sami wpaść mają w ich ręce.

Dwaj konsulowie miasta, którzy w gronie rycerskiém, na Lwowskim ratuszu, słuchali skarg na synów burgrabiego, jechali konno wązką drożyną. Noc była niewidna, a w gęstym lesie zaledwie można dojrzeć krętą drogę. Nagle ujrzeli się oskoczeni, i nim za rękojeście ujęli szabli, już zsadzeni z koni, leżeli skrępo-

wani na ziemi. Jeremi, syn najstarszy, przystąpiwszy do Pawła Jelonka :

—»Zbrodniarzu!« zawołał wściekle, »przyczyno śmierci ojca, gotuj się na śmierć, bo jużem ci porachował godziny żywota—ostatnia wybije zaraz!«

Konsul niestracił odwagi, a towarzysz jego począł wymową łagodzić zaciekłych napastników, gdy usłyszano tętent koni. Jeremi przyłożył do ziemi doświadczone ucho, i porachował, że trzydziestu zbliża się jezdzców, a są zbyt blisko; dał hasło braciom, i w mgnieniu oka rozpierzchli się po lesie. Zaraz przybyli towarzysze pancerni, uwolnili z więzów obu konsułów, i razem ruszyli drogą do Lwowa. W krótce długi poświst rozlegał się po lesie, a dwunastu braci połączonych razem, pospieszali także drogą do Lwowa. Błyskały gdzieniegdzie światła w oknach drewnianych domów na przedmieściu, ale minęli je prędko niezajrzawszy do żadnego domu, gdzie dawniéj dowolnie plondrowali: dzisiejszy zamach był ważniejszy i lepszą obiecujący zdobycz. W rynku

2*

jest bowiem kamienica z żelaznym gankiem, przy nim złote winne grono, do sklepu prowadzą kamienne schody, a w sklepie tym mieszka Pan Juro, co w alkowie ma kufer niepusty. Tam ich myśl wyprzedza kroki: przecięż przed chwilą chcieli się mścić na konsulach za potwarz własnego imienia!

Cichość zaległa całe miasto; pogaszono już we wszystkich domach światło; rzadko gdzie na trzecim piętrze lub w poddaszu, przy lampie i szklanéj bani, co blask jéj powiększała, pracował rzemieślnik w noc późną, i wyśpiewywał godzinki. Przed jednym z takich domów, zatrzymało się milczące grono dwunastu braci: a zaraz śpiew na poddaszu umilkł, i wprędce stanął przed nimi młody pracownik z fartuchem skórzanym. Po kilku słowach nie poszli wprost na rynek, ale ku bramie Halickiéj obrócili kroki.

Niedaleko drogi wjazdowéj stał domek drewniany, a przez zamknięte okiennice, dojrzéć można było, że jeszcze wewnątrz czuwano. —»Trzeba się zatrzymać« rzekł przewodnik

z fartuchem skórzanym: »widać że nie śpi, a chłop to krzepak— może wrzawy narobić.« —»Głupiś« odrzekł Jeremi—»już ja z najmłodszym bratem poradzimy temu, że zamknie gębę na zawsze. Franciszku, »zawołał z cicha—»chodź za mną.«

I stanął przy nim młodzian, szczególny ulubieniec zmarłego ojca. Gdy otoczyli domek wokoło, Jeremi z Franciszkiem drzwi z zawias wyparłszy, weszli do sieni, a stąd do izby niezamkniętéj wcale, w któréj kupiec podróżny spoczywał, i mała pobłyskiwała lampa.

Jeremi, z szlifowaną szablą stanął przy łożu, śmiało spójrzał, i napotkał wzrok kupca; lecz te oczy krwią zaszłe, wysadzone na wierzch, grozę w nim wzbudziły. Koszula rozdarta nie zakrywała piersi, wymęczonych ciężkim oddechem, spotniałych, na które wystąpiły szerokie czerwone plamy. Jeremi popatrzał chwilę, a chowając szablę do pochwy: «tu jéj niepotrzeba, on się nie ruszy,« wyrzekł.

Zawoławszy na podwórzu stojących, zaczęli zabiérać drogie futra, soboli, tumaków, bia-

łych lisów, pasy złoto-lite i adamaszki. Kupiec, z obumarłym wzrokiem leżał nieruchomy; wkrótce wyprzątnęli całą izbę, i gdy połowa spiesznie rzuciła się do Wysokiego-Zamku, by w kryjówkach przechować bogatą zdobycz, Jeremi z Franciszkiem i piąciu jeszcze braćmi zwrócił się nazad do rynku.

—»Chłodno mi» wyrzekł Franciszek,— »te oczy przeklętego kupca! niezapomnę ich długo! Ale co mu było?

—»Jakaś choroba« odpowiedział Jeremi.— »Lecz niedługo skończy, nie będzie się męczył. Spocznijmy trochę; zaduch téj izby przycisnął mi piersi.«

—»I ja toż samo czuję, choć wolno idziem, pot okrył ciało, a ręce drżą jakby w zimnicy.« (*)

Zatrzymali się więc w zakątku. Franciszek osłabiony, mimowolnie przykląkł: podparł go silniejszy Jeremi, a jednak drżał cały, i pot zimny ocierał.

—»No bracie! wstańmy, mamy wiele do ro-

(*) Zimnica: febra.

boty, spoczniemy sobie do woli na Wysokim-Zamku.«

Zebrał siły klęczący młodzieniec, zerwał się nagle, i sporym krokiem ruszyli ku domowi Jura. Za pomocą surowcowéj drabinki, mur wysoki przeleźli i stanęli na małym dziedzińcu wewnątrz. Wielki brytan, spuszczony z łańcucha, szczeknął zajadle, ale wkrótce zamilkł cięty szablą Jeremiego. Łacno otworzyli drzwi domu; wprędce wyważyli choć okute drzwi sklepu, a coraz czując się słabsi, odżywili zeschłe usta smacznem winem, co go z Krety przywiózł młody Michelini.

Jeszcze trzeba było jedne tylko drzwi wysadzić do alkowy, a łup bogaty, cel ich trudów, łatwie pochwycą. Franciszek, którego bladość powiększała kryta latarka, zatrzymał się nieco przed drzwiami alkowy, i rzekł do brata z cicha— »A jak się zbudzą?«

Jeremi rozgrzany winem, z uśmiechem odrzekł:

—»Zaśpiéwamy im requiescat in pace! Albo to raz pierwszy? No! dalej na przód.«

IV.

Miesiąc upłynął jak Pelagia, oczekując przybycia ojca, ujrzała dorodnego Włocha, i dziwnych wzruszeń doznała. Dzień po dzień Michelini był nieodstępnym jéj towarzyszem; a choć nie mógł słowami rozmawiać, zrozumieli się łatwie i wprędce nucił z dziewczęciem piosneczkę w onczas powszechną: »Śmierć nie rozłączy—co miłość złączy.«

Młoda Pelagia śmiała się z wymowy Włocha, a Michelini rozkochany, u nóg starego Jura błagał o jéj rękę, ofiarując siebie i cały majątek. Kronikarz miasta Lwowa, Zimorowicz, mówi: »Że sprzedawszy wino rodzicom Pelagii, siebie samego panience w dodatku oddał.«

I z tego dodatku rada była młoda dziewczyna, bo również pokochała Włocha.

Dzień ślubu już naznaczono, a Pani Jurowa, z cyprysowych kufrów dobywała ślubne swoje szaty, z tak tęgiéj materyi, że je ustawiała po izbie, jak dębowe stołki. Miały one ubrać

jéj córkę po trzydziestu latach błogiego odpoczynku pod kluczem, przewietrzane dwa razy do roku, dla ochrony od mólów.

Pelagia, marząc o szczęściu, usnęła twardo; ale miasto lubych marzeń, których było pełne jéj serce, widziała starego burgrabiego (a znała go dobrze) jak z rozwianym siwym włosem przebiega lotem sokoła po ulicach Lwowa.

Michelini spać nie mógł: dopełniwszy najgorętszych życzeń, z niepokojem oczekiwał świtu, który zwiastował zbliżoną porę ślubu. Przewracał się na łożu, przeklinając noc zbyt długą, chociaż w istocie była krótką, jak na początku miesiąca Sierpnia.

Nagle zerwał się, bo usłyszał szczeknienie zajadłe brytana: lecz gdy stróż czujny zamilkł, położył się spokojnie i mniéj zważał na szmer cichy, zbliżający się coraz, który przerywał głośniejszy łoskot, jakby drzwi siłą rozwieranych. Cały w zadumie dnia jutrzejszego, po północy usnął i marzył o szczęściu swojém.

Tymczasem pięciu braci, i przewodnik ze skórzanym fartuchem, stanęli pod Wysokim-

Zamkiem: niestukali do furty, ale przez wyłom tajemny w murach, poprzedniéj wykowany nocy, weszli łatwie, i w lochu zamkowym złożyli zdobycz niemałą, a sami zmordowani upadli.

Matka ich, wdowa, nazwyczajona do oczekiwania występnych synów, trzymając klucz od furty w ręku, czuwała w noc późną, nadstawiając ucha, czy nieusłyszy przybyłych— i zwracała oczy, jak dawniéj na oczy męża swojego, w obawie aby go niezbudzono. Starzec przecie już w innem spoczywał łożu, a czarna ziemia zasypała mu oczy, by nie patrzał na własne spodlone potomstwo.

Kiedy świtać zaczęło, stara przespawszy się nieco, poszła do kryjówki znajoméj synów; znalazła z podziwem drzwi otwarte i trzech synów spiących. Zbliża się do nich, gdy widzi przestraszona, że nie sen ich ujął! Oczy, krwią zaszłe, wytrzeszczyli okropnie, a chrapaniem jeno objawiali męczarnie; wszystkie żyły krwią nabiegły.

Stara rozrywa koszulę—chce piersi nacie-

rać, gdy ujrzała wielkie czerwone plamy. — »Boże! wykrzyknęła upadając, to powietrze!«

V.

Piąta uderzyła na zégarze ratuszowym, już i słonko weszło, gdy Prokop pana Jura wyszedł na podwórze. Piérwsze co zobaczył, był zabity brytan; łeb odcięty na skórze się jeno utrzymywał;—zdziwiony i przestraszony dał znać panu. Juro domyślniéjszy jak parobek, pobiegł co rychléy do alkowy, lecz zobaczywszy nietknięty kufer, uspokojony żałować począł czujnego brytana, który życiem przypłacił wierność, bo złodzieje, zapewnie jego czujnością ustraszeni, nieśmieli posunąć się daléj.

Parobek zamiatając dziedziniec, wraca znowu do pana, i pokazuje zdjętą z muru surowcową drabinkę. Juro co rychléj otwiéra drzwi z alkowy do sklepu—za nim oddawna ubrany Michelini idzie, i zaraz matka z gładką Pelagią cisną się ciekawie.

Choć silnie gospodarz domu pchnął drzwi okute, coś zawadzało z drugiéj strony. Michelini pomaga—roztwierają wreszcie, lecz obaj cofają się z przestrachem. Pani Jurowa z krzykiem ucieka, a śmielsza Pelagia przytuliła się do zaręczonego kochanka. Ale ledwie zajrzała do sklepu, drżąca zakrywa oczy.

Pode drzwiami leżał najbliżéj Jeremi—biała piana okrywała mu sine usta. Podarte odzienie i koszula, okazywały większą część ciała nagą. Daléj siedział, a raczéj klęczał oparty o beczkę wina młody Franciszek; choć oczy stały kołem, nie był tak straszny, bo zastarzałéj zbrodni rysy nie szpeciły szlachetnego z urodzenia oblicza: krócéj się męczył, bo od godziny wyzionął ducha.—Jeremi jeszcze rzucał ciałem, a zaraźliwy oddech zgnilizną napełniał sklep cały.

Pelagia zachwyciła czystym oddechem, oddech zbrodniarza, i padła zemglona: wyniosł ją na ręku Michelini. Wprędce wieść się rozlata po mieście o złapanych złodziejach u Jura, i tłumy zebrali się na ulicy w około domu.

Ale sklepu nie odmykano; wyniesiono obudwu na mały dziedziniec, gdzie wkrótce i Jeremi skonał!

Wolnym krokiem, z Wysokiego-Zamku schodziła wdowa burgrabiego — obwiniona białą płachtą; jak widmo grobowe przeszła wokoło ratusza, a stanąwszy niedaleko tłumu zebranego przed domem Jura, przeraźliwie wykrzyknęła »To powietrze!« — A w téj chwili lud przestraszony, z drżeniem na wszystkie się strony rozleciał.

Jedno słowo jak błyskawica obiegło wszystkie domy we Lwowie, klasztory, przedmieścia i wsie okoliczne, a słowo to, raziło jak piorun. Z wrzawą i krzykiem, z płaczem i drżeniem, to roztwierano drzwi i okna domów, to zamykano szczélnie. Wszystkie roztwarto kościoły, a lud w trwodze u stopni ołtarzy szukał ocalenia.

Konsulowie miasta kazali uderzyć we wszystkie dzwony i wytoczyć działa ze zbrojowni, ażeby nagłym poruszeniem powietrze oczyścić. Huk dział mięszał się z odgłosem dzwonów:

gdy pobożni święconemi ziołami kadzili izby, i z *Loretańskiemi* dzwonkami obiegali domy. Zapalono stosy drew suchych na rynku, a processye kapłanów wolnym krokiem z chorągwiami i krzyżem obchodziły w około miasto i wszystkie ulice. Wyniesiono obraz Świętéj Rozalii, jako patronki od morowéj zarazy, a hymn na jéj cześć zaśpiewały wszystkie usta.

W pośród téj wrzawy i trwogi powszechnéj, stara z Wysokiego-Zamku, wolnym przechodziła krokiem, wołając drżącym i zmienionym głosem: »To powietrze.« — Widok niewiasty rozpędza tłumy: Powietrze! Powietrze! wołają zewsząd, i wystraszoną ręką wskazują na starą: a ona niesłysząc wrzasku, usiadła na kamieniu przed ratuszem, gdzie winowajców tracono, i pogrobowym głosem zanuciła początek znanéj pieśni, — *pieśni trwogi!*

Kto się w opiekę odda Panu swemu,
A całém sercem szczerze ufa Jemu,
Smiele rzec może: „Mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga."

* * *

Ciebie on z łowczych odzieży wyzuje,
I w zaraźliwem powietrzu ratuje:
W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod jego pióry ulężesz bezpiecznie....

Głos jéj niknie, obwija białą płachtą głowę, i upada bezsilna na kamień, gdzie ślady krwi jeszcze widome: bo wczoraj zbrodniarza głowa, odcięta od kadłuba, taczała się po nim.

VI.

Bartłomiéj Zimorowicz Konsul późniéj Lwowa, tak opisuje zgon czarno-brewej Pelagii i jéj kochanka,— własne jego przywodzimy słowa: (*)

»Powietrze do domu Pelagii wcisnęło się »także, i na nieszczęście pierwszą z domowni»ków porwało. Do ogródka tedy na przedmie»ściu, on kwiatek, jakby pługiem podcięty

(*) Historya Miasta Lwowa, Królestw Galicyi i Lodomeryi stolicy z opisaniem dokładnem okolic i potrójnego oblężenia, przez Bartłomieja Zimorowicza, Konsula niegdyś tegoż miasta, od najdawniejszych czasów aż do roku 1672, po łacinie napisana — przełożona pracą Marcina Piwockiego — Lwów 1835. str. 252.

»zanoszą: rodzice za trupem żyjącym jeszcze »z daleka idą. Sam Michelini, wyprosiwszy »sobie przystęp do łoża panny, który mu do- »tychczas był zabroniony, przy omglewającéj »ustawicznie siedział, w okładaniu plastrami »usługiwał, łzy lub pot osuszał, w ostatnim »skonie cieszył, umierającéj oczy, niestety! »swoie niegdyś w miłości wodze, zawarł, du- »cha nakoniec ostatniego przychylnemi przy- »jął usty. To czyniąc, niczego więcéj nie »żądał, jak rychłego skonu. Sam ciało łza- »mi obmyte w Cerkwi Błahowiszczenia zło- »żył!

»Śmiałym go zrobiła miłość, ale nie uwol- »niła od nieszczęścia, bo po dziewięciu dniach, »tegoż samego co i Pelagija padł nieszczęścia »ofiarą. Przy skonie jednak swoim o Pelagii »niezapominaiąc, martwe swe ciało w przyle- »głym kościołku S^go Stanisława pochować, i »dwa kamienie, miłości swéj świadków na obu- »dwu grobach postawić kazał. Posłuszna téj »woli rodzina, dwa równe kamienie z dwoma »sercami laurem uwieńczonemi, wyrytemi na

»grobach położyła z dodanym wierszem Szy-
»mona Szymonowicza:

»Śmierć nie rozdwaja,
»Co miłość spaja.« —

W rok później pięciu braci Białoskurskich schwytano na rabunku: bo siedmiu padło wraz ze starą matką, i tysiącami mieszkańców miasta Lwowa, od grasującéj morowéj zarazy, co od Sierpnia do Grudnia wyludniała miasto i okolice, a dopiéro z mrozami ustała. Pozostali Białoskurscy marnie poginęli, jak wyraża przytoczony kronikarz: »po wszetecznych domach i karczmach życie stracili, i krew przelali.«(*)

Powietrze to długo trwało w pamięci mieszkańców Lwowa, a jeden z poetów ówczesnych, żywy nam obraz téj okropnéj klęski zostawił. Kończymy jego słowami:

„Wielka porażka, któż to zliczyć może,
W ludu twym padła, wszędziebojny Boże!
Oprócz krwie kędy, miecz twój niewidomy
Spustoszył domy!

(*) Historya Miasta Lwowa, str. 247.

Nie pomogły nam twarde zamykania,
Nie pomogły nam osobne mieszkania,
Wnajtwardszym sklepie, gdzie Bozka moc wlazła,
Wszędzie znalazła.

Omierziłeś nam właściwe mieszkania,
Chroniliś my się swego budowania:
Pod kotarami w polu!, acz nie miło,
Mieszkanie było.

Żałosne było na pola pojrzenie,
Na niepotrzebne patrząc oblężenie:
Gdzie ludzi pełno pobitych, krom zwady,
Legły gromady.

Już ani sąsiad, ani brat rodzony,
Niechciał cię przyjąć pod swoje zasłony:
Ciała bez dusze po walech (wałach) leżały,
Przez czas niemały.

Tam ptastwo polne trupy się karmiło,
I co z żałością wspominaćby było:
Psów stada zawsze śledząc między niemi,
Pasą się jemi.

Ta potopowi klęska równą była:
Co kiedyś ziemię wszystkę dżdżem przykryła.
Tak teraz ludzi okwito śmierć zniosła,
Kędy się wniosła.

Już zapalczywość niechaj sroga stanie,
Niech się ukoi boże rozgniewanie:
Bo pokarawszy, racz pocieszyć mały
Lud pozostały."

K. Wł. Wójcicki.



Marko i Luty-Bogdan.

Pieśń Serbska.

Trzech Wojewodów Serbskich w rannéj zorze,
Ciągną z *Kossowa* na krasne przymorze:
Marko z *Przylipa*, przy nim junosz dziarski,
Z *Pocerja Miłosz*, i *Rela Pazarski.*
Przydrożne wzgórza winograd zaściela
Zwisłemi grony.— Toczy koniem Rela
I łamie grona; a Marko doń z cicha:
„Daj pokoj bracie Relo! nie budź licha;
„Gdybyś ty wiedział z kim cię sprawa czeka,
„Wzgórze i grona mijałbyś z daleka;
„Tu Luty-Bogdan... znam go! raz tą stroną,
„Szedłem sam na sam, i urwałem grono;
„Wypada Luty-Bogdan, wzrok wyszczerzy,
„Klaczą wprost na mnie toczy; któż mu zdzierży?
„Uciekam; Bogdan nuż za mną w przegony!
„Gdyby nie szaracz, chwyciłby mnie w szpony

„Lecz wnet szaracza za grzywę ułapię,
„Swisnę, daleko pozostał na szkapie
„Bogdan, i patrzy że'm mu umknął: za-sie
„Ciska buzdygan; drasnął mię po pasie.
„Bracie! rękojeść ledwo mię ubodła,
„Na kark szaracza wyleciałem z siodła,
„Tak rzut był silny; cud że się udało
„Okraczyć konia, i uciekną́ć strzałą."
—Nie skończył— jary dzień się nagle zchmurza,
Cień padł szeroko na pola i wzgórza,
Stanęli— patrzą: — od pól winograda,
Bogdan z dwunastą Wojewodów spada.
A Marko: „Bracia! to Bogdan, nuż cwałem!
„Jeśli nie ujdziem nałożym tu głową."
Lecz mu Pocerski Miłosz wstąpił w słowo:
—„O Marku bracie! w naszém carstwie całém
Jedna myśl o nas, i język jednaki:
Niemasz pod słońcem jak te trzy junaki!
Dajmyż więc głowy nasze dziś— a z chwałą,
Lecz ziemi naszéj niekryjmy zakałą."
A Marko zasie: „Uderzmyż przymierze,
„Kto Wojewodów, kto Bogdana bierze?"
Miłosz i Rela krzyknęli śród zgody:
„Bogdana bierzem, ty bierz Wojewody."

* * *

Przypada Bogdan; za buzdygan ima,
Marko, dwunastu Wojewodów trzyma,

I wręcz kolejno z każdym się potyka,
Wysadza z siodła i krępuje w łyka;
Pędzi: lecz oto! zkąd się tuman ściele?
To Bogdan pędzi Miłosza i Relę,
Białe im ręce skrępował powrozem.
Postrzegł to Marko, strach go przeszył mrozem,
Zląkł się jak niegdyś; więc myślą pogoni:
Jako się wymknie, i gdzie się uchroni?
Ale wnet na um padło mu w tej chwili:
Wszyscy trzej niegdy wraz mir uderzyli,
Kto z nich w niewolę popadłby sromotnie,
Wesprze go drugi, i łyka mu potnie,
Spiął więc szaracza, i brożcem na czole
Nasadził kołpak, zmarszczył brwi sobole.
Wzniósł szablę—okiem z ukosa potoczy;
A tuż ku niemu Luty-Bogdan kroczy.
Stanął, i w Marka wzrok przed siebie wbity
Spojrzał—zadrżały pod Bogdanem łyty,
I ten, i tamten stoi jak przykuty;
Wreście milczenie przerwał Bogdan-Luty.
—„Mir z nami Marku! przystąpmy do zgody:
„Puszczam twe braty, puść mi Wojewody!"
Puścił; z szaracza czaprak zdiął soboli,
Siadają, gwarzą, i piją do-woli!
W końcu z Przylipa Marko się ozowie:
„Żegnaj Bogdanie! kiedyś, da Bóg zdrowie,
„Zjedziem się znowu, z-nowu stół nam suty,
„Żółtem zastawisz winem." Zasie Luty:

—„Z bogiem ty Marku! na lasy i góry!
Raz tylkom w oczy zajrzał ci; raz wtóry
Raczéj pod ostry topór ugiąć karku;
Spojrzéć ci w oczy niechcę, z bogiem Marku!"

Tentent po krótkim słychać rozhoworze,
W dwór jedzie Bogdan; Marko na przymorze.

A. Bielowski

ECYN GIERAJ.

powieść historyczna.

I.

W starym zamku Bracławskim, głucho. Przed bramą, na wysokich murach, stoi straż nieruchoma, oczy mając ku jednéj stronie zwrócone. Daléj w pewnych odległościach, przechodzą się wysoko rycerze. Światło bije od hełmów, jak promień słoneczny. Widać i na basztach porozstawianych ludzi; a wszyscy ku południowi zwracają twarze i patrzą jak posągi. Na najwyższéj z wież powiewa chorągiew z krzyżami. Milczenie, jak gdyby przed bliskiém nieszczę-

ściem, jak gdyby przed nadchodzącą śmiercią. Tymczasem niewidać pod wałami nieprzyjaciół. Nawet w około, tak jak oko dojrzéć może, płaszczyzna, stepy. Na nich i jednego niema stworzenia.

Przez wązkie okna, przez szyby różnofarbne, przeciska się światło dnia pięknego do komnaty zamkowéj. Promieńmi różowemi rozlewa się na ściany pokryte kobiercem. Wielkie sofy, jedwabiem i złotem szyte, stoliki czarne, srébrem i perłową macicą nasadzane, złote krzyże i obrazki, okazuią bogactwo właściciela. Ale nad wszystkie bogactwa, srébro i złoto, klejnoty i zamki, droższe jest jedno stworzenie, jedna istota, dla któréj te skarby zebrane. Na obszerném, aksamitem wybitém krześle, spoczywała młoda osoba. Kto niebiańskiego nigdy niedoświadczył wrażenia, gdyby na nią spoyrzał, uczułby świętość niewinności, siłę wdzięków, i blask młodego do-wpół rozkwitłego pączka. Lica liliowe, na nich bladość sama bez żadnego rumieńca, jednak tak świéże, że w nich i śladu niema słabości. Niebieskie oczy,

jasne i przejrzyste. W każdém kropla połyskująca, jak dyament. Na ustach różowych uśmiech. Włosy złote, w pierścienie zwite, na szyję spadają. Szata jasnoniebieska, gazowa, obwija jéj kibić. Zamyślona, w jedno przed siebie spogląda miejsce. Zdaje się, że nieuważa na przytomnych, sobą tylko zajęta. U stóp jéj w pośród kobierca, na rozesłanych poduszkach aksamitnych, siedzą dwie greczynki: jedna trzyma lutnią, druga, hebanowe swe oczy topi w obliczu swéj pani, jak gdyby czekała na jéj skinienie. Z daleka, stary Jurgo: stary sługa i przyjaciel Buczackich, dziecko ukraińskich stepów, już mu włos pobielał, zmarszczki twarz zmieniły i młodość znikła, tylko na czole pozostała ciemna szrama od szabli tatarskiéj: pamiątka lat młodszych; lecz siły w nim nie zgasły. Dla pięknéj Zosi, dla lubéj jedynaczki swojego pana, jeszczeby pędził na dzikim koniu i dnie i nocy, jeszczeby nie jednemu tatarowi ściął ostrym kordem głowę z tułówia, a bramy zamku żaden z bisurmanów przejśćby nie mógł,

tylko po jego trupie. Stał teraz przed nią, i z całą żywością młodego wieku rozprawiał: »Hej! Panno Zofio! niema za czém tęsknić; tak się stanie, jak się już tyle razy stało: Pan Buczacki z pancernymi i z kozakami przybędzie znowu, jak zwyczajnie, zdrów i wesół. Tylko słuchać rychło zagrzmi trąbka — zatentnią podkowy — z okrzykami radości otworzą mu bramę — z nim jeńców tatarskich, koni! dzielnych koni i łupów mnóstwo! Niema się czego lękać. To trzeba widziéć, jak Tatarzy umykają, kiedy im tylko kto w uszy krzyknie: Buczacki! — Bo też Pan Buczacki nie dzisiejszy. Małośmy-to Ukrainy, mało Podola, mało Litwy oblecieli, goniąc za ćmą Tatarów! Znają nas dobrze, znają na Kapczaku, znaią za Wołgą, znaią za Perekopem. Hej! Panno Zofio! to aż serce ledwie z piersi nie wyskoczy, kiedy człowiek w stepach. Pod nami ziemia długa — w około nieba jasne jak kryształ, a z daleka Tatary się przesuwają, jak drobne ptaszki przed jastrzębiem. Jeśli pojedyncze kupki widać z daleka: w imię Najświętszéj Panny,

dalej na nich co koń wybiegnie! A jeśli rozciągną się szeroko, jak las czarny ruchomy, uciekaj koniku na zamki między mury, niechaj cię goni bisurman. Próżny smutek Panno Zofio! wyprawa się uda szczęśliwie, i ojciec wróci.—»—Jakto! rzekła Zofia, jak gdyby ze snu zbudzona: to Ecyn z téj najwyższéj baszty, z tego okienka z pod krzyża....»— Już tyle razy opowiadałem to samo Pannie Zofii. Tak jest, z téj najwyższéj baszty, z najwyższego okienka! O mój Boże! że też to Panna Zofia tak prędko zapomina. Razem z jeńcami, których Pan Buczacki na usługi i na zabawę panny Zofii trzyma, był wieczorem w tym samym pokoju. Wszakże go Panna Zofia widziała; proszę sobie przypomnieć. Bo on jak tylko wszedł, pierwszy złożył na krzyż ręce i pokłonił się głęboko, potém w tém miejscu stanął, blizko Panny Zofii i patrzał. Inni Tatarzy, tańczyli, grali na swoich dudkach, śpiéwali; potém rozmaite skoki i łamania. A ja się mocno śmiałem z tego tłustego jeńca, coto miał twarz, jak xiężyc, a oczy drobne. Ecyn razwraz coś

mówił do Panny Zofii, ale to bardzo nieśmiało. Wreście ucichła wrzawa. Tatarzy wyszli. On sam tylko został, i żeby zabawić Pannę Zofią, jak umiał śpiewał i przygrywał na bandurce, co się Pannie Zofii bardzo spodobało. Potém znowu rozmąwiał z Panną Zofiją. Jak z nami mówił, tom go zawsze zrozumiał; a jak z Panną Zofią, to on takich górnych dobierał wyrazów, że ja nigdy niewiedziałem, co on chce. Pamiętam że wtenczas Panna Zofia próbowała, czyby go niemożna do wiary świętéj skłonić. Mówiła mu Panna Zofia o Chrystusie Panu, o Matce Najświętszéj, o cudach, o ewanielii i o pacierzu. Lecz on co był tak wesoły, nagle zamilkł, wzdychał tylko, nawet Pannie Zofii nic nie odpowiadał. W takich rozmowach przeciągło się do późnéj nocy. Myśmy rozumieli, że to już łaska Boska, i że już zaczyna żałować za swoje grzechy; a Ecyn co innego zrobił. Na skinienie Panny Zofii odszedł. Podług zwyczaju, zaprowadziłem go wysoko na basztę, gdzie dla niego było mieszkanie osobne. Bo Panna Zofia niechciała, aby z in-

nymi jeńcami w sklepach go zamykać. Tymczasem w północ, bisurman podarł szal z turbana na długie kawały, wziął linkę na górze wiszącą: ponieważ w oknie u niego była krata, któréj wyłamać niemógł, wyszedł więc z drugiéj strony wyżéj, na sam szczyt wieży, i tam przy otworze basztowym, do słupka przywiązał linkę, i po niéj spuścił się jak długa baszta i mury, w przykop, w przepaść, aż strach mówić o tém, i uciekł.—»—Czy ja mu co złego zrobiłam, kochany Jurgo!« mówiła Zofija. »Czy Ecynowi źle było przy mnie. Od czasu; jak mi go ojciec darował, bardzo pamiętałam o nim; miał wszystkie wygody. Chciałam nawet puścić go na wolność, tylkom się lękała ojca. Przyrzekłam jednak Ecynowi, że jeśliby sobie życzył, to upatrzę sposobną porę, i wystaram się, że może bez okupu wyjść na wolność i powrócić do Perekopu. Ale on mnie zaklinał, żeby mu téj krzywdy nie robić. Mówił, że niema po co wracać do domu, że tu było mu najlepiéj, i że wtedy powróci do Krymu, jeśli go od siebie odpędzę. Ja go za to bar-

dzo lubiłam, że on taki był przywiązany do nas. A teraz uciekł! mój Boże!« — »Niema czego żałować, moja Panno Zofijo! bisurman zawsze bisurmanem. Teraz téż Pan Starosta dwóch jeńców darował Pannie Zofii za Ecyna; obadwa bardzo kształtni i zręczni; osobliwie niższy z nich, tak się szybko kręci na jednéj nodze, jakby na śrubach. Czy nie lepiéj bawią od Ecyna?« »Nie, kochany Jurgo! lepszy Ecyn; on był bardzo dobry człowiek, on nie wyglądał na Tatara—»—To prawda, że miał postać jakby jakiego księcia a przynajmniéj wielkiego Pana—»—Jak mężny—»—To prawda, i silny!—Śmiało się rzucił na bawoła w ogrodzie, pochwycił za rogi i wstrzymał rozhukane zwierzę, które chciało przebić małe dziewczątko, sierotkę Panny Zofii.« »Jak śpiewał.—»—Śpiewał pięknie i czysto, tylko że czasem dziwacznie.—»— Teraz nikt tak niezaśpiewa. Jaki zręczny!» — »Tak jest: już co do zręczności, żaden mu Tatar niewyrównał.—»—Jak mnie to bawiło, kiedy on mi mówił: O ty Hurysko proroka! Perło Padiszacha! Złota różo Edenu!

Albo též tak: Gwiazdo moja! oczy twe są moim Alkoranem! usta twoje są ustami proroka! Ałła, prorok i ty, słońce méj duszy, jesteście dla mnie całym światem. Któž mi teraz tak powie? Każdy tylko, Panno Zofijo! Panno Starościanko! i nic więcéj.—»—Poczekajmy kochana Panno Zofijo! Može go jeszcze nasi przyprowadzą, lecz nie w pętach. Wszak z placu bitwy przyniesiony był prawie bez duszy. Trudno go žywcem ująć. Ach! on tak długo był z nami; on się prawie z nami wychował; on nas tak pokochał wszystkich! Ja myślę! ja się z pewnością spodziéwam, ja wiém, že on tu sam powróci!—»—Powróci! zawołała Zofija, a w oczach zaświeciły dwie łzy. Niewiém, czy to były łzy žalu, czy radości.

II.

W rozległych, nagich, zielonych stepach, niewidać ani jednego drzewa, ani jednego pagórka. Zdaleka połyskuią wody Bohu. Nieba jasne i czyste, na nich najmniejsza nawet nieprzesuwa się chmurka. Słońce południo-

we pali żarem. W téj chwili tentni ziemia od kopyt końskich. Gromada jeźdzców przelata szeroką płaszczyznę. Pochyleni, skrzywionemi kolanami przyczepieni do siodła, płyną wśród zielonego morza traw stepowych. Dziwaczny ich ubiór: u niektórych zawoje, u innych kończate, długie czapki, jasno-żółte, zielone i purpurowe kaftany, lub długie szaty. Błyszczące u piersi kindziały, zakrzywione pałasze, łuki i strzały. Przytém, odkryte piersi, twarz zczerniona, szeroka, malutkie czarne oczy, i brody rzadkim włosem pokryte, okazują dzikich mieszkańców południa, przed którymi drży Ukraina, Podole i Litwa. Widać, że iakieś gwałtowne przyzywa ich nieszczęście: bo przesuwają się szybko, jak wjątr. Rozpuszczone konie całych swych sił dobywają i wyciągnięte ku ziemi, pędzą jak ptak przez powietrze. Tuman kurzu wznosi się wysoko, i rozciąga daleko za niemi. Ruch postaci szczególny. Jakaś obawa, czy niepewność przebija się na twarzach. Coś rękoma wskazują przed siebie, coś upatrują na rozpostartéj przestrzeni. Krzyk i wrzawa ciągła, bo każdy rozprawia namię-

tnie. Tylko jeden wyprzedza wszystkich i milczy. Oczy jego do jednego punktu przyczepione, jak gdyby w jedno miejsce wrosły. Blady, przerażony; namiętność ognista bez granic wydaje się z twarzy jego, jak piekło z obliczów potępieńca. Czasem westchnie; czasem łza błyśnie mu w oku. Czasem mimowoli, to co myśli, w wyrazach dzikich, piskliwych, namiętnych, z ust mu się wyrywa. »OAłła! o Proroku, dopomóż! daj mi Eblisa, niech na jego skrzydłach lecę z błyskawicą razem. OAłła! o Proroku! o daj jednę chwilkę za życia taką, jaką gotujesz całą wieczność Islemom, kiedy grzechy swoje przez śmierć obmyją! — O bracia! o rodzie Girejów! niechaj konie padają; tylko stańmy na chwilę zbawienia mojego tam, przy umówionym brzegu! »Konie coraz mocniej rzucają się. Z świstem wieje powietrze około uszu pędzących. »Napróżno!« odezwał się starszy z nich wiekiem. »Konie stracimy. Nie zastaniesz Ecynie starca, nie przybędzie nad brzeg Bohu pod kurhan. Uwiodł cię tylko. Giaur ci nie wierzy i ty mu niewierz. Dalej! wprost na zamek

z pałaszem w ręku, tam piekną porwiesz huryskę! Zawieziesz ją albo w pałace Bakczyseraju, albo na dolinę Bajdar. Nam oddasz resztę.«—»Milcz Zebek! siwa twoja broda! czoło zmarszczkami pokryte! mądrość twa wielka, ja rad twoich zawsze słucham. Lecz milcz Zebek! znam lepiéj giaurów. Z niemi przez sześć lat na zamku żyłem. Ich mowę umiem. O ich Bogach słyszałem. Wiém co każdy myśli. Milcz Zebek! Kto z nich co przyrzeka i przysięże, to jego słowa są słowami naszego proroka. Starca ujrzym na kurhanie, przysięgam tobie. Ale ach, coś mi na piersiach cięży, jakaś tęsknota, jakieś dzikie przeczucie, jakieś nieszczęście, co nademną wisi. Spieszcie się, bo téj chwili nie doczekam i umrę.«—»Ecynie! wołał Zebek, czyś ty już zmysły utracił? Czy tobie na zamku serce czarami wydarto? Ty mąż, ty Chan, ty otoczony najpiękniéjszym serajem, i ty gonisz bez wody, chleba i bez odpoczynku, — gonisz za jedną istotą, za jedną dziewicą, która na twoje skinienie już dawno mogła być u stóp twoich!i czekać twojego wyroku.« — »Milcz Zebek! milcz! nierozdziéraj mi serca.

Ty znasz tylko niewolnice! ty nie znasz miłości, prócz miłości seraju. TobieAłła i prorok nie odkrył uczuć, które dla wiernych w niebiosach gotuje. Ale ja je poznałem; tu mam je w mych piersiach. Jabym oddał wszystko, co posiadam, za jéj jednę wzajemność, jedno szczére, ogniste spójrzenie. Za to spójrzenie, jabym oddał pałace Bakczyseraju, co! najbielsze Georgjanki, z czarnemi oczyma Greczynki, córy Mirzów i Ulemów, a z niemi wszystkie doliny i wzgórza, które Salhira przepływa. Całąbym oddał potęgę, i życie i swobodę, i wszystkobym oddał, prócz Ałła i prócz Proroka! Z nią żyłbym szczęśliwy, chociaż w ulepionéj, w biédnéj chatce wśród najdzikszych okolic Karasubalar. Szczęśliwszy! stokroć szczęśliwszy, niż dziś w pałacach ojców moich! Wiém, że na moje skinienie, zamekby się w gruzy rozsypał. Na nię spoglądałbym, jak na moją niewolnicę. Ale, ach Zebek! w tenczas jużby znikło całe moje szczęście; wtedy miałbym tylko iéj ciało. Duszaby iéj zginęła razem z zwaliskami Bracławia. O Zebek. Zebek! daj mi iéj duszę tylko. Zrób, niech po-

rzuci ojca i swoję ziemię; niech zemną będzie na wieki, w moich roskosznych ogrodach, przy moim boku, w seraju; a wtedy ujrzysz łzy Chana u twoich stóp: łzy, które ci się w perły drogie rozsypywać będą; łzy droższe nad wszystkie skarby, jakiebyś uniosł z zamku złupionego. Spieszmy! tu coś boli, tu mnie coś męczy, ratujcie, spieszcie! bo zginę.« Ścigają konie. Pot się leje z czoła Tatarów, ziemia tentni, Ecyn ostatnich sił dobywa.—»O Chanie nasz! o perło Girejów!« mówił znowu Zebek. »Jeśli starzec nie będzie mógł stawić się w przyrzeczonym czasie, jeśli się wyda zmowa przed panem! Ecynie! ty znasz Buczackich.«—»Zebek! Zebek! patrz, już widzę kurhan. Patrz! tam się coś bieli, to on. O radości! otwarta brama raju! Pączek roskoszy moich rozwinął się przed memi oczyma. O donieś mnie koniu jeszcze na ten brzeg, i giń!« Lotem błyskawicy pędzą Tatary do sterczącego kurhana. Jękła ziemia pod kopytami. Obłok piasku zakrył wszystkich, i opadł. Stanęli. Brzeg Bohu. Zielony kurhan przy drodze, na nim słup biały, świe-

ży. Ecyn pierwszy skoczył z konia; zbliża się, spójrzał, i w jednéj chwili pada na ziemię, tarza się w piasku, drze turban zielony, drze kosmyk włosów, co mu z ogolonéj głowy na szyję spada. Rani się rękoma, wyje i jęczy boleśnie. Wszyscy otoczyli swojego pana. Przestrach i boleść na ich twarzach. Wołają: Alla i patrzą na słup, na którym wbito głowę ludzką, głowę starca, wybladłą, zresztą siwych włosów, z ciemną szeroką szramą na czole, i z zawartemi na wieki oczyma.

III.

Pogodna noc złotemi świeci gwiazdami. Woń łąk zalewa powietrze; głos słowika odzywa się w sadach zamkowych. Ale pod murami, z dwóch stron, rozciągnęły się obozy. Ognie się palą. Gdzie niegdzie, przy zatkniętych pikach stoją powiązane konie, to rżą, to parskają, to biją kopytem. Gwar ludu wojennego. Tu kozacy, tu pancerni, tam husarze, pod otwartém nocują niebem: czekaią jutrzenki i rozkazu Buczackich. Czaty zdaleka porozstawiane. Wśród wrzawy

przytłumionéj, słychać czasem, to głośny krzyk, to szczęk broni, to szczekanie psów, lub spiew ukraińskiéj dumy, jęczącéj po obszernych stepach, jak wiatr żałośny.

Na zamku grzmią surmy i muzyka. Z okien łuna świateł płonie; jeszcze nieskończono biesiady. Na środku sali rozległéj, stół długi, na którym połyskują wielkie srébrne puhary. Wokoło wojownicy, w jasnych zbrojach, w siatkowych pancerzach, w żupanach, lub burkach. Wzrok surowy, ostry, wąsy sterczące, głowy wygolone świécą łysiną. U niektórych brody na piersi i włosy do ramion spadają. Przytém porąbane twarze, postaci wysokie, i ruch śmiały wydaje garstkę tych mężnych, co bez ustanku ściérają się z Tatarami, i odpędzają dzicz z pól Ukrainy. Bracia Buczaccy wraz z krewnymi i przyiaciółmi, poświęcają tę noc, przy kielichu, rozmowom i zabawie. Kielich i Tatarzy, miłość dla wiernéj żony lub kochanki, i wiara święta w sercu: oto całe ich życie. Na ogromnych krzesłach siedzieli przy sobie trzéj bracia Buczaccy: Michał, Teodor i Bartosz. Przy nich Jan Łaszcz

podkomorzy podolski z synami, Stańko, Siemion Oleskowicz młody książę na Słucku, wraz z siwym Iwanem Ostrogskim. Przebora, wysoki litwin, Mieleszko kozak, i inni młodzi przyiaciele i sąsiedzi, których ród lub interes łączył z familiją Buczackich, a którzy mężnym wojownikom przyprowadzili swoje hufce, na wspólną obronę przeciw pohańcom. Brzęk puharów nieustanny; miód się leje z beczki. Tatarzy i hajducy roznoszą. Lecz na twarzach biesiadników już wystąpił purpurowy rumieniec. Humor wesoły panuje nad towarzystwem. Przy rozmowie głośnéj krzyczą i śpiewają. — »Jeszcze ten jeden puhar, za wasze zdrowie, sąsiedzi!« rzekł Bartosz Buczacki, biorąc ogromny roztruchan napełniony miodem. »Kto wie! jutro może śmierć gdzie nad brzegami Dniestru.« Na to wykrzyknął cienkim głosem Ościk litwin: »Już ja byłem w ręku tatarskiém; odartego już mnie prowadzili do chana; już chcieli wiązać powrozami ręce. Ale ja upatrzyłem na boku rumaka, porwałem pałasz stojącemu przy mnie bisurmanowi. Strach wszystkich rozpędził, skoczyłem na arab-

czyka, i dalej w stepy. Matka Najświętsza wybawiła mnie wtenczas. Orda Tatarów przedemną i zamną; lecz wszystko ustąpiło. Chmury strzał na mnie rzucono, żaden mnie jednak pocisk niedotknął. Trzy dni pędziłem i trzy nocy, i arab niepadł podemną!«

»Gorzej mnie było,« zawołał Jan Władyka herbu Sulima, suchy, lecz jaskrawych oczu wojownik. »Ja już leżałem z trupami na trzęsawiskach. Strzała tatarska z boku mnie przeszyła. Zemglałem na chwilę, lecz żyłem i czułem wszystkie siły w sobie. Niebyło gdzie uciekać. W około szarańcza i Tatary; a wszyscy nasi poginęli. Leżałem więc na błotach i udawałem trupa, oddając się w opiekę Najświętszej Pannie. Przyszła orda Tatarów, obdzierała pobitych. Zbliżyło się do mnie dziesięciu bisurmanów. Ten wziął hełm, ów odpiął zbroję, ten szaty drogie odrywał. Tylko mi na piersiach został poświęcony obrazek Najświętszej Panny. Już sięgnął po niego Tatar. Zadrżałem, westchnąłem do Boga i chciałem zginąć. W tem Tatar zobaczywszy świętą Patronkę, rzucił mi ją znowu na piersi. Odżyłem i

postanowiłem nieruszać się. Zerwali wszystko z mojego ubioru; poszły łańcuchy, karaceny i dzięgi tatarskie. Oni jeszcze oglądali, czy niema co do zabrania. W tém jeden z Tatarów postrzegł sygnet na moim palcu: daléj po niego. Lecz trudno było zdjąć, bo palec nabrzmiał. Wyrywa więc kindział, przykłada do ciała. Ja czuję i milczę, a on mi palec z sygnetem odrzyna. Patrzcie! ta ręka o czterech palcach tylko, lecz jeszcze kordem tatarskie zawoje siecze. Dłoń nie taka, jak dawniéj; lecz to samo męztwo i życie, które wam przyniosłem.«—»Niech żyje Władyka! niech żyje Ościk!« zawołał Jan Łaszcz ogromnéj twarzy i długiego wąsa. »Szczęśliwszy kto, jak ja i Buczaccy, zawsze wojuje i zawsze zwycięża. Pędzimy Tatarów po Ukrainie, jak zubrów po puszczy litewskiéj. Czy pod Dniestr, czy pod Dniepr, czy pod Perekop, czy na Kapczaku, bijemy wszędzie. Tu nam w ręce wpadną ścigłe rumaki krymskie. Tam jeńców tatarskich niemało. To znowu pieniądze, srébro, złoto i klejnoty. Ale częściéj bogactwo własne: lud z Ukrainy, z Podola, z Litwy, tłu-

mami pędzony w niewolę. Szlachta i chłopy razem pomięszani. Tysiące dziewic w jassyr zagnanych. Bracia! niczém są wtenczas skarby, przy łzach radości, któremi się nieszczęśliwi zalewają! — »*Vivat* Łaszcz — *Vivat* Buczaccy!« wykrzykli biesiadnicy; wraz puhary brzękły, muzyka zagrzmiała i znowu ucichło. — »Precz smutne myśli, zawołał Siemion Oleskowicz książę na Słucku, bogaty pan niezliczonych włości. Przynajmniéj jednę chwilę przepędźmy wesoło! Jutro z wami pogonię Tatarów na moim koniu, jak śnieg białym, i strzelać będę do głów bisurmańskich z łuku mojego, jak strzelam jaskółki w powietrzu! Dziś dajcie nam się ucieszyć! Śmiechy i wesołość! Puhar i miłość! — Muzyka! słuchajcie panowie bracia, zaśpiewam.« Na ganku sali ucichły natychmiast wrzaskliwe surmy, odezwał się flet a zanim arfa. Siemon śpiewał:

W jasne listki się rozwinie
Kiedy kwiatek młody,
Ale z czasem listek zginie,
I zwiędną ogrody.

Pokąd jeszcze młodych latek
  Czyjeż będzie, czyje,
Piękne dziewcze, jako kwiatek,
  Co ją ojciec kryje?

Tam na wschodzie ranek świeci
  Różowym promieniem;
Lecz niedługo on odleci
  I zgaśnie przed cieniem.
Pokąd czysty świeci wianek
  Czyjeż będzie, czyje?
Czyste dziewcze, jak poranek,
  Co ją ojciec kryje?

Jęczy w klatce i narzeka
  Turkaweczka biała,
Tego pragnie, tego czeka,
  Aby uleciała.
Gdy zamknięta jest klateczka,
  Czyjeż będzie czyje,
Lube dziewcze, turkaweczka,
  Co ją ojciec kryje?

Przyjemna wesołość osiadła na lica przytomnych. Każdy te piosnkę powtarza; śmiech i wrzawa ogólna. Jeden tylko Michał Bu-

czacki, ojciec Zofii, spuścił głowę na piersi. Milczy, a łzy mu kroplami spadają po zmarszczonych jagodach. Zasłonił twarz burką, aby swoje cierpienia ukryć. Spostrzegli to sąsiedzi: „Na Boga! krzyknęli wszyscy; Panie Starosto! Panie Michale! co tobie! ty się smucisz, ty masz zgryzotę, kiedy my u ciebie biesiadujemy i bawimy się wesoło! Powiedz, na imię Najświętszéj Panny! jeszcze są kordy. Potrafimy się pomścić twéj krzywdy. Powiedz tylko.«—»Nie, kochani przyjaciele!» rzekł Buczacki, którego szlachetna postać, i głos szczéry i przyjemny zawsze ujmował przytomnych, chociaż charakter dziki i srogi przerażał wielu —»Nic. Mimo woli łzę uronić musiałem, widząc waszą wesołość, wasze szczęście, i wspomniawszy na to, że każdy z was, w tym gronie, ma coś na ziemi, co go przywięzuje: ma pociechę domową. Dla mnie, nic już niepozostało na tym świecie; a w śród bogactw, uczt i wesołości, sam jeden jestem, jak ptak. Prócz gości, niema na starość nikogo, do kogobym mógł serce moje przytulić. Bracia moi, jak ja, zawsze we krwi, zawsze w polach; sio-

stry, z zamku kaniowskiego Tatarzy w jassyr zapędzili; żona skonała przy moim boku; sam jestem, sam tylko!«—»Jakto! wołali biesiadnicy. »Gdzie? towarzysz twych wypraw, mężny, jak ty, jak ty osiwiały; gdzie jest twój przyjaciel, Jurgo«—»Jurgo! krzyknął starzec z westchnieniem.« Jurgo! zdrajca! głowa jego już dawno na rozstajnych drogach; niewiecie o tém? On miał zmowę z Ecynem i z Tatarami, zmowę potajemną. Nie mogłem dojść; czy sam chciał do nich uciéc czy miał myśl zamek im wydać. Ukarałem zbrodniarza; już nie żyje.«— Zmięszali się przytomni bracia i przyjaciele, lecz mówili daléj: »Z Jurgą wszystkiego nieutraciłeś przecie. Jakto, czy niemasz już żadnéj istoty w twoim zamku, którąbyś kochał! Gdzie Zofija?«—Milczał ojciec, twarz mu bladła i rumieniła się, zgrzytał zębami, lecz milczał. »Gdzie Zofija? zawołał Łaszcz,«—już czas ją na świat pokazać. W niéj mieć będziesz twoje szczęście, dobierz sobie tylko zięcia. Oto masz, przyprowadziłem ci moich synów: młodzi, mężni. Jest Siemon: co tak skromnie piosnką się o córkę przymawia.

Jest tyle przy tobie młodzieży, rodem, majątkiem i odwagą równéj tobie. Wybierz a będziesz szczęśliwy! starość twoja przy dzieciach spokojnie upłynie. Niespotkasz nigdy nudy, tęsknoty i łez.— Lecz gdzie twoja córka?—»—Gdzie twoja córka? wołali wszyscy, gdzie Zofija?«—»Tam!« zawołał z trwogą ojciec, a ręką wskazał ku ścianie, na któréj wisiał krzyż wielki z Chrystusem Panem. Zadrżeli starzy, struchlała młodzież, nikt się nieodważył zapytać o więcéj.

IV.

Burza czarnemi obłokami zakryła niebo. Północ ciemna. Czasem tylko, długą, jasną wstęgą mignie w powietrzu ognista błyskawica i oświeci pomszałe wieże zamku Buczackich. Lecz któżto o téj porze, jak duch błąka się pomiędzy murami. Niespokojny, drżący, odzież na nim mnicha, długi kaptur, u paska paciorki; jednak ani do nieba oczu podniesie, ani z ust jego wymknie się słowo pacierza. Stanął. Namiętne, wściekłe spójrzenie utopił wysoko w zamkowe okno.

Ztamtąd jedno światełko byłoby dla niego gwiazdą zbawienia. — Wygląda na próżno — czarne i smutne szyby, jak dusza, która mu ciężży w piersiach. Niepewne myśli ścigają go wszędzie, jędze jego przyszłości. Nie-ma już rady dla siebie. Zmąciło rozum u-czucie, a wraz z nadzieją życie ucieka. Choć oczy zwrócił ku oknu, niewidzi go jednak; bolesne marzenia, przepowiednie cięższych nieszczęść, zalały mu zmysły. Niesłyszy huku burzy i trzasku piorunów. Głos ja-kiś okropny, odzywa mu się z piersi: głos, którego zrozumieć niechce. W tém zbliżył się niewolnik, i stanął przed nim.—»Ach to ty Celbugo!« zawołał mnich z radością,—»tyś mnie poznał, wyłamałeś kratę, wyrwałeś się z twojego więzienia.«—»Tak! rzekł Tatar. Rodzie girejów, słońce diamentów, ja ciebie i w giaurów sukience poznałem. Złamałem kratę i tu przybyłem na twój rozkaz, wiel-ki Chanie. Niech stopa twoja stąpi na czo-ło twojego niewolnika. Każ abym sobie wydarł życie, a na rozkaz twój padnę bez duszy u nóg twych Ecynie!—»—Celbugo! pamiętasz te czasy, kiedy pomiędzy sta-

dami koni krymskich, uczyłeś mnie strzelać z łuku. Pamiętasz później, jak w stepach Kapczaku, dzieliłem się z tobą ostatnim kawałkiem żywności! Pamiętasz, że w każdą noc, ty jeden spałeś u stóp moich. Pamiętasz jak razem oba wpadliśmy w ręce giaurów, i jak o tobie pamiętałem.—Celbugo! ja niechcę stąpić nogą na twe czoło, niechcę twoiéj krwi. Lecz wyznaj prawdę szczérze, powiedz gdzie jest córka Buczackiego, gdzie Jurgo!—»—Chanie mój! święta krwi gireiów! Jurgo zabity, i córki Buczackiego już niema. Jurgo, podług umowy, przy ucieczce miał się z tobą nad brzegiem Bohu zobaczyć, przyrzekł ci to, i chciał dotrzymać. Lecz niestety! Tatar, coś go wysłał do Jurgi, z doniesieniem o dniu i godzinie zejścia się, wpadł w ręce Buczackich. Wydała się umowa. Próżno starzec łzami oblewał nogi przyjaciela; próżno niebios wzywał na świadka swéj niewinności. Trzasnął mieczem, i głowa odskoczyła od tułowia. Ileto było płaczu w zamku. Każdy jęk pozostał w méj duszy. Widziałem, jak starosta wszedł do komnaty swéj córki. Długo łzy, dłu-

go prośby słychać było. Potém jęk silny żalu, czy rozpaczy, któryby niebo przebić mógł. Zaraz zajechał zasłonięty wóz, jak mary giaurów. Wsiadła blada, łzami zalana Zofija, nasz anioł.—Wsiadł milczący i srogi ojciec — odjechali. Ach! Chanie, Ach! Ecynie, oni do krain wieczności odjechali, z których tylko sam wrócił Buczacki, smutny, niespokojny. O córce zakazał wspominać pod karą śmierci. Odtąd na zamku pusto i dziko. My dawniéj wolni, my, cośmy prawie nieczuli naszego więzienia, wróciliśmy w podziemne jamy z kajdanami na ręku i nogach; bo już nie było anioła, coby nam choć na chwilkę swobodę przywrócił. Ale tyś przybył Ecynie! rzuć tę niewiernych siermięge! Rozkaż. Stu twoich poddanych, co jęczą w sklepach zamku, wyłamią się! pochwycą broń! Ogień i zwaliska.Ałła i prorok! Lecz ty drżysz, szablo naszéj obrony! tobie ręce zdrętwiały. Tyś bez sił. Ciebie słabość porwała—»—Nic to, nic!« rzekł Ecyn wolno i spokojnie, jak gdyby inny człowiek. Nagle wszystkie burze zamarły w jego du-

szy. Pozostała tylko jedna myśl tajemna, czarna, i gorsza od zbrodni. Powstała boleść tajemna, trawiąca. Robak nieszczęścia, co mu w milczeniu serce pożera.—»Nic! powtórzył, wróć do swojego więzienia i powiédz współbraciom, że za trzy dni będą w Krymie. Teraz idź mi z oczu, niech ciebie nie widzę, oddal się. Spojrzyć na twoję postać nie mogę. Okropnym jest dla mnie twój głos. O przebacz kochany Celbugo! ty sam niewiesz coś mi powiedział. Nieodzywaj się—uciekaj!« Odszedł Celbuga. Mnich pozostał jeszcze. Obchodzi mury, lecz niespogląda już w okno. Chciwemi, suchemi oczyma, szuka po czarnych niebach błyskawicy. Słuchem chwyta głos grzmotów. Nasyca się widokiem przerażającym, i czuje roskosz, czuje odwagę, czuje dawne swe siły. Wszystkie uczucia rozpalają się w jego duszy; tylko gaśnie na wieki miłość cnoty. Bo już niewidzi na ziemi przedmiotu godnego, coby go tym węzłem ze światem mógł łączyć.

V.

BUCZACKI.

Ledwie cię z rąk tatarskich wyrwałem, ojcze! Ledwie kilka dni zabawiłeś z nami, i już chcesz nas porzucić na zawsze.

MNICH.

Niech błogosławieństwo Boga Najwyższego spadnie na wasz dom, łaskawy panie! Wielem wycierpiał od niewiernych. Podróżnego złupili. Zabili sługi klasztorne, co w jednę ze mną puścili się drogę. Mnie tylko zostawili przy życiu, aby się z żyjącego najgrawać. Modliłem się ciągle i miałem jakąś nadzieję. Dziś dziękuję Bogu, i do śmierci dziękować będę, że przez wasze ręce wybawiony zostałem z ciężkiej, ach! z ciężkiej niewoli. Lecz choć tyle łask na waszym zamku doznałem, czas jednak wracać do klasztoru.

BUCZACKI.

Zostań z nami, ojcze duchowny! Twoja pokora, twoja pobożność, przypomina mi

dawnych ojców kościoła. Szanuję twoję świątobliwość. Z tobą jednym chciałbym żyć. Bo tybyś mnie prowadził drogą pokuty i cnoty. Zostań z nami, ojcze.

MNICH.

Przebacz łaskawy panie! Na Siedmiogrodzie mój klasztor. Tam złożyłem przysięgę przed ołtarzem i przed braćmi. Tam moje obowiązki. Z tamtąd łzy moje i modły, ku twojej stronie płynąć będą bez ustanku.

BUCZACKI.

Ja tak samotny na moim zamku! Nikogo niemam dla mojéj duszy. Ty jeden jesteś, któregobym wybrać mógł. Tak jesteś cichy, tak posępny, tak lubisz spokojne ustronie, tak unikasz ludzi, jak ja. Wszystko, co ty masz, zdaje mi się jak gdyby było moje własne. Nic w tobie niema obcego. Często mi się marzy jak gdybym cię kiedyś znał. Jak gdybyś się urodził na moim zamku. Od kilku dni bawisz z nami, a poznałem ciebie. Ojcze! nieżo-

stawuj mnie samemu sobie; ja potrzebuję pomocy twojéj.

MNICH.

Panie, tobiem winien życie i więcéj nad życie: boś ty ochronił szatę moję poświęconą, od wzgardy nieprzyjaciół. Do duchownéj pomocy jestem gotów. Lecz porzucić cię muszę. Chciéj tylko panie! a znajdziesz słodycz życia na łonie rodziny.

BUCZACKI.

Na łonie rodziny mojéj! ojcze! niewiesz coś wymówił! Na łonie rodziny mojéj! ojcze, zrób niech mi ją Pan Bóg odda, niech mi ją wróci! Jednę istotę niech mi powróci, będę szczęśliwym! Ojcze niewspominaj o moim rodzie, jeżeli niechcesz, aby mnie zgryzota dobiła.

MNICH.

Bóg co wziął, zapewne z twoją wolą łaskawy panie! Sameś więc zgubił, za czém dziś tak tęsknisz.

BUCZACKI.

Ojcze! ona sama chciała. Ja jéj się sprzeciwiać nie mogłem. Jedyna moja nadzieja. Piękna, jak anioł. O piękniejsza daleko! Przed nią, na kolana padała ozdoba naszéj okolicy: mężni i urodziwi młodzianie. Ona wzrok od wszystkich odwróciła! Ty oczy swoje zakrywasz, drżysz, pobladłeś, w twarzy twojéj, jakieś dzikie uczucie ojcze!

MNICH.

Nic to, mój panie! każde nieszczęście tak mnie przeraża. Daruj mojemu uniesieniu! Więc prawda, że twoja córka przez ciebie...

BUCZACKI.

Milcz ojcze! ani słowa już o niéj! Stało się.... A ty, widzę jesteś tą żmiją, coby wszystkie tajemnice z serca mego wyssała. Jabym przy tobie nic nie miał mojego. Nie ojcze! ja potrzebuję pociechy tylko, ja chcę, aby mnie kto pamięć moję wydarł.... Ale biada, kto dotyka głębi duszy mojéj. Ojcze, to była chwilowa słabość, ja

ciebie niechciałem zatrzymywać. Sam zostanę. Ach! gorzéj z ludźmi jak samemu. Odjedź — konie czekają na ciebie. Bądź zdrów ojcze, zobaczemy się może kiedy....

Skłonił się mnich i wyszedł. Siadł na wóz. Porwały go rumaki; leci jak ptak przez powietrze, jak wiatr, jak błyskawica. Jednak odwrócił głowę ku zamkowi, i patrzy. Zielone, obszerne wały, wysokie mury i czarne baszty z grubego kamienia. Okna błyszczą ogniem słońca. Mnóstwo ludu; proporce, zbroje i konie. Obraz wspaniały ginie mu, ginie na tle niebios w milczeniu ponurém. Spogląda, a silne wyrazy, z całą mocą duszy wymówione, słychać z ust jego. »Wśród najpiękniejszych kwiatów, najjadowitsze gady! Lecz najmocniejsza wymowa, gdzie najmniéj głosu. Najsilnieysza śmierć w uśmiechu zabójcy. Dziki ojcze! tyś przelał krew własną. Sumienie rwie duszę twoję. Szukasz spokojności, milczenia.—Znajdziesz.—Chwilka jeszcze. Nasypię gruzy z twojego zamku na twój grób. Lecz to mało. Ona nieżyje! Jak daleko na téj ziemi w około twego zam-

ku żyją giaury; jak tylko najdaléj żyją na téj ziemi tobie podobni, wszyscy bez wyjątku wyzioną dusze przy moich stopach. Ostatnia moja roskosz, biesiada na pogrzebie! Chwilka jeszcze, chwilka jedna!« Już mu znikł zamek z przed oczu. Wóz pędzi. Ale z daleka w trawach czołgają się, jak węże, ludzie. Wzrok ich bystry, ucho wytężone, w ręku łuk, u boku pałasze. Czekają na znak. Mnich skinął. Tłumy Tatarów w około niego. Patrz, zrzuca szatę. Wojenny turban na głowie. Płaszcz zwieszony na ramiona. Żelazo w ręku i rumak pod nim. Wrzawa tysiąca głosów, bije w niebiosa. Biada tobie Ukraino. Ta wrzawa jest wyrokiem śmierci dla ciebie!

VI.

Już rozpuszczone zagony po Ukraińskiej ziemi. Długim tłumem, jakby jednym rzędem, jakby rozległym lasem, posuwają się Tatary. Ecyn na czele. Grzmią surmy i trąby, huczą kotły, atłasowe chorągwie powiewają w powietrzu, i bunczuki czarne.

Rżą konie, okrzyk wojenny rozlega się po polach. Przed Ecynem trwoga. Uciekają nieszczęśliwi mieszkańcy. Porzucają domy i pałace. Równie bogaci, jak biedni, młodzi i starcy, kobiety i dzieci, tułają się po obszernej przestrzeni; unoszą życie szukając schronienia przed śmiercią. Łzy i jęk. Rozpacz i zamięszanie. Za Ecynem, jak długa ciągnie się kraina, tak zaległo grobowe milczenie. Palą się wioski i miasta. Po drogach trupy rozwleczone leżą, bez szat i bez nadziei pogrzebu. Drapieżne sępy gromadami unoszą się w powietrzu, nad spustoszoną ziemią. Padł i zamek Bracławski. Na wzgorzu nad Bohem, dymią ostatkiem pogorzeli połamane mury, zwalone baszty, kupa gruzów, z których wygląda jeszcze całemi oknami jedna komnata ocalona, jedyne źródło nieszczęść i rozpaczy. Żaden się głos nieodezwie; niewidać nikogo. Gdzie pan, gdzie jego sługi, gdzie hufce świetne? Wszyscy, jednem słowem, razem, żywcem w ziemię zakopani. Zwaliska ich pokrywają. Wiatr szumi po rozległych stepach.

Ecyn na koniu wśród swoich ord niezliczonych. Uśmiech złośliwy twarz mu wykrzywia, jak gdyby pół ciężaru zrzucił z piersi swoich, tak szczęśliwy, tak lekki. Zachmurza czoło, ile razy przed sobą spojrzy. Rozjaśni lica, ile razy za siebie spogląda. Skinie na wioskę: już wioska w płomieniach. Skinie na miasto lub zamek: już same zwaliska i giaury bez ducha.

Jeszcze w obszernych polach bieli się klasztor, jak łabędź na sinych wodach. Sterczą wysokie wieże, i krzyż obłoki trąca. Czy go Ecyna oko nie spostrzegło: czy Anioł niebios skrył mury święte, przed oczyma niewiernych, lub rozsiał trwogę nadziemską w serca Tatarów, że się w to ustronie zbliżyć nie ośmielą. Chan stanął. Spogląda, dziwi się, że dotąd nie widział. Jakto! krzyż nie spadł jeszcze na rzut jego oka. Czyto warownia, czy zaczarowane miejsce, którego się Tatarzy lękają. Dał znak, sam sunął się ku téj stronie, za nim warknęły w powietrzu chorągwie, jękła ziemia. W największym pędzie, wszystkie tłumy spieszą za dowódzcą. W mgnieniu

oka otoczony klasztór, jakby morzem głów tatarskich. Jednak nikt wejścia nie broni. Roztwarty dziedzieniec, cmentarz, na nim nagrobki, krzyże, kwiaty i drzewa. Kościół zamknięty. Głos organów—pobożna żałosna pieśń odbija się uroczyście. Niewidać żadnego człowieka na dziedzińcu; wysoko tylko, na obszernym ganku klasztornym, stała jak posąg niewiasta, w zakonnym stroju. Czarne długie szaty; czarny welon; krzyż w ręku. Pod tym znakiem chce z odwagą zginąć; nie czeka śmierci; sama wyszła na jéj spotkanie. Na ten widok, zawyły dzikim przeraźliwym głosem ordy tatarskie. Chmury strzał ze wszystkich strón puszczone z łuków bisurmańskich, w jednę uderzyły kobietę. Padła bez zmysłów, krew oblała sukienkę poświęconą. Dziwi się Ecyn, że jedno stworzenie, że niewiasta, śmiała oczekiwać z takiém męztwem na ich przybycie. Zatrzymał konia na środku cmentarza. Rozkazał. Natychmiast ciało zakonnicy, w którém tkwi tysiące strzał, znoszą mu z ganku na rękach jego poddani i bracia. Już mar-

twa, już bez czucia, a jeszcze rękoma zdrętwiałemi krzyż święty całą siłą przyciskała do piersi. Złożono zwłoki u stóp dowódzcy. Ecyn, pan milijona istot, pan śmierci i życia mieszkańców Ukrainy, Podola i Litwy, spojrzał na trupa. Zadrżał, włosy mu powstały. Twarz bladą siność okryła. Jęknął, obsłonił płaszczem głowę, skinął... ucieka. Za nim chorągwie, za nim cały lud, jak gdyby jedną myślą dotknięty, jak gdyby przed nieprzyjacielem zwycięzkim, przerażony i drżący uchodzi ku czarnym lasom, szlakiem do swojéj krainy. Tentni ziemia. Chmura piasku okrywa tłumy. Żaden z uciekających nie śmie za siebie spójrzéć. Pędzą; już są daleko, jak bór czarny, jak pas czarny, jak plamka, co rusza się i ginie w stepach zielonych.

Rozmaite wieści rozchodziły się pomiędzy ludem Podola i Ukrainy. Jedni mówili, że jakieś czary odpędziły nieprzyjacioł. Bliżéj klasztoru mieszkający, osobliwie zakonnice, opowiadały, jak cudem, jak ręką Wszechmocnego dotknięty pohaniec, z trwogi porzucił łupy i kraje zdobyte, i uciekł.

Inni zapewniali, że Ecyn dostał pomieszania zmysłów i opuścił zdobycz nagle i nadzwyczajnym sposobem. Każdy ucieczkę Tatarów, tłumaczył podług swoich domysłów. Nikt jednak niewiedział, że zakonnica z krzyżem u stóp Ecyna złożona, była Zofija, córka Buczackiego.

A. J. Szabrański.





Drawn by J. M. W. Turner, R. A.

Engraved by R. Wallis.

PRZEJAŻDŻKA PO JEZIORZE.

Przejażdżka po Jeziorze.

(z ryciną).

W całym blasku wiosny pora.
Czarodziejska okolica,
We zwierciadle wód jeziora,
Nadbrzeżne maluje lica.

Śród zwierzyńca, pałac biały
Wznosi kształty swe urocze;
Naokoło, park wspaniały
Kąpie swoich drzew warkocze.

Słońce, twarzy wiecznie młodej,
Okoliczne złoci wzgórza;
A jak gdyby dla ochłody,
W jeziorze skroń swą zanurza.

Brzmi po parku głos radosny.
Już po ślubie państwo młodzi,
By użyć pogody wiosny,
Płyną po srébrze powodzi.

Bystre fale toczy woda,
Radość tchnie w weselném gronie;
Wtém ze statku panna młoda,
Wpada w jezioro i tonie.

W mgnieniu oka już w głębinie,
Za kochaną, oblubieniec!
A tak w jednéj chwili ginie,
I dziewica i młodzieniec...

Rozpacz lica wszystkich znaczy, —
Przed chwilą byli weseli!
Żywą radość od rozpaczy,
Często jedna chwila dzieli...

Teofil Nowosielski.

w Pamiętniku ***

Upragniona, mało znana,
Wiwat przyjaźń niezachwiana,
Wiwat bratnia silna dłoń!
Wiwat, wiwat skromny bratek,
Jedyny wtém życiu kwiatek,
Godzien zdobić mędrca skroń!

Ale wyznam ci otwarcie,
Jeśli mam być na téj karcie,
Jeno mólom na pastwisko,
Nim wtwéj zgasnę wyobraźni,
Proszę cię, wimię przyjaźni!
Wydrzyj i spal me nazwisko.

Tak w opłakanéj kolei,
Choć nie będę miał nadziei,
Że mój los twą łzę wyciśnie,
Przynajmniéj smutnym wyrokiem,
Tkliwy tułacz przed twém okiem,
Jeszcze błyśnie, jeszcze błyśnie.

Ab. L.

WYJĄTKI Z POEMATU:

KOBIÉTA,

pisanego w Olchowcu w roku 1833.

Jeszcze dzieło stworzenia niebyło skończone:
Ręką Boga cudownie do biegu naglone,
Miliony gwiazd w przestrzeni,
Koła niezmiernych kreśliły promieni;
Młode słońce swych ogni blaski potężnemi,
Żywą naturę z martwéj wydobyło ziemi;
Wielorakiego życia odziały ją wdzięki,
I pierwszy mąż, arcytwór Wszechmocnego ręki,
Mądrości wieńcem strojne wzniósł wyniosłe skronie,
I z berłem możnéj woli siadł na ziemskim tronie.

Tak od bryły do męża już wszystko stworzone;
Jednak dzieło stworzenia nie było skończone.
Jakiż jeszcze twór ujrzą zadziwione światy?
Jakiém życiem natchniony, w jakie strojny szaty?
Zda się, że mąż, co berło ziemskie silnie ima,
Pierwsze miejsce pod słońcem bez udziału trzyma:
Nie! temu, który mądrość i siłę dziedziczy,
Inna gwiazda w ogrodzie szczęścia przewodniczy;
Gwiazda z gwiazd najświetniejsza, co nowo wykwita,
A tą nieba wysłanką, jest—pierwsza kobiéta!
Ją stworzywszy, Bóg ziemi kazał bydź skończoną,
I uczynił kobiétę swoich dzieł koroną.

* * *

Wiosna się ku nam uroczo śmieje,
Hojnych nam plonów kréśli nadzieje,
A tę nadzieję malują kwiatki:
I nasze życie choć postarzeje,

Kiedyś w przyszłości znów odmłodnieje,
A tą nadzieją są nasze działki.

Skoro majowy błyśnie poranek,
Widzę, jak dwoje wesołych dzieci,
Tam gdzie te lipy cienią kurhanek,
Z chatki na trawkę igrać wyleci.
Chłopczyk narobił radośnego krzyku:
Znalazł kij!—na nim, jakby na koniku,
Wywijając, chce panem bydź całéj murawy,
Walczy, depcze i sieka nieprzyjazne trawy.

Inna zabawa dziewczyny,
Inne ją myśli zajmują;
Nigdy wojenne wawrzyny
Jéj spokoju nie zatrują.

Cichéj wioski wychowanka,
Pamiętna matki zachodu,
Zbiéra kwiateczki do wianka,
I już się uczy za młodu,
Strojąc lalkę w wonne kwiatki,
Żyć serdeczném życiem matki.

I tuli lalkę do drobnego łona,
I zda się niemym płaczem jéj strapiona,

I tak iéj drogie to dziecię,
Że go nie odda za wszystko w świecie!

*
* *

Jako na wiosnę, gdy prysną lody,
Rzeki doliny zaleją,
I wnet się łąki zazielenieją,
I piękne kwiaty porosną;
Tak przyjdzie wiosna i na wiek młody,
Kiedy namiętność serce otoczy,
Gdy się na piękność otworzą oczy,
I dusza weźmie barwę miłośną,

Miłośną, rzewną, tęskliwą;
Ziemia starczyć jéj nie zdoła,
Chce być w niebie, być szczęśliwą,
Czegoś pragnie, kogoś woła.

Aż tu błyśnie jéj na jawie,
W snuułudzie wypieszczona,
Istność sercem utęskniona,
Istność lotna, — anioł prawie,
Młodzieńcowi błyśnie w jawie.

Istność luba, w któréj oku,
Jak w niebieskich źródeł stoku,

Błyszczy gwiazdka czysta, święta,
Z przedwiecznego tchu poczęta.

Jstność piękna, co na ziemi,
Ponad wszystkie wyższa kwiaty,
Co nam milsza wdzięki swemi,
Nad woń ranku, zórz szkarłaty.

Istność taka—któż-to taki?
Co za jedna ta niebianka,
Co błękitne zbiegła szlaki?
To kobiéta—to kochanka!

* * *

Czarowładna kochanko! z twéj dziewiczéj ręki
Wziął świat duchowy najcudniejsze wdzięki.
W twém oku pierwszy śpiewak wyczerpał natchnienie,
I przelał w Poezyę swéj duszy płomienie;
Nie mogąc cię pozyskać, tyle sztuki łożył,
Że cię ma na obrazku, i Malarstwo stworzył;
Kochając, słyszał miłość kwilące słowiki,
I przemówił do ciebie słowami Muzyki;

Widokiem twoich skarbów um swój rozpłomienił,
I wraz głazy z pięknością i życiem ożenił.
Za czasów kiedy serca czulszemi bywały,
Myśl o tobie do świetnéj prowadziła chwały.

*
* *

Kochanka, w sercu podniosłém młodziana,
Tajne dla gminu roznieca zachwyty;
Myśl jego w lubéj obraz przyodziana,
Cudnie się wzbija na nieziemskie szczyty.
Wzgardziwszy niecne, poziome zapały,
Na falach rojeń ściga rozkosz duszy;
Bóstwu swych myśli poświęcony cały,
Sam tylko człowiek ziemskie więzy kruszy.

*
* *

O! choćbyś twojéj trzody i lepianki
Nigdy nie rzucił jeszcze od powicia,
Wiesz-li co miłość? co żyć dla kochanki?
Gardź światem—jużeś wyssał słodycz życia.

*
* *

Tylokrotnie w swém życiu od cierpień nękany,
Człowieku! jak osłodzisz twój los opłakany?

Nieszczęsny! ja ci wskażę tę słodką istotę,
Która sama najlepiéj nagrodzi twą cnotę;
Każdą twą radość swoją radością pomnoży;
W twém szczęściu swoje szczęście jedyne położy.
Jeżeli ciężki smutek pochyli twą głowę,
Ona go z tobą dzieli i zmniejsza połowę.
W ubóstwie, jéj, choć słabe, ale wierne ramię,
Ociera z twego czoła dziennych trudów znamię.
A jeżli cię na łożu uwięzi choroba,
Czułe jéj serce czarna pokryje żałoba;
Dzień i noc przy twém łożu siedzi zapłakana,
choć sama czuwaniem już mocno znękana,
Sen od siebie odgania, twych skinień pilnuje,
I jako czuła matka ciebie pielęgnuje.
Jeśliś przyszedł do zdrowia, — nad twoje uśmiechy,
Niema dla niéj na świecie silniejszéj uciechy.
Wierna w przyjaźni, w miłość i wdzięki bogata,
W raj zamienia zacisze domowego świata!
Zapomnisz że są ludzie, tuląc ją do łona;
Taką jest ta istota — ta kobiéta — żona!

* * *

Czy widzisz na téj urwisku opoki,
Co dźwiga nad jeziorem swój szczyt pod obłoki:
Tam siedzi jakaś kobiéta i śpiéwa,
Przy niéj para aniołków dzikie kwiatki zrywa....
Przebóg! niebaczny chłopczyna
W nieszczęsnéj godzinie,
Gdy się po urwiskach wspina,
Zleciał w przepaść: i ginie!
Matko! co robisz! wszak to drugie dziecię....
Nieszczęsna! już ty nie na naszym świecie!
Jużeś lotem błyskawicy,
W bezdenne skoczyła tonie;
I jak w obrazie Boga-Rodzicy,
Tulisz dziecinę na martwém łonie!
Śmiertelny! uderz przed kobiétą czołem:
Matka, jest ziemian najbliższym aniołem.

Wiktoryn Zieliński.

KLECHA.

OBRAZ (*)

W słowiańszczyznie przed-chrześciańskiéj, Klecha miał poważne znaczenie; byłto naczelnik pewnéj drużyny ludu, tak jako *Kniaź* lub starosta. (a) Jak dalece władzę rozciągał, nie wiem; ale zdaje się, i z pewnością twierdzić mogę, że Klecha, był także stopniem, u naszych ojców niechrzczonych, kapłana, i ztąd przy wprowadzeniu chrześcjaństwa utrzymał się, wraz z nazwą starą, przy kościele wiejskim, dla pomocy plebana.

(*) Wypis skrócony z dzieła: „Badania starożytności Polskich i Ruskich."
(a) Zorjan Dołęga Chodakowski: — O Słowiańszczyznie przed-chrześcijańskiéj.

Mało ludzi miało tyle zatrudnień, ile Klecha we wsi; była to ważna i znacząca figura. Nawet wpoczątkach XVII wieku, kiedy kantor go spotyka, temi słowy wita:

»Ciebie tu *Dominusem* często nazywają,
»Żeś zjadł wszystkie nauki, tak ludzie mniemają:
»Nawet jakom zrozumiał, leczysz i niewiasty,
»Którym podczas przygody, dajesz leda chwasty
»I rozumieją wszyscy: że niemasz doktora
»Nad ciebie uczeńszego, jako'm słyszał wczora." (b)

Ale nietylko we wsi sława Klechów brzmiała: występowali w starych dyalogach. I po prawdzie, lud co się na nie zgromadzał, zawsze rad powitał starego przyjaciela, nieodstępnego towarzysza w osobie *Klechy*, który mu dawne powiastki przypominał. Wiele z tego rodzaju sztuk

---

(b) *Szkolna mizeryja w dyalog zebrana*, r. 1633 in 4to b. m.

było wyłącznie poświęconych dla tak ważnéj osoby; on bawił, rozśmieszał i uczył.

Przy kościołach wprowadzeni śpiewacy, czyli jak zwano *Kantorowie*, naprzód osłabili wpływ Klechów, i wyżéj zasiedli wedle przysłowia:

»Czcij Klecho Kantora.« (c)

Późniejsze organy, a przy nich organiści, do reszty znieśli zupełnie dawny wpływ przeważny i powagę Klechów; upadek ich zachowało pamięci naszéj przysłowie, zapewne przez dumnych zwycięzców utworzone:

»Zgasł, jak Klecha przed organistą.« (d)

Takto upadek Klechów, jak się często zdarza, spotkały pośmiech i urągowisko!

Cofniemy się myślą w wiek XIV i XV, kiedy nauka czytania i pisania nie były tak upowszechnione, a nie zadziwim się wcale, że Klechowie, posiadający tę umiejętność, byli na dworach szlachty w poszanowaniu, a w siole, u wieśniaków dziwowiskiem. Dziedzice wsi zwykle utrzy-

(c) *Przypowieści S. Rysińskiego* 1619 *r.*
(d) *Adagia Grzegorza Knapskiego* 1632 *r.*

mywali płatnych pisarzy do pisania listów (e). Po wielu miejscach Klechę jeszcze w końcu XV wieku, jak zwano: *mistrza ubogiego żaka*, używała szlachta do téj posługi.

Klecha dzielił niemal władzę ze swoim plebanem; on chodził w każdy tydzień z kropidłem po wsi, święcąc kmieci i domostwa. Mógł jako pleban klątwę, na nieposłusznych rzucić, i klątwa ta miała równe znaczenie, jakby ustami wyrzeczona kapłana. Lecz gdy jéj zaczęto nadużywać, lud się nasz oswoił do tego stopnia na początku XVI wieku, że i mało dbał o nię, i klnącego klechę jak złapał, wybił mu z nasypką klątwę na skórze. Tak w jednym z najdawniejszych dyalogów, z roku 1553, skarży się sam Klecha, że klnąc kmieci, co mu myta dłużni byli, gdy go złapali:

»Byłoć tam chłopów na kopę,
A wszyscy mieli robotę:
Jedni rwali, drudzy lali,
A trzeci nademną stali

(e) Rozmowy (dyalogi) polskie, łacińskim językiem przeplatane rytmy ośmiorzecznemi złożone. W Krakowie 1553. i —12º.

Mówiąc: »Nuż go bracia jeszcze,
Niechaj dobrych ludzi nieklnie.« (f)

Wszystkie niemal obowiązki Kechy w wspomnionym dyalogu znajdujem:

»Urząd, kościół otwierać,
Zwonić, mszą w niedzielę śpiewać:
Tyś *Mistrzem* i tyś *zwonaczem*, (g)
Wszystko musisz czynić razem,
Nuż do posługi Plebańskiéj:
To dopiero urząd ciężki:
Układaj snopy w stodole,
Idź grab siano na pole:
Urąb drew księdzu do pieca:
Chcesz-li nie utracić miesca.«

Nadchodzi wielkanoc:

»Musi zaraz piec opłatki:
Wycierać kościelne statki,
Ampułki, i też lichtarze,
Przybrać chędogo ołtarze.«

Prócz tego Klecha zarządzał szkółką wiejską, gdzie uczył żaków czytać, pisać i

---

(f) Rozmowy 1553 r.
(g) *Zwon* mówiło się w staro-polskim języku, co dziś dzwon; ztąd *zwonić*, zwonarz, miasto dzwonić, dzwonarz.

śpiewać (h). I miał z niéj nie małą wygodę: dzieciaki znosili mu, to gomółki, to masło i chleb na śniadanie, i obiady całe (i). Był i lekarzem, musiał znać zioła rozmaite używane do leków: baby wiejskie albowiem, co posiadały mnóstwo tego rodzaju tajemnic, łatwoby odkryły oszukaństwo, a Klecha na dobrym straciłby imieniu. Z tego powodu, mieli oni, w saméj istocie, wiele wiadomości o użyciu ziół i maści gojących.

W jednym z dawnych XVI wieku dyalogów, rękopismem dochowanych, oskarżona baba o czary, staje przed panem i uniewinnia się, że, co robiła, nie były czary, ale znajomość ziół różnych. Dla dowodu prawdy, przywołują uczonego Klechę, który zadaje babie pytania, i o skutki ziół ró-

---

(h) W szkolnéj *mizeryey* mówi Klecha:

„Jam się w szkole nieuczył jak nakładać gnoju,
Tylko bym dzieci czytać mógł uczyć w pokoju:
Ut, re, mi, fa, so, lam, ten dobrze solmizował."

(i) „Masz dzieci, coć przynoszą w każdy dzień śniadanie,
Czasem i obiady, jak jest twoje zdanie."

* * *

Dzieci zawsze kapusty z grochem przynosiły,
Nawet też i Kantora przy sobie żywiły:
Pleban się nie turbował, tylko mu służyli,
Klecha także z Kantorem którzykolwiek byli.
(Szkolna *mizeryja*).

żnych pyta, okazując tém wielką znajomość i doświadczenie. Baba, z początku niezle odpowiada, ale zmęczona pytaniami Klechy, odpowiada w końcu, że *Ksse Klecha*, nie dziw że tyle umie, bo każdy z nich w tym dobrze świadom: a baba znać tyle nie może. Nieuwolniła ją ta odpowiedź i spaloną została, za czary i uroki.

Oprócz dochodów ze szkółki, miał Klecha część wyznaczoną z dziesięcin, ale na *Kolędy* najwiecéj zbierał; prócz tego, dopóki znaczenie własne utrzymywali:

»To i chłop dał mu i korzec tatarki,
Młynarz także odpuszczać zwykł od mlewu miarki" (k).

Nie wszędzie Klechóm wolno było mieć żony; w Wielko-Polszcze, przy żadnym kościele nie przyjęto żonatego. w innych okolicach nie przestrzegano tego bynajmniéj; wszakże najczęściéj bezżenni byli. Powód k'temu tłómaczy w *Szkolnéj mizeryej* Kantor, wyrzucając Krakowskiemu Klesze, że się ożenił:

(k) *Szkolna mizeryja* 1633.

»Nie żenić się to było, co wam bardzo szkodzi:
Dla żony was ksiądz pleban, teraz za nos wodzi:
Bo widząc iżeście się żoną uwikłali,
Rozumie że wędrować nie możecie dalej:
I tak wam już na głowie może rąbać kole,
Wyżenie was kiedy chce do gnoju na pole:
A gdybyście w młodzienstwie dotąd jeszcze trwali,
Nigdybyście przykrości takich nie doznali.
Widzicie, jak młodzieńcy, co trzymają szkoły,
Nie wiedzą jako żywo, co to jest gnać woły:
Jeżeli mu też pleban przykre słowo rzecze,
Zarazem wziąwszy torbę z szpargały uciecze:
Nie mówiąc *Do gratias* kiedy z szkoły idzie,
A wszędy ma się dobrze, kędykolwiek przyjdzie.«

Małżonka Klechy, nazywała się Kleszy-

na, i pomiędzy niewiastami dworskiemi, jako i w siole, w znacznéj zostawała powadze, a w ściśléj zawsze przyjaźni z kucharką czy gospodynią plebanii. Obiedwie w starych dyalogach występowały niekiedy obok Klechy.

Klecha odbierał wielkie uszanowanie we wsi; mianowano go zarówno z plebanem: jak tego witano wyrażeniem *ksse (ksze)* Plebanie, tak klechę *ksse Klecha*, a nawet i *księże mistrzu*. (l) Nietylko kmiecie tak go mianowali: *Panem* lub *Pankiem* sołtysi, wójtowie i szlachta dziedzice nawet dodając przydomek często: »Magistracie.« Tak w komedyi »*Sołtysa z Klechą*« (m) za panowania Władysława IVgo wydanéj, czytamy jak wita pan klechę:

»Zdarz tobie Bóg wszechmocny Magistracie miły,
Bogdaj twe lata zrzałe przedłużone były.«

Odróżniali się też i ubiorem. — Lubo

(l) Rozmowy 1553 r.
(m) Komedya Sołtysa z Klechą do którego jest przydane Intermedium temuż podobne. — w Krakowie w Drukarni Waleryana Piątkowskiego, R. P. 1646. in 4º.

prawie zawsze kurta, albo-li kapota, grzbiet okrywała, używali pończoch i trzewików ze wstążkami. Ten strój dziwaczny zachowywali do połowy XVII wieku.

Dopóki czas i okoliczności nie spospolicīły téj godności, Pleban nazywał go w potocznéj mowie *frater* (brat) razem z *Kantorami* i *Rybałtami*. Lecz w końcu XVI wieku, Klechów i Kantorów niemal na parobków zamieniono. *Szkolna mizeryja* z czasów Zygmunta IIIgo opisuje poniżenie ówczasowe obudwu stanów:

».... Taki rząd jest wszędzie,
Między Klechami na wsi i między Kantormi,
Muszą nosić ze młyna plebanowi z wormi
Mąkę, także do młyna żyto zanieść trzeba,
A ledwie mu da za to czasem trochę chleba:
Jeśli nie chce, dębcem go pleban dobrze wzbierze,
Grzbiet mu dobrze koszturem, i znacznie opierze.«

Niedosyć, musieli gnój nakładać i wywozić w pole, z lasu drzewo zwozić, często

nie jedną kopę wymłócić żyta, i za lichą zapłatę śpiewać w kościele.

Kantorowie, lubo dawny sposób witania z Klechami przez *frater* długo zachowywali, wywyższyli się nad nich i uniknęli poniżenia, jako śpiewacy na chórach kościelnych. Klechów w ostatku obrócono, przy kościołach wiejskich, do nadymania miechów w organach, i właściwych prac najemnemu parobkowi, a sama nazwa poszła w pośmiewisko. — Tak więc ów przedchrześcijański Klecha, co niegdyś przewodniczył licznej drużynie Słowian, później pierwszy bohater w polskich dyalogach, dziś wzgardą okryty, stęka z upoconem czołem, gniotąc miech ogromny, jak służalec organisty.

K. W. Wójcicki.



Piosnka podróżnego.

Tu zielona okolica,
Jasne niebo tu dokoła,
Gdzie spojrzę—wszystko zachwyca,
Zostań z nami! wszystko woła.
Ja, choć idę w dzikie góry,
Choć idę gdzie las ponury,
A w lesie chatka uboga;
Wesół omijam te sioła,
Bo w tej chatce moja droga.

N. A. Wurski.



PIORUN

BALLADA KARPACKA.

Przez Sewerynа Goszczyńskiego i Teodora S.

Na czole smutek, a w oczu dziewicy,
Łza jedna drugą spycha ze źrenicy:
Umarł jej luby. Alež i po zgonie
Mógłby się we śnie pokazać na nowo,
Przez sen uścisnąć, i powiedzieć słowo,
W której duch jego przemieszkiwa stronie.
»Niewierny!" rzecze, »gdzież te obietnice?
»Wszak on po śmierci miał mię unieść z sobą,
»Wyżéj nad Tatry.... a pewnie tą dobą
»Niebieskie sobie ujmuje dziewice!
»O wy tam święte!.... zaklinam was łzami,
»Niewierzcie jemu.... on do mnie należy!
»Bo biada każdéj, która mu uwierzy:

»On ją ułowi jako rybkę w sieci;
»On ją, niewierny, ułudzi, omami,
»A moję ku wam nienawiść roznieci.”
Rzekła. Brylant łez w pięknem oku świeci.
W tem wiatr.... niebo się błyskawicą pali....
Wszystko pod liście, w koliby (*) ucieka,
A ta pod niebem z płaczem stoi.... czeka
Rychło grom dla niej zagra pieśń w oddali.
Grom dla niej zagrał, i zawyły fale.
»Tak! rzekła, jego nie kocham już wcale,
»Pioruna kocham!.. »I téj oto chwili,
Turkocze piorun i u nóg jéj pada;
A ona drżąca, jak śnieg Tatrów blada,
W ognisty uścisk pioruna się chyli. —
A ten głośnemi powiada jéj tony,
Że on kochanek, w pioruna zmieniony,
Przychodzi po nię, dotrzymać jéj słowa.
I całowaniem już tęskną pociesza,
Swoie płomienie z iéj oddechem miesza,
Szalem błyskawic jéj kibić obdarzy,
I chustą ognia łzy obciera z twarzy.
Już się z niéj cichość naśmiewa grobowa...
I w dowód szczęścia westchnienie zawiesza.

(*) Koliba: namiot pasterzy karpackich.

Martwa!... Idź luba, idź w niebios podwoje!
Na twe przyjęcie anieli tam stoją:
Będzie z nich który twe wdzięki wychwalał,
Będzie chciał pewnie zająć serce twoje...
Ale pamiętaj.... pamiętaj dziewojo!
Że piorun by cię swemi łzami zalał. (*)



(*) Jest mniemanie u ludu, że po uderzeniu pioruna, wypada często drugi piorun wodnisty, który zalewa pożogę, ogniem pierwszego sprawioną.



Painted by J. Holmes. Engraved by C. Heath.

JDEAŁY I RZECZYWISTOŚĆ.

IDEAŁY

i

RZECZYWISTOŚĆ.

(z ryciną)

Było gorący dzień sierpniowy; ciężkie chmury, wlokące się od zachodu, zaciągnęły widokrąg, bliską ulewę zapowiadając, długą suszą spragnionéj przyrodzie. Przejeżdżałam właśnie bujne pola Ukrainy; a oko moje z rozkoszą spoczywało, to na wiosce gęstemi drzewy okolonéj, to na żyznym łanie, na którym pochyleni żniwiarze, hojne plony lata zbiérali. Chcąc dłużéj nacieszyć się tym widokiem, wysiadłam

z powozu i zapuściłam się drogą, drzewami sadzoną. Tu i ówdzie z pomiedzy pni migał mi gaik, rzeczułka, mostek, lub krzyż drewniany na rozdrożu. Daléj, za drzewami, ku wiosce, ciągnął się płot, niską wierzbą obsadzony, z któréj promienistym liściem, powoje męszały swe sercowate liścia i kwiaty białe, w kształcie dzwonków spadające. W głębi, na wzgórzu, murowana chata przebijała się przez gęste sadu drzewiny. Znużona upałem, spodziewając się tam znaleść świéże mléko, zbliżyłam się do niéj. Wtém niespodziewany w tych stronach widok oczy moje zadziwił: piękna kobiéta, w stroju na pół wieśniaczym, stała nieopodal od chaty, wsparta na zagrodzie U nóg jéj, na kamiennéj ławeczce, stał dzban duży, a w fartuchu trzymała snopek świéżo zżętych kłosów. Kształty jéj pełne wdzięku i szlachetna postawa, bynajmniéj nie zapowiadały wieśniaczki. Długie pukle ciemno-płowych włosów, przysłaniał słomiany kapelusz, lila, wstążką przepasany. Z wielkich czarnych oczu tęskne spojrzenie przesyłała

w niebo, jak gdyby zdając się błagać lub użalać. Byłto ożywiony posąg Nioby. Brunatna suknia, wcale nie wieśniaczego kroju, odkrywała skarby jéj łabędziego łona i smukłą zakreślała kibić; zarzucony na niéj lekki perkalowy kaftaniczek dowodził jednakże, iż powracała od pracy, co w tém bardziéj potwierdzały włosy, w muślinowym narzucone fartuszku. Gdyby zamiast kłosów niosła kwiaty, możnaby ją wziąść było za piękność, z upodobania przebiegającą pola; lecz natrętny snopek i smętek w jéj twarzy rozlany, aż nadto wykrywały: iż praca i nieszczęście były jéj udziałem.

Uczułam w mém sercu niewymowne współczucie ku téj zachwycającéj istocie, a idąc za popędem poetyckich moich marzeń, pewna byłam, iż tak piękne ciało, koniecznie piękna ożywiać musi dusza. Szanując jéj smutek i niedolę, zeszłam jéj z drogi, i krętą ścieżką udałam się do chaty na wzgórzu. Stara wieśniaczka przyjęła mnie uprzejmie w czystej izbedce, i ochłodziła dużą czarą mléka. Zajęta przedmio-

tem, co tak silnie myśli moje owładnął, zaczęłam jéj rozmaite czynić pytania względem nieznajoméj. — »Ach to nasza dobra Alina, odpowiedziała mi staruszka. Niemyliłaś się pani, że nie jest wieśniaczką; wiemy tylko, że kiedyś była bardzo bogatą; ale przez dwa lata, jak u nas bawi, nigdyśmy pytać się jéj nie śmieli, co ją do ubóstwa przyprowadziło. Ona taka nieszczęśliwa i dobra, czegóż ją darmo smucić, i tak się dosyć biadaczka napłacze. Chociaż sam człowiek ubogi, nic od niéj nie żąda za łyżkę strawy, którą jéj daje; ale ona żadnym sposobem na to przystać nie chce, i koniecznie pracuje, mówiąc, że to jéj smutek rozrywa; codziennie prócz tego uczy nasze wnuki czytać i pisać. O! my téż bardzo ją tu wszyscy kochamy, i nie wiém, cobyśmy dali, żeby choć raz mogła być wesołą!«

Rozczuliła mnie mowa dobréj wieśniaczki, i koniecznie pragnęłam bliżéj poznać Alinę; staruszka mi powiedziała, że chyba będę musiała zanocować, bo nie prędko powróci, gdyż aż do drugiéj wioski poszła

zanieść dzban mléka i trochę zboża, dla biédnéj wdowy. A żem pilno spieszyć musiała w dalszą drogę, odłożyłam tę przyjemność do mego powrotu.

Z wielkim moim żalem dłużéj musiałam zabawić, niżem sobie zamierzyła, i już jesień powiewną szatą drzew ziemię uścielać zaczynała, gdym nazad powróciła w to miejsce. Szłam tą samą, drzewami wysadzaną drogą; teraz przez ogołocone gałęzie, szeroki na pola i lasy rozciągał się widok, lecz mglisty poranek, zaciągał go swoją białą krepą; chwilami zimny wiatr z zadęciem szumiał po bezlistnych konarach; umilkły wesołe pienia żniwiarzy i luby śpiew ptasząt; kiedy niekiedy tylko świst samotnego gila, uroczyste przerywał milczenie. Wszystko do smutnych i poważnych myśli pobudzało. Jakaś niewymowna tęskność ogarnęła mą duszę, i niepojęte przeznaczenie mówiło mi, że już nie znajdę téj, któréj szukam. Nikogo nie spotkałam na osamotnionéj drodze. Przyspieszyłam kroku. Przed chatą, na ławie, siedziała staruszka, z głową smutnie opar-

tą na ręce, a cicha łza zwolna spływała po zmarszczkach wybladłej jéj twarzy. Na odgłos mych kroków, szeleszczących po liściach podniosła głowę, poznała mnie, i jak gdyby uprzedzając moje zapytania, załamała ręce, łzy obficiéj z oczu jéj się puściły, i żałośnie zawołała: Straciliśmy ją na zawsze!

Wprowadziła mnie do chaty, oniemiałą z przejęcia i litości; porzuciła garść suchych gałązek na komin, przysunęła dwa zydle, a gdyśmy usiadły:

»Tak pani,— odezwała się znowu,— straciliśmy nasze ukochane dziecię! bo ja i mój stary przywykliśmy ją uważać za nasze dziecko, a córki nasze, jak siostrę kochały.«

A widząc w mych oczach ciekawość i podziwienie, mówiła daléj: »Nie będę pani powiadać jakim sposobem się do nas dostała; nie godzi się człeku chwalić z tego, co dla bliźniego uczynił. Cieszyliśmy się; że przywiązawszy się do nas, nigdy nas nie opuści, i pewnoby nas nie opuściła: bo ona tak była dobrą, wdzięczną, gdyby się Bogu inaczéj rozrządzić nie podobało.

Będzie temu dwa tygodnie w niedzielę, poszłam z Aliną do kościołka, co tam za wioską stoi przy gościńcu. Po nabożeństwie wychodzimy z kościołka: w tém gościńcem pędzi czterokonny powóz, a w nim młody, przystojny mężczyzna i piękna jakaś dama. Gdy koło nas przejeżdżał, Alina spojrzała, krzyknęła, i bez czucia upadła na ziemię. Jegomość w powozie rzucił na nią okiem, wskazał przy sobie siedzącéj damie, głośno się rozśmiał, i konie jak wiatr daléj ich poniosły. O jakże mi się wydał w téj chwili obrzydłym! Musiała go znać Alina, aleśmy się nic od niéj nie dowiedzieli. Zanieśliśmy ją do naszéj chaty; złożyli na łożu; odzyskała zmysły, ale rozum jéj zdawał się być obłąkany, bo, w ciągłéj gorączce, jakiegoś tylko zawsze przyzywała Edmunda; czyniliśmy, co mogli, aby ją uratować; całąbyśmy chudobę na to chętnie poświęcili; ale wszystko było daremne, i po dziesięciu dniach cierpienia Bogu ducha oddała. Pochowaliśmy ją onegdaj, na smętarzu przy kościołku, i jak chciała przed śmiercią, jedno jakieś tylko

słowo, ksiądz proboszcz położył na kamieniu. A moje wnuki, dokoła wierzby pozasadzały. My tylko tyle o niéj wiemy: ale pani, coś ją tak pragnęła poznać za życia, może teraz ją lepiéj poznasz, bo umiesz czytać, a właśnie dzisiaj znalazłam między jéj rzeczami zwój papierów; ona tam pewno musiała co napisać: bo często, długo się napłakawszy, pisała po nocach. Niechaj pani przeczyta to i nam co powie, o naszém ukochaném dziecięciu.«

To mówiąc staruszka, wstała, wyjęła z za obrazu zwiniątko papierów, i w ręce moje złożyła.

Pragnąc poznać los téj tajemniczej i zajmującéj istoty, i uczcić jéj pamięć, poszłam na wiejski smętarz przeczytać, przy jéj mogile, powierzony mi rękopism.

Jakże widok wieśniaczego smętarza głęboko duszę porusza i do tęsknych usposabia uczuć! Tu snem nieprzebudzonym śpią całe pokolenia użytecznych, a światu nieznanych ludzi; żaden pomnik mogiły ich nie zdobi; darń tylko i dzikie kwiaty co wiosna zielonością i wonią je przystrajają,

a szczére łzy, które im święci rodzina, są jedynym pochwalnym hołdem.

Mały wnuczek staruszki wskazał mi w kąciku, przy płocie, świéżą mogiłę. Pokrywał ją prosty polny kamień; na nim, w kilku niezgrabnie wyżłobionych literach wyczytałam: »*Wybaczam!*« Coza szczytny wyraz na grobowcu, kończącym wszystkie nasze ziemskie roskosze i cierpienia! Jakże czułą, jak szlachetną musiała być dusza, co go tutaj umieścić kazała! Ileżto boleści, cnot i nieszczęścia, jedno to słowo wykrywa!

Do gruntu duszy wzruszona, siadłam na zżółkniałéj murawie, i łzawém okiem przebiegać zaczęłam rękopism Aliny. A że nie jednéj młodéj osobie za okropną posłużyć może naukę, ośmielam się podać go do *Wianka*, aby dar ten, pięknym wyłącznie rękom przeznaczony, nietylko samą przyjemność, ale i korzyść im mógł przynieść.

Rękopism Aliny.

Wyobraźni! najkosztowniejszy, oraz i najsroższy niebios darze! źródło niewysławionych rozkoszy i cierpień niewymo-

wnych! szczęsny, ale razem i najnędzniejszy, kto cię dostał w udziale! Tyś młodociane dni moje swoim urokiem upiękniła; tyś mnie w gwiaździste unosiła światy, między Cherubów i Serafów chóry! tyś ziemski ten padół płaczu, niebiańskiemi stroiła mi kwiaty, wszystkie przedmioty różanną powlekała barwą; miłość i litość, co wrzały w mém sercu, na wszystkich zarówno zlewała; wszystkim własnych moich użyczałaś uczuć, wszystkich w białéj niewinności szacie przedstawiałaś memu oku! O jakżeś mnie gorzko zawiodła! jakże rzeczywistość różną jest od marzeń dziewiczéj duszy! Rzuciłaś mnie bezbronną w świat zepsuty, jak ofiarę w cyrkach rzymskich, na pastwę lwom przeznaczoną!

Czuć i marzyć, było niebezpieczną rozkoszą lat moich młodzieńczych. Urodzona w dostatkach, straciwszy matkę w kolebce, a z nią jéj pieczę i rady, jedyna pociecha i uwielbienie podeszłego ojca, który nietylko zaspokajał, ale uprzedzał najmniejsze me chęci, nie mając innéj styczności z ludźmi prócz uciech i dobroczynności, zna-

łam świat tylko ze zwodniczego pozoru, i żyłam cała w urojonych rozgorzałéj wyobraźni ideałach. Serce moje dla wszystkich wylane, wszystkich kochało, wzajemnéj pewne odpłaty. Niewdzięczność, zdrada, niewiara: byłyto niezrozumiałe dla mnie wyrazy; tak w nie wierzyłam, jak w bajki, które w dzieciństwie prawiła mi niańka; mniemałam je na postrach jedynie dla serc słabych utworzone. Dziecinna! w historyi nawet narodów pomijałam zbrodnie; uwielbiałam i podziwiałam same tylko cnoty.

Tak usposobiona, wyszłam na świat dotąd mi nieznany. Szesnasta wiosna roztwiérała dopiéro dla mnie swe kwiaty, a pochlebstwo zdradnych zwodzicieli przyrównywało mnie do pączka majowéj róży. Nieposiadałam niewieściéj wabności—(ach! pisząc to szczere wyznanie w goryczy niedoli, czyżbym pragnęła wadę jakową ukrywać, i przedstawiać się lepszą, niżeli byłam w istocie!)—lecz tak niewymowną było roskoszą dla kochającego serca mniemać się od wszystkich kochaną, codzienne odbierać uwielbienia i hołdy, iż niedziw, że

słaba i niedoświadczona, uległam téj zdradnéj ponęcie. Największe jednak uwielbienie i zapał stały, w błękitném oku Edmunda; nie śmiałe usta jego nie wyrażały głośno tych uczuć, lecz tém wymowniéj w każdém jego przemawiały poruszeniu. Edmund zdawał się tak doskonale znać moje serce, sposób myślenia, takowa współczułość nas łączyła, iż myśli prawie moje odgadywał, uprzedzał życzenia.

Edmund, lubo najświetniejsze odebrał wychowanie, był jednak ubogim; ja, dziedziczką wielkiego majątku. Cudzoziemiec w naszym kraju, znany był tylko z pięknych talentów, i wszystkie salony najlepszego towarzystwa były dla niego otwarte. Widywałam go codziennie; porozumiały się nasze dusze; niepytałam bynajmniéj o jego dostatki i przeszłe życie; ojciec, który nic nie umiał zepsutemu dziecięciu odmówić, przestając, na okazanych dowodach znakomitego rodu, zezwolił na nasz związek, i niezadługo zostałam szczęśliwą Edmunda małżonką.

Ach! gdyby prawdziwa miłość i wierność

istniéć mogły na tym świecie, jakimże byłby rajem! Istnieją: lecz tylko w sercach niektórych, na ofiarę wybranych kobiet. Mężczyzna, w całéj pełności czuć ich, prawie nie jest zdolny. Dla niego cały świat széroki stoi otworem; tysiące zarazem znęca go przedmiotów: sława, dostojeństwa, sztuki nadobne, przemysł, chęć zbogacenia się, zwiedzenia dalekich krain; kobiéty zaś całym zawodem jest tylko, kochać: córka, kocha rodziców; kochanka i żona, o wszystkiém dla uwielbionego zapomina przedmiotu; matka, w dzieciach swoich tylko żyje; zawsze kocha; ciągle tylko, od kolébki do grobu, kocha!

Z początku, złote chwile, szybko nam na skrzydłach roskoszy ulatały. Zostałam matką. O kobiéty! jak święte, jak szczytne wasze przeznaczenie! gdyby go oziębłość i niewiara męszczyzn nie zatruwała! Teraz żyłam tylko cała dla ojca, męża i syna. Świat, co mnie niegdyś nęcił swojemi uciechy, zupełnie cały swój urok dla mnie stracił. Lecz to ciche, domowe szczęście, nie mogło zasycić duszy Edmunda. Coraz

rzadszym bywał gościem w domu; coraz oziębblejszy, dla żony i syna.

Niekiedy, upragnione moje oczy po kilka dni go nie widywały. Jeślim się kiedy ośmieliła uczynić mu łagodny wyrzut: szyderczy uśmiech, ostre gorzkie słowo, stawały się jego nagrodą. Pożerałam łzy w samotności, przy kolebce syna, który jedynie życie to jeszcze mi znośnym czynił. Lecz wątły ten kwiat usechł niezadługo w mym ręku, i tylko mi zimna po nim została mogiła. Życie moje więdniało codziennie, jak roślina któréj nie odkrapia rosa niebios. Ojciec, o jakże zdołam sobie wybaczyć, żem cios ten jego starości zadała! ojciec, przed którym nie śmiałam wyznać coraz zwiększającéj się oziębłości Edmunda, podzielał nieznane mu moje cierpienia, a słabością i laty znękany, gasnął zwolna, z boleści, iż nie w mocy jego było uszczęśliwić córki, któréj szczęścia nadewszystko pragnął w świecie. Straciłam go. I teraz cała przepaść okropności rozwarła się przedemną!

Z razu, zdawało się że mi zabłyska na-

dzieja; Edmund częściéj ze mną przepędzał godziny. Nieraz łzy moje osuszał pocałunkiem, i pieszczoty słodkim nagradzał uśmiechem. Często, i bardzo często żądał, abym mu na blankiecie moje podpisała imię, wówczas oko jego dawny przybiérało wyraz, usta pieszczotliwe znajdowały słowa. Ach! za jego uśmiech, za jego spójrzenie, czegóżbym nie była oddała! Nieświadoma, nieprzypuszczająca najmniejszéj obłudy ani zdrady, podpisywałam co chciał tylko, nie pragnąc nawet nigdy wiedziéć, na co mój podpis przydać mu się może. Lube te dla mnie chwile przedzielały wprawdzie długie nieobecności męża; żyjąc jak najsamotniéj, nigdy dociec nie mogłam ich przyczyny; jeślim przyjmowała jeszcze u siebie kilka kobiét, co się mieniły bydź mojemi przyjaciołkami, nigdy nie odważyłam się oskarżać przed niémi męża, a sroga ich litość, czyniąc sobie zemnie szyderstwo, nie raczyła uchylić zasłony, ciągle wzrok mój pokrywającéj.

Nadszedł wreście dzień, co mi oczy otworzył: Edmund od miesiąca wyjechał za ja-

kiemiś bardzo ważnemi, jak mówił, interessami. W tém dnia jednego schodzi się do mnie czereda komorników i sądowéj zgrai, którą zaledwie z imienia znałam. Mienią że winna jestem ogromne summy i uiszczenia onych żądają. Okrutni, śmieją się z mego zadziwienia i prostoty, i na dowód, okazują własne moje podpisy. Oświadczam, że nie wiem o niczém, że skoro mąż powróci, wszystko pewno zaspokoi, gdyż przecie majątek mój na to wystarcza. Majątek! już dawno szczątki z niego nie pozostały! odbieram za odpowiedź. — Panine klejnoty i sprzęty są jedynie na teraz jéj majątkiem, a ten zaledwie wystarczy na pokrycie czwartéj części zaciągnionych przez jej męża długów. Pozwolisz zatém pani, że je zabiéramy, jako do nas należące.

Lecz pocóż dłużéj rozwlekać to pasmo nowych i niepojętych dla mnie cierpień? Wydarto mi wszystko; litość ich zaledwie mi trochę najpotrzebniejszych pozostawiła rzeczy. Lecz nie strata majątku, nie grożąca nędza, najsroższy cios sercu memu zadawały; ach! z Edmundem krwawo zapra-

cowany kawałek chleba niebiańską byłby jeszsze dla mnie ambrozyą! Lecz jego nieobecność zupełne o mnie zapomnienie, te mnie zabijały! W niewinności méj duszy, o nic go nie pasądzałam; nieprzypisywałam mu bynajmniéj straty całego majątku; mniemałam, że niepojęte jakoweś dla mnie spowodowały ją nieszczęścia. Owszem, sama ta strata pocieszała mnie i usprawiedliwiała długą jego nieobecność; sądziłam że jest cały zbyt zajęty polepszeniem naszego losu, aby mógł na teraz o mnie pamiętać. Sama zgęszczałam zasłonę, wzrok mój pokrywającą, i jeszcze cieszyłam się nadzieją.

Dopóki promyk nadziei jaśnieje człowiekowi, dopóty jeszcze prawdziwie nieszczęśliwym nazwać się nie może; lecz przeżyć ostatnie swoje złudzenie, ach! to jest więcéj nad siły ludzkie, jestto prawdziwe rozstanie się duszy z ciałem: dusza obumiéra, ciało pozostaje, żyje pozornie, działa, lecz jak gdyby tylko galwaniczną siłą poruszane. Serce, ogromem nieszczęścia, jak gro bowym głazem przywalone, żadnéj niezna pociechy; każda roskosz prześlizguje po

niem, jak wiatr po kamiennym pomniku; przeleci, śladu nie zostawi. A ja przeżyłam stratę moich ostatnich ułudzeń! jeszcze wlec muszę ciężar nędznego życia! Boże! jakże trudnego wymagasz doświadczenia po słabéj istocie!

Gdy nieobecność Edmunda coraz się bardziéj przedłużała, niespokojna, poszłam wypytywać o niego przyjacioł jego i znajomych. Okropności! czegoż nieszczęsna się dowiedziałam!.... Edmund, ani myślił o mnie, coraz to nowe zajmowały go piękności; majątek mój, którego stratę jakiemu niespodzianemu przypisywałam przypadkowi, on go cały przetrwonił na hulanki i karty. Co okropniejsza, nigdy mnie nie kochał, kochał tylko sam siebie i wybrał mnie na ofiarę swego samolubstwa! A jam mu całą poświęciła duszę, jam wszystkie skarby miłości i poświęcenia dla niego wylała, jam tak długo wszystkie moje ziemskie pokładała w nim nadzieje!

Dawniéj, gdy mnie wszędzie uwielbienia i hołd spotykały, nigdym nie sądziła, że nie moim przymiotom, lecz bogactwu je skła-

dano. Dzisiaj, nie jedne drzwi zastałam przed sobą zamknięte, gdym pieszo i w nędznym stawiła się ubiorze. Tam, gdzie mnie przyjęto, jeszcze srożéj obchodzono się ze mną; gorzkie sobie czyniono szyderstwa z mojéj łatwowierności i głupstwa, jak nazywano moje niedoświadczenie, niewysłowioną potrzebę kochania, ufność bez granic, błędne wyobrażenia, któremi od dzieciństwa umysł mój napoiłam! Gdzieindziéj znowu litowano się nademną; litowano!.... litość ludzka sroższą jest daleko od szyderstwa! szyderstwo zdziéra przynajmniéj maskę obłudy, a fałszywa litość jest podług mnie prawdziwie szatańskiém piętném!

Teraz nadchodzi nędza.... lecz pocóż mam całą jéj zgrozę malować? kto jéj niedoznał, trudno da wiarę; kto jéj doświadczył, tego ran na nowo opisem moim nie chcę rozdrażniać.

Niemogąc umrzeć, chciałam pracować: niestety! zamiast udzielenia mi roboty za lichą zapłatę, najczęściéj nudnemi obarczano mnie rady, których wykonanie niepodo-

bném mi było. Jedna nawet z dawnych przyjaciołeczek, ośmieliła się radzić mi naśladować męża, korzystać ze szczątków dogorywających wdzięków, na złość jemu zaświetniéć znowu na świecie, i jeszcze zrywać kwiaty uciech, dopóki się dadzą! Ach! czyż mogłam się kiedy domyśléć tyle przewrotności i złości w sercu kobiéty, sercu, które niegdyś sądziłam być przybytkiem saméj cnoty!

Tak przewlokłam dni nie mało; nadszedł wreszcie dzień, w którym bardziéj niż kiedykolwiek napojona goryczą, odepchnięta ze wzgardą (ja, co dawniéj mniemałam, że cnota, chociaż najuboższa, zawsze poszanowania godna; lecz zapominam, żem wtedy żyła ideałami, a teraz na rzeczywistym żyię świecie) odepchnięta, mówię, ze wzgardą, szłam sama nie wiedząc, gdzie mnie niosą oczy: obłęd jakowyś to dwoił w moich oczach przedmioty, to grubą mgłą je przysłaniał. Dotkliwy mróz wszystkie moje przejmował członki; tak lekko byłam ubrana! słabe moje tchnienie marzło na zasłonie, którą twarz moją, wstydem oblaną

zakryłam; szłam jednak daléj, resztę sił żywotnych skupiając... w tém czarna chmura rozciągnęła się przed memi oczyma.... mniemałam, że się już wszystko dla mnie kończy.... i na twardym bruku padłam bez życia....

Przebudziłam się w ciepłém łóżku; przyjazna jakaś ręka podawała mi posilający napój, z którym zmięszała się łza litości; ach! ta łza więcéj mi sił i życia powróciła, niżeli wszystkie czynione około mnie starania! oddawna serce moje było jéj spragnioném! znalazłam więc choć jednę istotę, co czuć i prawdziwie litować się umie! znalazłam ją, nie pomiędzy temi, co mnie dawniéj kadzidłem pochlebstw otaczali, lecz w biednéj dziewczynie, która niegdyś u mnie służyła, poznała przypadkiem, i wieśniacze serce zachowawszy nieskażone w stolicy, na pomoc mi pośpieszyła.

Dobra Marysia, co się tak wyższą nad swój stan i szlachetną ukazała, miała wkrótce wyjeżdżać do rodziców na Ukrainę; wspaniale ofiarowała mi w ich domu schronienie, pewna ich serca, zapowiadając mi, że jak

własne jch dziecię przyjętą będę. Tutaj, w pośród tych zacnych wieśniakow, od dwóch już lat żyję; nie zraża mnie proste jch obejście, bo wiem, że szczére uczucia pokrywa; byłabym tu szczęśliwą, gdybym już kiedy szczęśliwą bydź mogła. Ach! czemuż nie urodziłam się wieśniaczką! pocóż świetne wychowanie rozwinęło niebezpieczną władzę wyobraźni i czucia! Czuć! myśleć! jest to dar najokropniejszy, jakim niebo słabą istotę obdarzyć może!

Wolnych chwil od łez i pracy, zażyłam na skréślenie pokrótce wypadków mego życia; gdybym je wyszczególniać chciała, całeby tomy utworzyły; ale i ten szkic nieforemny może posłuży ku oświeceniu choć jednéj niedoświadczonéj młodéj istoty, któraby, podobnie jak ja, puszczając wodze rozbujałéj wyobraźni, w różowém świetle na świat ten patrzyła, i święcąc wszystkim czyste serca swojego uczucia, podobnież jak, ja, paść mogła ofiarą zimnego samolubstwa i czarnéj zdrady. Mało pewnie znajdzie się mnie podobnych; lecz jeśli choć jednę ocalić zdołam, lżéj spać będę pod darniową mogiłą,

którą mi niezadługo litość zacnych moich dobroczyńców usypie.

Wanda Malecha.



Nagroda Śpiewaka.

Chór.

Potężne słowa, gorące łezki,
Do serca każda przebija głoska,
Spiew twój anielski, dźwięk twój niebieski,
A myśl twa, boska!

Głos jeden.

O! powiedz, śpiewaku młody!
Do wielkiéj, czy do maleńkiej,
Do jakiej wzdychasz nagrody,
Za twoje święte piosenki?

Człowiek, jak pszczółka, jak mrówka,
W jedno znosi ukrycie,
Czyny i myśli i słówka;
Przepracuje całe życie;
I za to tylko życzy,
Chociaż przed śmiercią kropelkę słodyczy!
I ty jesteś człowiekiem, i ciebie unoszą
Chęci! nadzieje! i ty duszą młodą
Gonisz za światem, gonisz za rozkoszą,
Za starań twoich nagrodą!
Więc powiedz: czy twoja rozkosz na ziemi,
Czy nawet w niebie,
Niebędziemy niewdzięcznémi,
Dostaniemy ją dla ciebie!
Tylko dla ciebie!

C h ó r.

Więc powiedz: czy twoja rozkosz na ziemi,
Czy nawet w niebie,
Niebędziemy niewdzięcznémi,
Dostaniemy ją dla ciebie!
Tylko dla ciebie!

B o g a c z.

Wy nagrodzić niemożecie;
Wy sami biedni, wy w jednéj siermiędze.

Ten tylko biednemu da roskosz na świecie,
Kto mu wydrze nędze.
Do mnie śpiewaku! oto złota kupy,
Temi twoję piosnkę płacę;
Bierz! i za nie stawiaj pałace
W srebrne wieże, w złote słupy;
Sciany w dyamentowe pokrywaj kobierce,
I wkoło całej przestrzeni,
Rozpal pochodnie blaskiem tęczowych pro-
Tam twoje serce (mieni;
Pieść wonią kwiatów, pieść tysiącem głosów,
I przy uczcie zniesionéj z niebiosów,
Wśród róż, wśród miękkiej pościeli,
Otoczony od dziewic postrojonych w bieli,
Ściskaj i słodki puhar i piersi łabędzie:
A to nagrodą dla ciebie będzie.

Śpiewak.

Nie! — nie dla mnie złoto twoje;
Nie ta rozkosz mnie przystoi.
O bardziéj się złota boję,
Aniżeli nędzy mojéj.
Kawał chleba czarnego, garść wody źródla-
I od mojéj ukochanéj (néj,

Jedno pocałowanie, przyjęte z zapałem,
Tego tylko pragnąłem, i to zawsze miałem.
Dawniéj i ja najmiléj
Sypałem złoto na ubogie ręce;
Bo tak starsi wyuczyli
Moje serce niemowlęce.
Jednak złez tajemnicą niepoznany wcale,
A tknięty samym widokiem,
Na łzy i żale
Spoglądałem nie sercem, ale tylko okiem.
Minęły lata dziecinne.
Inne myśli — czucie inne!
Już ja nędzę błogosławię;
Przebudzony łez mych zdrojem,
Widzę sny moje na jawie,
I świat nowy w sercu mojém.
Teraz ledwie łza się wzruszy,
Zaraz w głąb do piersi wpadnie,
I czém jest dla mojéj duszy,
Nikt nie powie, nikt nie zgadnie.
Choć cierpień tyle tysięcy
Sypie niebo na me ciało,
A ja jednak wołam śmiało:
Jeszcze więcéj! jeszcze więcéj!
Znam co wielkość, znam co cnota.

Weź te kupy twych pieniędzy;
Za świat pełen twego złota,
Nieoddam ci mojéj nędzy.

C h ó r.

Patrzcie! życie zasila i pracą i potém,
Twarz zgłodzona, biedna postać,
A jednak gardzi złotem,
Chce przy nędzy zostać.
Więc powiedz: czy twoia rozkosz na ziemi,
Czy nawet w niebie,
Niebędziemy niewdzięcznémi!
Dostaniemy ją dla ciebie;
Tylko dla ciebie!

S t a r z e c.

Złoto bo z dłoni wypada potrochu;
Rozkosz przeleci i życie ucieka,
I tylko pozostanie jedna garstka prochu,
Z złotych nadziei człowieka.
Szczęśliwy! kto piosnkami swemi,
Lub przez cnot swych dzielność,
Okupi dobro najwyższe na ziemi:
Nieśmiertelność!

Jego, trąba sławy droga,
Roznosi przez wszystkie kraje,
Od wieków wiekom podaie,
        Jakby półboga.
Co dacie śpiewakowi, to wszystko daremnie.
Nie złotem piękna dusza nakarmia się z cicha,
Wiém za czém goni tajemnie,
        Do czego wzdycha.
Stawiajcie mu kolumny z granitu olbrzymie,
I na nich, na późne lata,
Zapisujcie jego imie,
        Dla pamięci świata.
Lub mu wykujcie postać kamienną na grobie;
W niéj niech odżyie umarły,
W rysach podobny żywéj osobie,
Któreby wieki niestarły.
Lub mu wysypcie górę ginącą w obłoku;
        Przy téj mogile,
        Niech każdego roku.....
        Co widzę — czy się mylę,
Czy uśmiech w twojém licu, a litość w twém
(oku!

Śpiewak.

O przebacz! nieśmiertelność daj dla innych
(ludzi.

Mnie, jeśliby się serce pod ziemią ukryło :
O tam będzie tak słodko, tak lubo, tak miło.
O niechaj mnie nic ztamtąd, nic nigdy niebu-
Nie czułego, niech w tym stanie ! (dzi,
Żadne niewspomni wołanie !
Niechaj nawet na grobie znaku niezostanie,
Tak jak gdyby mnie wcale na ziemi niebyło.
Sława? to dzwony,
Które, gdy biją,
Strach tylko sieją i żal niestłumiony ,
Dla tych, co żyią;
Lecz mimo strachu, żalu i ciężkiego bicia ,
Zmarłemu nie wrócą życia ;
Głośne dopótąd żalem i nauką,
Pokąd same niespadną i w proch się potłuką.
Sława — to wiatr, co leci w pustynie ,
I w puszczy ginie.
Szum uroczysty dębu, który kiedyś runie;
Hymn pogrzebowy pamiątek ,
Który ma swój koniec, tak jak ma początek;
Odgłos po piorunie.
Sława, już będzie tém dla mnie do zgonu ,
Czém są dla opoki :
Dźwięk słowiczego tonu ,
Lub przerażaiące grzmotami obłoki.

C h ó r.

Chociaż przed światem, chwała,
Wiecznie i z grzmotem,
Imieniemby jego brzmiała, (tem!
On jednak gardzi sławą, jak pogardził zło-
Więc powiedz: czy twa rozkosz na ziemi,
Czy nawet w niebie,
Niebędziemy niewdzięczněmi,
Dostaniemy ją dla ciebie!
Tylko dla ciebie!

D z i e w i c a.

Do mnie tu, do mnie, w moje ramiona,
Pójdź marzycielu! zapaleńcze luby!
Ja jestem, ja twój anioł, twoja ulubiona,
Cel twych uwielbień i twojéy rachuby.
Spójrzyj! ta sama postać,
Którąś się zachwycał mile;
Te same lica,
Któreś uwielbiał tyle;
Te same oczy, które, tak miło,
I przerażały i pieściły razem;
I, ach! to samo serce, co dla ciebie było
Niebios obrazem.

Słuchaj, co mówię, mój drogi!
Piękne ustronie, rodziców zagrodę,
Rzucę dla ciebie, bez żalu i trwogi;
Serce, wdzięki, lata młode,
Wszystko ci oddam, mój drogi!
I z tobą pójdę — Z tobą, mój kochanku!
Błąkać będziemy po dalekiéj ziemi,
I dzielić się bez ustanku,
Nieszczęściem i łzami twemi.
O! podaj do dłoni dłoń;
Do ust, daj usta twoje;
Pierś do piersi skłoń,
O tak! zostańmy na wieki oboje.
A kiedy martwa na losu połyski,
Z uwielbioną przez ciebie cnotą i urodą,
Sama się w twoje rzucam uściski:
Może to będzie dla ciebie nagrodą?

Śpiewak.

Senna istoto! myśli mych aniele!
Czyto ty sama? — Czy, na twe wspomnienie,
Z twém sercem, w twojém ciele,
Znowu mnie budzi me własne marzenie?
Tak jest! ty sama — myśl mnie niemyli;

Widzę: ta postać piękna,
Któréj się wszyscy wraz ze mną dziwili;
Ten sam blask jasnego lica,
Co wszystkich tak zachwycał, jak mnie dziś
I te oczy, (zachwyca;
Silne roskoszą tajemną,
Które wszyscy znali ze mną;
I, ach! to samo serce, to serce bez plamy,
Nieznane tobie saméj,
A tak bijące i tęskno i tkliwie,
Niewinnym świętym zapałem —
Serce, na które wszyscy spoglądali chciwie,
I tylko ja sam jeden ja biedny poznałem,
Ach ty sama! ja ciebie znam,
Na twój widok pierś zadrży i łza się poruszy,
Bo ty jesteś od któréj mam,
Co tylko najczystszego kryje się w méj duszy
I ty, do dłoni, dajesz dłoń bezpiecznie;
I usta wiążesz z ustami;
I serce z sercem, i oddajesz wiecznie
Szczęście, niewyżebrane rozpaczą i łzami!
I ty chcesz nędzę moję przyjąć na połowę,
Przyjąć myśli—te ciężkie dla sumienia noże,
I przyjąć serce moje — to gniazdo wężowe!
Wyrzéc się ziemi! ludzi! i dla marzeń może!—

Nie! — Kiedy cię nie można w tym szczęścia
(zapale,
W téj roskoszy posiadać, jak ja dziś rozu-
Niechcę — niechcę ciebie wcale! (miem,
Szczęściem się dzielić pragnę — nieszczę-
(ściem nieumiem!
Pozwól samemu zostać dla gniewnych nie-
(biosów,
I z bolów zgrzytać zębem — łzy wylewać
(krwawe,
I z rozpaczy bić czołem o kamienie losów,
I z głodu własne ciało wyrywać na strawę.
A kiedy się tak serce w męczarniach zagrze-
(bie,
Wyrzec się ciebie zdoła — jedynie dla ciebie!
Ty żyj bez łez, dla szczęścia, co się tobie śmie-
I u stóp twych czeka! (je!
W deszczu z róż niechaj lube spadają nadzie-
Chociaż odemnie zdaleka, (je!
A mnie twój obraz z promienistém czołem,
Ścigać już nieustanie na złotym obłoku;
Będziesz mojemu sercu, jak mojemu oku,
Senną istotą, duszy méj aniołem;
Natchnieniem myśli złotéj; (dą;
Marzeń mych przyjaciołką, rówiennicą mło-

Stróżem méj cnoty!
Ale nigdy nie będziesz mych pieśni nagrodą!

C h ó r.

Jakto! ta pierś dzika,
Przed miłości spójrzeniem,
Równie się zamyka,
Jak się zamkła przed złotem i swém uwie-
(cznieniem.
Więc powiedz: czy twa roskosz na ziemi,
Czy nawet w niebie?
Niebędziemy niewdzięcznémi,
Dostaniemy ją dla ciebie!
Tylko dla ciebie.

G ł o s j e d e n.

Milczysz! — Czy tobie serce, wśród mło-
Głuszy krew wrząca? (dych lat,
Czy też, jak ten długi świat,
Wśród miljonu istot, wśród cudów tysiąca,
Nie pozostało jednego stworzenia,
Godnego twéj miłości twojego pragnienia?
Z rozkoszą, od obumarłego świata
Odrywasz serce i lice,
I aż za ziemskie granice,
Myśl twa po szczęście ulata,

A z niebios nigdy niewraca,
Błąkać po nędzy padole,
Gdzie, tylko praca,
Tylko zgryzoty i bole!
Gdzie piękność bez zalety!
Cnota bez życia! sława bez swobody!
Ziemia, grób — ludzie, szkielety!
Więc niema na tym świecie dla ciebie na-
(grody?

Ś p i e w a k.

O jest! jest!
I przed oczyma,
I w piersiach głęboko!
U niéj się serce trzyma,
U niéj wisi oko!
Spójrzyjcie na tę skałę, co chce nieba dostać,
Otoczoną promieniami:
Spójrzyjcie na tę postać,
Pomiędzy ziemią i między niebami!
Ciało kona,
Śmierć w oku,
Wyciągnięte ramiona,
I krew płynie z boku.
O tam jedynie,
Szczęście tam,

Z tego serca płynie,
I mnie i wam!
W serce téj świętéj postaci,
Kto z swém uczuciem i myślą uciecze,
Ten z roskoszy straci,
Zmysły człowiecze!
O tam! o tylko tam,
Całą mą nagrodę, całe szczęście mam!

Tam, każdy zemną,
Zegnij kolano i czoło twe zniż!
Do czystych niebios, duszą wzajemną,
Myślą i sercem najczystszém się zbliż!
A znajdziesz twą nagrodę, znajdziesz razem (zemną! —

G ł o s y.

Tam jest Zbawiciel.

C h ó r.

Tam krzyż!

A. J. Szabrański.



Do mojej Gwiazdki,

(PIEŚŃ.)

1.

Gwiazdko moja! coś błyszczała
  Gdym ja ujrzał świat,
Czemuto tak, gwiazdko mała!
  Twój promyczek zbladł?
Czemu już mi tak nie płonie,
  Jak w dziecięcych dniach,
Gdym na matki igrał łonie,
  W malowanych snach? —

2.

Prędkoś, prędko żeglowała
  Po niebieskiém tle,
O gwiazdeczko moja mała,
  Zleś ty wiodła mnie!

Żartkoś biegła śród niebiosów;
  Jam też chyżo żył;
I z roskoszy złotych kłosów
  Śpiesznie wieńce wił.

3.

Zgasła młodość, zwiędły wieńce,
  Pożółkł życia maj,
I zapały, i rumieńce,
  Cudny złudzeń kraj.
Wszystko teraz przy mnie kołem
  Mgła jesienna ćmi:
Ach! bo blada nad mém czołem
  Ma gwiazdeczka tkwi.

4.

Gwiazdko moja! dawne życie
  W twym promyku wznieć!
Nie w pomroku, na błękicie
  Jeszcze dla mnie świeć!
Niech me serce jeszcze zazna
  Doli młodych lat;
Nim cię ręka pchnie żelazna
  W zasłoneczny świat. —

Wiktoryn Zieliński.

Podróż Dunajem

od Ratysbony do Wiednia.

Byłoto w połowie Września 1828 roku; po zwiedzeniu północnych Niemiec, Hollandyi i Francyi, wracałem do kraju przez Strasburg, Stuttgard i Monachium; i w téj ostatniéj stolicy miałem przed sobą dwie drogi do wyboru, aby się udać do Wiednia: jedna lądem, przez góry Tyrolu; druga przez Ratysbonę, a następnie Dunajem, aż pod same przedmieścia téj stolicy. Zapowiedziano mi, że ta ostatnia jest równie niewygodną, jak zajmująca pięknością malowniczych widoków nad brzegami Dunaju: bo z Ratysbony potrzeba odbywać podróż

prostym statkiem, do jednorazowego przewozu towarów zbudowanym, który, z powodu bystrości biegu rzeki, nie może płynąć pod wodę, i za przybyciem do miejsca przeznaczenia, rozebrany i na drzewo do opału sprzedawany bywa. Mało kto z podróżnych obiera tę drogę, bo każdy woli bliższą i wygodniejszą; ja zaś dla tego właśnie, idąc za popędem właściwéj nam próżności, obrałem mniéj uczęszczaną, a témsamem mniéj znaną drogę, nęcony będąc przytém przewidywaną przyjemnością żeglugi, po największéj rzece Europy, nad któréj brzegami, ubiegłe wieki, pamiątki dziejów swoich wśród pięknych dzieł natury zostawiły.

Pokrycie gór Tyrolu świéżemi śniegami, szczególniéj oziębiło atmosferę w Monachium, w chwili gdym to miasto opuszczał; lecz za to, jakże zajmującym był widok tych gór, w pewnéj odległości za miastem! Przy pogodnym i jasnym poranku, widać było nową, śnieżną szatą przystrojone ich wierzchołki, jakby dzień świąteczny wśród błękitu nieba obchodziły; a ciemny lazur

skał spodnich, zdawał się niedotykać do ziemi, i ginąć w niewidzialnym przestworze poza linią zwykłego poziomu, przez bliższe gaje, łąki i pola, na ciemnem ich tle różnobarwnie oznaczoną.

Przestrzeń siedmnastu mil od Monachium do Ratysbony, mało przedstawia ciekawych widoków. Pęd szybki Izary pod miastem Landshut, obronny niegdy Zamek Trausnitz na górze, pod tém miastem położony, który ma zawierać 134 izb, katedra w temże mieście, z jedną z największych wież w Niemczech, i domki wiejskie, na wzór szwajcarskich stawiane i tém samém odmiennéj budowy od sielskich domów niemieckich: oto jedyne przedmioty, które nas w téj podróży zajmują. Pod samą Ratysboną, weselsza dopiéro okazuje się okolica; widać zdaleka wzniosłe brzegi Dunaju; u stóp gór, to drzewami, to winnicami pokrytych, łyszczą się białe domki i wieże kościołów. Przy wjeździe do miasta, jest ogród publiczny, a wśród kląbów jego, stoją pomniki grobowe. Wzniesiono je tutaj pamiątce mężów, dobrze krajowi zasłużo-

nych, których, miasto, niegdy kolebki, a cienisty ów ogród, groby dziś mieści. Między niemi najznakomitszy, nietak dalece z budowy swojéj, jak z popiołów, nad któremi się wznosi, jest pomnik Kepplera.

Piękna to myśl, założenie cmentarza dla zasłużonych i ukochanych ziomków, w miejscu, gdzie się ich potomkowie dla rozrywki i zabawy gromadzą. To połączenie poważnych i świetnych wspomnień przeszłości, z powszedniém życiem ludu, zwraca mimowolnie uwagę tych, co po czczonych mogiłach depcą, na to: że sama tylko zasługa i cnota, znikomość światowego znaczenia przeżyć może. Przy grobach krewnych i przyjaciół, wyciska łzy czułości, wspomnienie na chwile, z niemi przeżyte; przy pomnikach zasłużonych mężów, wznosi się umysł, uzacnia się wyobrażenie o wartości ludzi, i doznaje się téj wyższéj pociechy, jaką godność człowieka przynieść może.

Ratysbona, owa dawna stolica stanów Niemieckich, nosi znamiona starożytności swojéj; wysokie stare domy, i ciasne a kręte jéj ulice, sięgają czasów, w których

niemyślano o symetryczném upięknianiu miast. Ratusz i kościoły gotyckiéj budowy, i kamienny most na Dunaju, są największemi ciekawościami tego miasta; zwłaszcza też kościół katedralny, ze śmiałemi i nader wzniosłemi sklepieniami, z różnobarwnemi szybkami w oknach, przez które promienie słoneczne, niejako światło średnich wieków, po ciemnych ścianach kościoła, roznoszą. Dwie są wieże na téj świątyni: jedna z nich niedokończona; z niéj widać most śmiały na Dunaju, 1091 stóp długi, na 15 wielkich arkadach kamiennych zbudowany. O téj wieży, i o tym moście, jest bajeczne podanie między ludem, tłómaczące, dla czego wieża ukończoną bydź niemogła, i jaka siła, ten most, tak sławny, przez siedm wieków opór Dunaju stawiający, wzniosła. To podanie zdawało mi się bydź dobrym przedmiotem do ballady, którą sobie, w dalszéj podróży mojéj na Dunaju, następującym sposobem nuciłem:

»Oj majstrze! wieża się wznosi,
Śpiéwa czeladka wesoła,

Świszczy blok na startéj osi,
Trzeszczą silnéj dźwigni koła;
Kamień, podany do góry,
Przystaje do muru szczelnie;
Nad świeżo wzniesione mury,
Pod słońce błyszczą się kielnie,
Oj majstrze! zakład przegracie:
Bo most wasz, końca daleki;
Mistrzowi wszystko oddacie;
Sławę stracicie na wieki!«
—»Cicho«—krzyknął budowniczy.
Czoło marszczy mu zgryzota;
Zdaje się że, chwile liczy,
Odkąd zacznie się sromota.
Bo téż, zanadto zuchwale,
Poszedł z swym mistrzem w zawody;
A zazdroszcząc jego chwale,
Gdy otrzymał list swobody,
Zbyt trudną mostu budowę,
Pod Ratysboną, przyjmuje,
Stawia maiątku połowę,
Że go pierwéj wybuduje,
Nim mistrz jego, u kościoła,
Drugą wieżę skończyć zdoła.—
—Późno zamiar poznał śmiały!.....

Widząc, że zakład przegrany,
Smutno patrzał w bystre wały,
Jak w grób dla siebie kopany.—
—Nagle się woda zamąca,
Burzy się, pieni i pryska.
O mur, bałwany roztrąca,
I na statek pianę ciska;
Pianka lekka i wodnista,
Na młodzieńca twarz upadła,
Powstała chmurka siarczysta,
Z niéj wyszła postać wybladła,
Pół człeka, pół ducha,
Niewiększa jak mucha.
Wypada najprzód na czoło,
A podskoczywszy wesoło,
Przy uchu potém zasiada,
I coś pocichu weń gada:
»Cóż się to, mój majstrze, znaczy,
Że się w zamiarze chwiejecie?
O lada coście w rozpaczy,
Od czegóż diabli na świecie?
Ufajże naszéj pomocy,
I zawrzyj ze mną przymierze;
Jam przybył z piekielnéj nocy,
By cię w dobréj trzymać wierze.

Tamten, co wieżę buduje,
Nam na przekorę pracuje;
Ale nie wzniesie téj wieży,
Sam od roboty odbieży,
W moje dostanie się szpony;
Jakem djabeł wyzwolony!
Ty, zawrzyj ze mną ugodę;
Niewielkie moje żądanie:
Bo jeżeli, przez tę wodę,
Przez noc jednę most twój stanie,
Dasz mi za to trzy istoty,
Co, po skończeniu roboty,
Jako zbyt ciekawi goście,
Przejdą pierwsze po twym moście.«
—Skończył; potém w lekkich pląsach,
Ruszył na przód, siadł na wąsach.
Czeka majstra odpowiedzi,
Ust ruszenia wszystkie śledzi;
Patrząc w zaiskrzone oczy,
Widzi, co się dzieje w duszy,
Ledwo z skóry niewyskoczy,
Gdy tamten wargami ruszy.
Po chwili głosem donośnym,
Zawołał nasz młodzian—»Zgoda.«
Rykło w górze śmiechem głośnym,

W bałwany wzbiła się woda.—
Odskoczyli od roboty,
Przerażeni widmem takiem,
Z rąk wypadły kielnie, młoty,
Żegnają się krzyża znakiem.
—»Skąd ta trwoga was przenika,«
Rzekł mistrz do nich: »słabe głowy!
»Kto się boi, niech umyka,
»Bez was będzie most gotowy.
»Trzech łuków jeszcze brakuje;
»Tej nocy je wybuduje.«—
—Każdy się patrzy i śmieje.
Mówią, ruszając ramiony:
»Biédak, z rozpaczy szaleje!«
I odchodzą w swoje strony.
—Lecz gdy z wieży puszczyk szary,
Powitał ciemne godziny,
Wyszły różne piekieł mary,
Z bystréj Dunaju głębiny.
Każda dźwiga głaz ciosany;
Na zaczęte kładzie ściany.
Za każdém mistrza skinieniem,
Kamień się spaja z kamieniem.
Gdy kur zapiał na dzień nowy,
Znikło wszystko—most gotowy.

—Czeladź, u wieży kościoła,
Zdumiona patrzy i woła:
»Mistrzu, spojrzyjcie na rzekę!
Wszak twój uczeń most wystawił,
Diabłu się oddał w opiekę,
Że tak krótko nad tém bawił.«
—Spojrzał z gniewem; ledwo wierzy,
Zazdrość lica mu rumieni;
Zaiskrzoném okiem mierzy
Przestrzeń, z góry do kamieni.
Krzyknął: »nikt nieskończy wieży!«
Wściekły, na brzeg muru bieży,
Spojrzał jeszcze raz w obłoki:
Rzucił na bruk martwe zwłoki.—
—Lecz zwycięzca, uczeń śmiały,
Z diabłem miał mieć do roboty:
Bo się temu należały,
Z ceregrafu trzy istoty,
Które, po diabelskim moście,
Przejdą, jako pierwsze goście.
Grzech do grzechu dodać trzeba.
Czeka za to kara nieba.
Trzeba się djabłu wywinąć,
Lub w piekielnym ogniu zginąć.
A tu, wysoko już słońce,

Ciekawych zbiera się tłuszcza;
Więc zamyka mostu końce,
I nikogo nań nie puszcza.—
»A ceregraf, panie bracie!«
—Rzekł nasz diabeł do kolegi:
»Cóż to znaczą te wybiegi?
»Jakież wy sumienie macie?
»Za dokończenie roboty,
»Oddaj trzy żywe istoty!«
»Dam je zaraz« nasz frant rzecze:
»Niech ci która nieuciecze!
Ja za to ręczyć nie mogę:
Zastąp im na moście drogę.«
—Skory diabeł na most leci,
Druciane zakłada sieci;
Skrzydła z boków rozpostarte,
Matnia leży, jak przykuta,
Rogatki mostu otwarte......
Najprzód złapał w nią... koguta.
—»Co lepszego, panie bracie!
Jakież wy sumienie macie.«
—Otworzył drugi raz wrota,
Woła: rogatka otwarta:
Oto i druga istota,
Po moście idzie do czarta!

To dopiero łup bogaty....
Ogromny kozioł brodaty.—
—»Co lepszego, panie bracie!
Jakież wy sumienie macie.«
Ot istota znamienita!
Bo najlepszy dar ostatni.
—Chciwie diabeł za sieć chwyta,
Cóż ma? — czarownicę w matni.—

Krótko bawiliśmy w Ratysbonie, gdyż statek, sérami szwajcarskiemi ładowny, a z Ulmu do Wiednia płynący, odbijał od brzegu nazajutrz po naszém przybyciu. Sama powierzchowność tego statku, i niekoniecznie woniejące towary, które na nim przewożono, mogły już odstręczyć podróżnego, mniéj odemnie gotowego na znoszenie nieprzyjemności podróży, byleby piękną zwiedzić okolicę. A cóż dopiero, gdy przyszło zabrać znajomość z liczném, a różnobarwnem towarzystwem, które razem z nami żeglować miało! Na przodku statku kilkunastu, wędrownych rzemieślników, którzy odbywali podróż bezpłatnie, z obowiązkiem jednakże czynienia kolejno słu-

żby u wioseł, i kłócących się za każdą zmianą kolei przy téj utrudzającéj pracy. Z tyłu, to w ciasnéj budzie, to na bardzo szczupłym pokładzie, od żeglującéj czeladzi pakunkiem sérów przegrodzeni, wyższego rzędu goście, to jest: ex-cyrulik regimentowy, szukający szczęścia i krwi puszczania w dalszych okolicach, gdzieby wcale niebył znajomym; kramarz ze skrzynią towarów, któréj w nieprzerwaném milczeniu pilnował; jakaś, dobra może, ale dla towarzyszów podróży, nieznośna matka, z powodu dwóch piskliwych dziatek, które nam wielorakie uprzykrzenie zapowiadały; czterech studentów szkoły leśnéj, z wąsów, bród, czapek i pałek, do bandytów podobnych: oto było miłe towarzystwo, o którém trzeba było zapomnieć, za każdym razem, gdy duszę wzniosłemi uczuciami, jakie widok pięknéj natury wzbudza, przejąć chciałem, a które się ciągle, to krzykiem, to śpiewem, to dymem tytuniu, utrudzonéj myśli przypominało.

Wolno posuwał się nasz statek, tak iż ledwo czuć się dało, że na przód postępuje-

my: można było nietylko przypatrzyć się, ale nawet zdjąć główne zarysy zwalisk starożytnych zamków, na górach, z pomiędzy lasów stérczących. Między temi zajmują najbliżéj Ratysbony zwaliska zamku Donau-Stauf, na zaokrągloném wzgórzu stojące; a daléj, całkowicie prawie zachowany zamek, Woerth, który, przy ustawicznych zakrętach rzeki, coraz to z innéj strony przedstawia się płynącym. Promienie zachodzącego słońca, rzucały iskrzące światło swoje między starożytne dęby wyspy, na środku Dunaju położonéj, i drżały w bystrych nurtach, rozsiewając po całéj okolicy to melancholijne światło dnia gasnącego, które mimowolnie, umysł do dumania nad ubiegłemi chwilami skłania.

Jest jakiś oddzielny powab w żeglowaniu; z bezpiecznéj, lecz spowszedniałéj pielgrzymki po ziemi, radzi jesteśmy nieraz oderwać się od niéj, i puścić się na powierzchnię wody, gdzie nas słaba deska od głębokiego grobu oddziela. Oderwani od poziomych widoków, i od tego wszystkiego, co nas do miejsc i ludzi wiąże, szukamy nowych wra-

żeń i uczuć na bezdennéj przestrzeni, a poglądając z uniesieniem na kołyszące się przy spokojném niebie wały, zapominamy o tém, że z głębi wody i z wysokości obłoków, podwójne grozi nam niebezpieczeństwo. Istny obraz zwykłéj słabości ludzi! Niech się tylko rozwinie pojęcie, niech się w duszy ocucą żądze, a miejsce dla nas na ziemi i w towarzystwie przeznaczone, zdaje nam się bydź za ciasném, zanadto poziome; sięgamy i daléj i wyżéj, i, jak żeglarz, niepomni na to, że nad niebezpieczną unosimy się tonią, do któréj nas własne błędy i z góry grożące ciosy wtrącić mogą.

Wśród tych marzeń, wzbudzonych w umyśle, przez poglądanie na ślad znikomy postępu statku naszego po przezroczystéj powierzchni Dunaju, uczułem niespodzianie uderzenie łodzi o ląd, do którego przybijano; ustał ruch wioseł; głos sternika oznajmił lądowanie; mieliśmy wysiąśdź na nocleg do małéj wioski nadbrzeżnéj. Tu nastąpiło dla mnie, zwykłe w życiu naszém, przejście, od miłych uczuć wewnętrznych, do nieprzyjemnych wrażeń zewnętrznych,

od wznioślejszych marzeń do poziomej rzeczywistości. Towarzystwo nasze, różnem zajęciem i pomieszczeniem na statku, tak było rozdzielone: iż każdy z sobą samym, lub z podobnemi przestawał; na lądzie, połączyli się wszyscy, i razem do nieco odległéj zdążali karczmy; trudno się już było odosobnić i uniknąć przykrego wrażenia, jakie na nas czyni wmieszanie się nasze między ludzi, z któremibyśmy nic wspólnego mieć niechcieli.

Zbudzony przed świtem; po nocy wśród zgiełku karczemnego źle spędzonéj, byłem w tym przykrym stanie niezaspokojonéj potrzeby spoczynku, który nas niezdolnym czyni do przyjmowania przyjemnych wrażeń od otaczających nas przedmiotów, i każe nam przekładać chwilę jeszcze snu, nad wszelkie inne przyjemności. Umieściłem się, jak mogłem, w ciasnym kąciku tak zwanéj kajuty statku naszego, i chciałem dopełnić niedospanéj miarki; ale ciągła rozmowa moich towarzyszów podróży, w nieznośnym południowym dyalekcie, i zgęszczone dymem sześciu lulek powietrze,

wypędziły mnie wkrótce z mego schronienia na pokład; a wrażenie doznanéj przykrości obrzydzało mi wszystko, nawet pogodny promień wschodzącego słońca, który wyświecał z śród mgły i pomroki kościół z cudownym obrazem, na zwaliskach zamku Bogenberg, na wysokiéj górze wzniesiony; daléj, obszerne zabudowania opactwa Oberabthai, bielące się w pięknéj dolinie u stóp gór między drzewami, i wieże miasta Straubing, które się od siedmiu wieków w wodach Dunaju przeglądają.

O kilka mil daléj, przerwał cichość naszéj żeglugi, odgłos pobożnych pieśni, z nadbrzeża dochodzący; po drodze, u stóp okrągłéj góry, ciemnym lasem pokrytéj, z jasną ruiną zamku Naternberg na szczycie, postępował zwolna długi szereg ludzi różnéj płci i wieku, odbywający pielgrzymkę do cudownego kościołka niedawno widzianego; a nieco daléj, na zielonéj murawie odpoczywała druga taka pobożna kompania. Różno-barwne ubiory tych ludzi, pięknie stroiły nadbrzeże, odbijając się w wodzie; głosy ich długo i coraz słabiéj

słyszeć się dawały, a wszystko ożywiało malowny widok naddunajskiéj okolicy.

Gdy słońce zbliżało się do zachodu, usiadłem na samym przodku statku, aby się ile możności od towarzyszów podróży odosobnić; a poglądając na wolne gaśnienie dziennego światła, na tę tak pospolitą a zawsze zajmującą przemianę, używałem spokojnych uciech, jakie ciszą wieczorną wzbudzone marzenia sprawują. Taki jest wpływ wodnéj podróży na czucie nasze; taka różnica wrażeń, jakie czyni na umyśle, od wędrówki po ziemi i między ludźmi. Zdaleka patrzemy na siedliska spółczesnych i na zwaliska siedzib przodków; w tamtych, wystawiamy sobie ludzi tak jakbyśmy ich mieć chcieli; w tych, wyobrażamy sobie ich pożycie, tak jak nam je podania historyczne i zbogacona niemi wyobraźnia przedstawia; tworzemy sobie świat marzeń, życzeniami i wspomnieniami naszemi ozdobiony, póki zetknięcie się z ludźmi i z miejscami złudzeń naszych niezniszczy. Z bliska znika urok; widzimy ludzi i ich dzieła, bez tych upięknień, jakie im nasza

wyobraźnia nadaje; niemasz złudzeń, a zgiełk życia niedaje wczasu marzeniom; żyjemy obcém życiem a mało własném; i późniéj dopiéro, po skończonéj pielgrzymce, gdy wrażenia wśród niéj odebrane są już tylko wspomnieniem, możemy ocenić jaki ślad w duszy zostawiły. Chceszli przypatrzéć się ziemi, jakby przez szkło złudzenia, które ci same powabne przedstawia obrazy: albo się wznieś nad poziom, na szczyt skały, co się w obłokach gubi; albo się powierz łodzi, która się po płynnéj przestrzeni pod nad brzegami ziemi unosi.

Rozkołysany umysł miłém marzeniem, niechce się oderwać od niego i przedłuża jak może uczucie, jakiém jest przejęty. Wrażenie wieczorem doznane, odbiło się we śnie, i usposobiło duszę do lepszego pojmowania piękności następnego poranku. Słońce jeszcze niebyło weszło, gdy nasz statek odbił od lądu; pierwsze dnia promienie wznosiły się za błękitem gór najwyższych, lekka mgła pokrywała doliny, i jak biały dym wznosiła się zwolna nad

poziom; wzgórza na lewym brzegu Dunaju były w cieniu, a najpogodniejszy promień oświecał łąki, gaje i wioski w dolinie przeciwległego brzegu. Taki poranek, wśród tak zajmujących widoków spędzony, wznosi myśl świeżą z uczuciem wiary i nadziei ku niebiosom, dokąd się w strapieniu każde łzawe oko zwraca, gdzie tęskna ufność błogiéj szuka pociechy.

Cały dzień przy tych miłych wrażeniach rozpoczęty, zszedł mi przyjemnie; wszystko się i pięknem i wesołem bydź zdawało: śniadanie, w starożytnem miasteczku Osterhofen, lepiéj smakowało, jak zazwyczaj niemieckie jedzenie; zajęło mnie daléj ujście rzeki Vils do Dunaju, pod miastem Vilshofen, i następnie przypatrując się pięknym widokom na lewym brzegu Dunaju, zachwycony zostałem położeniem miasta, które pod tym względem jedno z pierwszych miejsc w Europie trzyma. Po kilkogodzinnem pływaniu, dostaliśmy się w znacznie zwężone koryto rzeki; wzniosłe skały z obojéj strony, kształciły niby wąwóz, którego dnem był Dunaj.

Droga świeżo w skale wykuta, wiła się u stóp gór prawego brzegu, a na zakręcie téj drogi w miejscu wydatném, leżał lew kolosalny z piaskowego kamienia, na podnożu i na wystającéj nad sam brzeg skale, spoczywający. Jestto godło Bawaryi, pomnik wystawiony na pamiątkę drogi, z wielkim nakładem i z rozkazu zmarłego Króla Bawarskiego w skałach wykutéj. Ten dosyć pospolity posąg, uderza i zajmuje tutaj każdego podróżnego: stoi bowiem wśród dzikiéj natury; skały otaczają go zewsząd; posępne świerki wieńczą go i cienią; niemasz wokoło ani śladu uprawiającéj i kształcącéj ręki człowieka; to jedno dzieło sztuki, stoi odosobnione wśród wiekuistych głazów, jakoby na podziw całéj téj nieokrzesanej okolicy. Skaliste ściany z obojéj strony rzeki, kryją jeszcze czas niejaki miasto przed nami; woda pędzi i szumi mocniéj w ścieśnioném korycie; wyjeżdżamy nieco na więcéj otwarte miejsce; na samym środku rzeki, jest wysepka, niskiém drzewem pokryta, nad nią sterczą wieże kościoła, a na lewo, wyżéj jeszcze od téj

wieży, wznoszą się na samym wierzchołku skały, warownie, które górują nad całą okolicą. Mijamy wyspę, widok odkrywa się zupełnie; ozdobne miasto Passau z wyniosłemi wieżami katedry, przegląda się w Dunaju; długi most murowany, łączy oba brzegi; warownia, całkiem widoczna, grozi okolicy, a groźne i niedostępne skały, na których się wznosi, są malowném przeciwieństwem białych murów miasta.

Przejrzenie paszportów naszych zabrało kilka godzin czasu, i dozwoliło zwiedzić i miasto i przeciwległe wały cytadelli. Z jéj wierzchołka patrzy się w miasto; widać podział jego, przez spływanie trzech rzek naturalnie odznaczony. Jeden oddział stanowi właściwe Passau, i leży między Dunajem a rzeką Jnn; drugi Jnndstadt zwany, za tąż rzeką położony, a mostem z poprzednim złączony; trzeci przy ujściu rzeki Ils do Dunaju, tąże rzeką od poprzedniego oddzielony. Z wysokości warowni przechodzi się przez wielką bramę, w skale wykutą, która znany Kuhstal w Szwajcaryi Saskiéj przypomina.

W samém mieście Passau godnym jest widzenia kościół katedralny Sgo Stefana, który zgorzał był w roku 1662, lecz następnie ozdobniéj jeszcze odbudowany został; sklepienia i słupy, na których są wzniesione, bogato ozdobione są płaskorzeźbami i freskami bardzo dobrze zachowanemi. Zastaliśmy jarmark w mieście i liczne zebranie ludu z okolicy. A lubo piękność kobiet Passauskich weszła w przysłowie, zdawało mi się chodząc po rynku, że przysłowie tym razem kłamie; bo wyjąwszy jednéj odznaczającéj się piękności, któréj widok osłabiony był przez nieromansową czynność szynkowania winem w domu zajezdnym, inne, w znacznéj liczbie na mieście widziane, nieusprawiedliwiały bynajmniéj nazwania płci pięknéj, które my męszczyzni, przez grzeczność, wszystkim niewiastom dajemy. Ale bo téż zwyczaj, szczególny sposób strojenia głowy upowszechnił, i trudno bydź piękną, przy zaczesanych w górę włosach pod niskie złote czółko, lub przy obwiązaniu głowy ciemną chustką, nisko na czole.

Wypłynąwszy kilka staj za Passau, widzimy ujście dwóch rzek, które toż miasto na trójkąty dzielą, do Dunaju; sternik zwrócił naszą uwagę na rzekę Ils, z powodu że się w niéj perły znajdować mają, a niektórzy podróżni ciekawie poglądali w jéj wody: czy też tych pereł niezobaczą. Mnie więcéj zajęły malowne brzegi, ciemnemi świerkami pokryte skały, a na jednéj z nich śmiało wystawiona budowa, któréj białe ściany są, jakby przedłużeniem prostopadłych głazów, na których wierzchołku się wznoszą. To niebezpieczne siedlisko, zwane jest od pospólstwa *das Schneiderloch*, a to, jak wieść niesie, od przypadkowéj śmierci krawca, który z téj wysokości miał spaśdź w przepaść wraz z ulubionym kozłem swoim, gdy go, jako zbiega, za ogon na skale schwycił. Biedne te krawcy niemieckie, którzy wszędzie i zawsze w jakimciś powinowactwie z kozłami zostają, i powszechnego szyderstwa są przedmiotem!

Dzień niedzielny zaludniał przecież nieco Dunaj, i pierwszy raz w podróży naszéj spotkaliśmy łodzie z ludzmi, z jarmarku z Pas-

sau wracającemi, które tę tak piękną okolicę ożywiały. Nad wieczorem wylądowaliśmy w ostatniém nadgraniczném miasteczku Bawarskiém, Hafnerszelle, u stóp gór, i nad brzegami bystréj rzeki, a tém samém ślicznie położone. Jasny xiężyc oświecał całą okolicę i w odmienném świetle okazał nam piękne obrazy, które nas cały dzień zajmowały.

Krótka była nasza podróż nazajutrz: bo o mil parę od noclegu, zatrzymano nasz statek u komory celnéj austryackiéj, w Engelhardszell, gdzie dzień cały dla rewizyi towarów i wszelkich rzeczy na statku naszym będących pozostać trzeba było. W tém miejscu jest bowiem granica Austryi i Bawarji; wielki kamień, w samym prawie środku koryta Dunaju sterczący, służy za znak graniczny między temi dwoma państwami. Ledwo o 9téj z rana nazajutrz, można było w dalszą puścić się drogę; a przy czułém rozstaniu się naszém z celnikami, którzy nas dwadzieścia i cztéry godzin zabawiali, zapowiedziano nam na pożegnanie, iż dwa razy jeszcze, to jest: w Linz i w Wiedniu, po-

dobnego jak tutaj przyjęcia od celników doznawać będziemy.

W téj okolicy zmienia się postać brzegów i koryta rzeki; ustaje pasmo skał z prawéj i z lewéj strony; równiny, zwłaszcza od wsi Archach, pozwalają rozszérzyć się wodzie Dunaju; wyspy krzewiną zarosłe, i częste odmęty, utrudniają żeglugę. Zdaleka widać jednak góry, a na jednéj z nich, starożytny zamek, dobrze zachowany, i nawet świéżo odnowiony: miejsce urodzenia jednego z Cesarzów niemieckich, od niego Ottensheim zwany, który leży na wierzchołku góry, w około miasteczkiem tegoż nazwiska otoczonéj.

O trzeciéj z południa, przybiliśmy do brzegu miasta Linz; rozstawieni przy miejscu lądowania i na samym statku żołnierze, niedozwolili wysiądź nikomu, póki rewizyi rzeczy i paszportów nieodbyli. Była ona względniejszą jak się spodziewano, wyjąwszy jednak nielitościwego obejścia z resztą mego tytuniu tureckiego, szczęśliwie przez dwie części Europy przewiezionego, która do Dunaju wysypaną została, aby

kontrabandowym dymem atmosfery tutejszéj niezaraziła.

Przybywając do Lincu wodą, uderza nas skalista powierzchowność tego miasta: bo długi rząd domów oparty jest o wzniosłe i dzikie skały. Most drewniany łączy dwie części miasta z sobą; a za przedmieściem, na lewym brzegu położoném, wznosi się w oddaleniu kościoł cudowny na wysokiéj górze. Miasto Linc należy do większych; jest dobrze zbudowane, zwłaszcza ulica długa i rynek. Na tym ostatnim stoi posąg, wystawiony w r. 1723, na pamiątkę ustąpienia powietrza, którego myśl jest osobliwsza zwłaszcza rzeźbą oddana. Na czworobocznéj podstawie granitowéj, wznosi się prostopadle obłok z marmuru białego, w kształcie kręconéj kolumny, ozdobiony ze wszech stron wyzłacanemi główkami aniołków, a na wierzchu jego wyobrażona jest Święta Trójca.

Od Lincu prędzéj daleko płynie statek, z powodu większego spadku wody. Po trzech milach żeglugi wśród równin, natrafia się na wyspie, na malowną ruinę, Spielberg zwa-

ną; dalej mijamy miasteczko Mauthausen, tak zwane z powodu starego budynku, nad wodą położonego, w którym od wieków cło pobierano: wielki dowód za starożytnością danin celnych. W dalszym ciągu drogi, widzimy nad brzegami piękne skały granitowe, w których kamień do brukowania Wiednia jest łamany. Skały te najmalowniejszą postać przybierają za miasteczkiem Krain, gdzie też uderza każdego podróżnego, który to pierwszy raz widzi, nagły spadek wody Dunaju: ową wielką massę bystréj wody, pochylającą się coraz bardziéj, jak gdyby cała rzeka, sztucznem a pochyło ustawionem korytem płynęła. Właśnie gdy nas to najmocniéj zajmuje, zapowiadają nam świadomi miejscowości, ciekawsze jeszcze widoki, i niedługo szum nadzwyczajny wody zdaleka słyszany, oznajmia nam, żeśmy się zbliżyli do sławnego odmętu *(der Strudel)* który wraz z następującym po nim wirem *(der Wirbel)* najniebezpieczniejsze przeprawy na Dunaju stanowią, tak dalece: iż żeglarze z dalszych okolic, najmują zawsze miejscowego sternika, aby ich statki

przez te dwie wzburzone wody przeprowadził.

Na samym zakręcie ścieśnionego parowu, z wysokich skał, między któremi Dunaj płynie, jest nagły spadek téj rzeki, a na jéj dnie mnóstwo mniejszych skał, między któremi woda, z wielkim pędem koryta dla siebie szuka, bije bałwany i roztrąca je z łoskotem o ściany blizkich skał. Na samym środku rzeki wznosi się malowna i dosyć znaczna skała, gęsto świerkami pokryta, a wśród, nad brzegiem głazu, znak Zbawiciela, jako ostrzeżenie podróżnych o niebezpieczeństwie, na jakie się narażają i napomnienie, aby wznieśli myśl do Boga, gdy się na nie narażać mają. U stóp téj skały, wzdłuż wody, jest tama z kamienia, za rozkazem Cesarzowéj Marji Teressy wybudowana, która przez większe ścieśnienie koryta, żeglugę mniéj niebezpieczną czyni. Okrążywszy w największym pędzie tę skałę, spostrzegamy w przelocie statku, na przeciwnym brzegu, na drugim zakręcie, jeszcze piękniejszą skałę ze starożytną ruiną, na któréj wierzchu, jakby umyślnie ku wię-

kszéj ozdobie tego miejsca, rośnie świerk i wysoki jałowiec, a u stóp czworobocznéj wieży leżą skały malownego kształtu, o które się spieniona woda rozbija.

Ledwo że się przebyło ten odmęt, widzi się przed sobą na prawo, wśród wody, inną jeszcze skałę, na niéj wieżę i znaczniejsze od poprzednich zwaliska; a na kamieniu prostopadle do nurtów stojącym, krzyż i posąg ś. Jana Nepomucena. Jestto miejsce zawołanego wiru *(der Wirbel)*. Woda pędząca z odmętu, ledwo ostaje odległego, natrafia tu na wielką głębią, warcząc pędzi ku niéj, bije straszne kręgi, otwiera się w kształcie leja, tak, iżbyś miemał, że obaczysz dno Dunaju w tym otworze, który, podobnie jak paszczęka drapieżnego zwierza, na to się otwiéra, aby cię pochłonąć. Mija sternik ten wir niebezpieczny; a gdy przebędzie te dwie trudne przeprawy, obchodzi wszystkich podróżnych, i żąda małéj nagrody za szczęśliwe przeprowadzenie statku. Zwyczaj miejscowy każe prócz tego poświęcić małą kwotę dla ubogich, po przebyciu tych niebezpie-

czeństw, i łódka przypływa od brzegu do podróżnego statku, z kwestarką, która tę daninę strachu pobiera. Cały ten nader zajmujący epizod podróży, w milczeniu przestrachu, wśród samego łoskotu wzburzonych wałów odbyty, mógłby się równie poetycznie kończyć, jak się zaczyna, gdyby, zamiast staréj i brzydkiéj niewiasty, młoda, w białe szaty przybrana kwestarka od brzegu ku ocalonemu statkowi nadpływała, i anielskiém okazaniem się swojém, spokojność dopiero-co strwożonym umysłom wracała.

Póty było dobrze w podróży mojéj, póki służyła pogoda; ale gdy słota zmusiła schronić się do ciasnéj kajuty, i przez maleńkie okienko szukać powietrza i widoku; gdy deszczem zamglonéj okolicy, w tym tak ograniczonym zakresie widzieć niemożna było; znikły wszystkie przyjemności, dla których podjąłem tak niewygodną żeglugę, a zostało samo uprzykrzenie zle dobranego towarzystwa. Uszy zatkałem bawełną, aby toczącéj się rozmowy niesłyszéć; twarz osadziłem w ramki okienka, aby świeższe chwytać powietrze, i tym sposobem myślącą czę-

ścią ciała mego od sąsiadów odosobniony, patrzałem, to na wieże po skałach nadbrzeżnych rozstawione, to na wodospad migający się między świerkami, to na wioski zdaleka mijane.

Już tylko dzień jeden żeglugi do osiągnienia celu podróży pozostawał, byłto siódmy od czasu odbicia statku naszego od Ratysbony; a jednak niebyłem jeszcze zniecierpliwiony, ani zniechęcony: wielki dowód, jak dalece ciche obcowanie duszy z pięknościami przyrodzenia, ubiegające chwile zająć i o doznawanych uprzykrzeniach zapomnieć dozwala. Niemało także przyczyniła się do wytrwałości mojéj, szybkość, z jaką się od Lincu żegluga odbywa; pięć dni strawiono na wolnéj podróży od Ratysbony do tego miasta, gdzie w przestrzeni mil trzydziestu kilku, i rzeka, i ludzie, tyle jéj przeszkód stawiają. Półtora dnia tylko potrzeba, aby od Lincu do Wiednia, mil 24, szybkim przelotem statku przebydź. Lecz za to, w końcu podróży zmienia się cała nadbrzeżna okolica; znikają góry i skały; samemi równinami i szerszém korytem Du-

naju dopływa się aż pod same mury Wiednia. W szybkim biegu zajmują nas jeszcze historyczne pomniki. Rozstając się poniekąd ze skalistą okolicą, przed miasteczkiem Stein, uderzają nas zwaliska warownego niegdy zamku na wysokiéj górze, pamiętnego z czasów krzyżowych: tu bowiem odsiedział gorzkie godziny bohatér tych czasów, Król Angielski, Ryszard Lwie-Serce; pod jedną z tych dziś upadłych wież, przerywał wierny Blondel nocną ciszę pieśnią swoją, aby uwięzionego pana swego ostrzedz, że wdzięczność i przyjaźń zdołała odkryć więzienie jego.... Jakaś poetycka atmosfera zdaje się otaczać te zwaliska, które siedm przeszło wieków przetrwały; a gdy xiężyc rzuca promień w te rozpadłe mury, szukamy wśród nich tego okna wieży, w którém się Ryszard przyjacielowi okazał, i w ułudzeniu wspomnieniem ocuconéj wyobraźni, słuchamy, czy odgłos pieśni Blondela nocnéj ciszy nieprzerwie.

Daléj w końcu podróży, kiedy już widać wieże stolicy, podpływamy pod brzegi góry, która niema nic malownego, i od na-

gich wierzchołków nazwisko swoje wywodzić się zdaje.... Lecz jakże ważne wspomnienie historyczne więzi oko w tém miejscu... blisko już półtora wieku temu, jak na téj górze stały zastępy, które Europę i Chrześcijaństwo od bisurmańskiéj przemocy zasłoniły.

K. Kr. S......



MOGIŁA.

Noc głucha—tu na ustroni,
Tylko puszczyk żałobny smętną zmącił ciszę;
Tylko strumień i mruczy i w kamyki dzwoni,
Tylko liść na jesionie zwiędły zakołysze.
Na niebie chmury—a śród chmur przyświeca
Gdzie niegdzie gwiazdka, co niebo osiada;
W obłoku księżyc—ale twarz księżyca,
Tak jak twarz umarłego, smutna, niema, blada.

Jaka tam cisza dokoła!
Smętno na rolach—śpią sioła—
I tylko oddech wieczoru,
Smutno powieje,
Na modrzew suchy—
Tylko gajowy gdzieś z boru,
Dumkę rozleje,
Na obszar głuchy.

Tam! cóżto bieli przy lampie księżyca?
Jakoby duchy chodziły;
Stoi krzyż pochylony--za krzyżem dzwonnica:
To nie duchy—to mogiły!

O groby! o posępny umarłych przybytku!
Czemu tak smutne wydajecie echo?
Czy mi każecie wzdychać za życia uciechą,
Marzyć o ludziach, o blasku, o zbytku?
Zwodzić się trucizną w kwiecie,
Tam biedz, gdzie chwała mnie czeka—
Sceno wielkości, o świecie!
Gdzież twoja siła?
Gdzie tryumf dumy człowieka
Gdzie godło chwały!
Pytasz świata całego? a tobie świat cały,
Jak wielka katakumba smutne echo zbudził,
I zamilkł—wątłą złudzeń iskierkę ostudził,
I tylko wydał jęk cichy.....mogiła!

Rozwija się wieku wstęga—
Nadzieją rannych lat odzian,
Powstaje młodzian,—
W maju życia, w uczuć wdzięku,
Albo na polu sławy, albo z lutnią w ręku,
Po laury sięga—
Sława kochanka jego, młode serce budzi,
Zuchwale śmiałkiem kieruje;

Lecz niedługo młodość świeci,
Z młodością złotą złoty wiek uleci;
Już i rajski ptak sławy myślom nie króluje,
Bo już dalej znikome mamidło nie złudzi.

Gdy młodzieńcowi ranne rozśmiały się chwile,
Chciał bydź zwycięzcą na widowniach fali —
Wtém go nagle do portu porywają wody;
Wybiegł na ląd żeglarz młody,
I odpoczął na mogile —
I już nie pojechał daléj.

Szczęśliwości! i kędyż szukać cię potrzeba:
Czy na dalekie ziemie, pod dalekie nieba,
Smiałym polotem,
Majtek przez morza po ciebie przychodzi —
Czy ze krwi potokami i bojów łoskotem,
Jęcząc w smutnym pocisku ryczącego śpiża,
Kładziesz zwycięzki laur na skronie żołnirza—
Czyli w wyższych eterach twoja gwiazda wscho-
Tak pięknie, tak wspaniale, ale tak wysoko, (dzi,
Że jéj nigdy niedojrzy nasze ludzkie oko?

O! nie wierzcie przyjaciele,
W duszy czystej, w sercu tkliwém,
Jest dla nas szczęście w podziele,—
Można być z wami szczęśliwym,
O wierzcie mi przyjaciele!

O wierz mi dziewico moja!
Czarowna kochania sztuka;
Kogo przyciśnie dłoń twoja,
Ten więcej szczęścia nie szuka;
O! wierz mi dziewico moja.

Gdy szczęściu trzeba niewiele,
Nie szuka tęczy promyków;
Po co nam ścigać te cele,
Co senna mara przyswoja;
Na co nam chwały pomników?
O! powiedzcie przyjaciele,
Powiedz mi kochanko moja!

Próżność, co na odmętach ujęła za wiosło,
Jeszcze nam wiedzie na grób pogrzebowe tłumy.
A tu! wystrzela pomnik piramidą wzniosłą,
Jak umarły sztandar dumy.
Nie!.. precz mi z tą pochodnią... gdzie te święte
Poco ten posąg? poco te kamienie? (cienie—
Niech dumie stawią marmury,
A na nich złote zapiszą imiona;
Ja niechcę złotéj cyfry! nie dla mnie marmury!
Jest w mojej stronie—dzika, opuszczona,
Jest łąka—szumi gaik u stóp krasnéj góry—
Tam! te brzozy, te świerki—ach tam płyną wody,
Z któremi rano żyłem, ukochałem młody,

Ach, tam ten wietrzyk wieje—tam wąwóz mój
(miły,
Ktorym biegłem samotny gdzie fala kryniczna—
Ach tam! niechaj płacząca brzoza, fantastyczna,
Rosploty zwisłych warkoczy,
Nad moim grobem rostoczy.
Téj chcę mogiły!
Tam kwiat polny rozmruży swój majowy rąbek;
Tam tylko dla mnie, co dzionek,
Ranny zadzwoni skowronek,
Dziki zaturka gołąbek.
Tylko przyjaciel młody, rówiennik tych latek,
Co nas ze wschodem życia razem odleciały;
Przyjdzie czasem—na grobie zapłacze mi stały,
I skromny rzuci nań kwiatek—
Ach! i ty jedna, może... ależ ty, aniele!
Mówisz, że do wieczora ma być jeszcze wiele.

Alexander N. Uburski.



(z A. Puszkina.)

Gdy twe młodociane lata
Szumna szarpała *niesława*,
I gdyś ty, z wyroku świata,
Do czci, utracała prawa!

Jeden ja, tłuszczą otoczony chłodną,
Tkliwym w niedoli udziałem,
Jeden za ciebie modlitwą bezpłodną
Głuche to bóstwo błagałem.

Lecz świat, uporny w srogości,
Trwa za sądami swojémi:
On nie potępia słabości;
Lecz chce by były skrytemi.

On zasługuje na równą pogardę,
Bądź kogo pomście obłudnéj poświęci,
Bądź komu świadczy pieszczoty swe harde:
Naucz więc serce twoje — niepamięci;

Nie pój się jadem z goryczy puharu;
Opuść świat, jego szalone zabawy;
Uchodź gron szumnych i blasku i skwaru:
Jeden pozostał ci przyjaciel prawy.

DODATEK.

Tą smutną piosnką cieszyć chciałem ciebie,
Kiedyś, wracając na rodziny łono,
Zabłysła znowu na północném niebie
Przykładem matek i cnotliwą żoną.

I cóż? twe czoło tak wypogodzone.....,
Ni go na chwilę błędny obłok schmurzy;
Ni rosa oczu, ni fale wzruszone
Twych piersi świadczą o minionéj burzy.

A to spójrzenie!.... Ach, przeszłości całéj
W twojém spójrzeniu czytam tajemnicę:
Tak, tyś niewinna!.. Boże wiecznéj chwały!
Błogosław nową świata męczennicę.

Niewinnaś! runę czołem pod twe stopy,
Błagam cię, odpuść światu jego winy;
By za twą krzywdę, powtórne potopy
Za zbrodnię ojców nie spadły na syny.

Lecz i łagodną nie karcisz wymówką!
Jędz, które na cię żądłami świstały?
Witasz je, pieścisz, i każde im słówko
Na twojch ustach złoci uśmiech stały!

Jakże twe serce pojąć i tłómaczyć?
O niewinności władzo niepojęta!
Człek mógłby wzgardzić, bohatér przeba-
Anioł zaś, anioł — tylko niepamięta. (czyć;

Próżno zraniona sztyletem *Niesławy*
Ofiarą złości światowéj się stałaś:
Zmuszona rzucić i blask i zabawy,
Zamknęłaś się w swéj duszy — i raj odzyska-
(łaś!

J. G. D. Z.

ZEGARY.

Powieść.

Pewien Jegomość miał zegarek złoty,
Perłami wysadzany, przecudnéj roboty;
Lecz niedawno go dostał, nieznał jego cnoty;
Chciałby się więc dowiedzieć. Na miasto wychodzi.
Otóż i zegar w oknie. Czy mię wzrok zawodzi?
U mnie dopiero druga, a tu wpół do trzeciéj,
Eh nie, to bydź niemoże, jak szalony leci,
Tak mówił, i szedł daléj. Patrzy... drugiéj niema.
Nie, rzecze, i ten próby z moim nie wytrzyma;
Bo druga już bydź musi.—Cóż znowu za żarty?
Na pobliskim zegarze, widzi wpół do czwartéj.
Nie wierzy, idzie daléj. Źle idą zegary:
Ten się spóźnia bo nowy, ten spieszy bo stary.

Aż niespodzianie w uboczy,
Znowu w oknie zegar zoczy;
Ten go dopiero z błędu wyprowadza.
Otóż to jest najlepszy, bo się z moim zgadza.

Mówiąc szczérze między nami,
Czy tak nie sądzimy sami?
Kto grzeczny, światły i w cnoty ozdobny?
Ten — co do nas podobny.

Stanisław z Dzikowa.



TOPIELEC.

(Z RYCINĄ)

W zwyczajném pożyciu, młode małżeństwa kojarzą się najpospoliciéj bez żadnéj przeszkody, za zgodą, i kochanków i rodziców. W powieściach, drammatach i obrazach, trzeba zawsze przeszkód, z różnicy stanu i majątku, z braku zezwolenia ojców, matek, stryjów, ciotek, opiekunów i opiekunek lub innych tym podobnych przyczyn pochodzących, a usunięcie tych przeszkód, stanowi osnowę mniéj więcéj poetycznego opisu, lub obrazu.—I tu widzimy piękną dziewczynkę na pół omdlałą, opartą o drzwi, za któremi kryje się jakaś postać wysoka, pokryta białém przeście-



Painted by F. P. STEPHANOFF. TOPIELEC. Engraved by EDWD. PORTBURY.

radłem, którego koniec niezdążył wymknąć się za drzwi, i przez zdradzieckiego pieska, na wielkie utrapienie dziewczyny, jest przytrzymany. A tu ojciec z latarką, matka ze świecą, poglądają przerażeni, za białém widmem, które przed nimi uciekło, i na zapłonione lica córki, które więcéj wstyd i pomięszanie, jak strach wydają; i drzący parobek, z nienabitym karabinem za nimi, woli patrzéć na pułap, gdzie stracha niemasz, jak na drzwi, któremi się duch wymknął: bo i tak ledwo się może utrzymać na nogach, i wolałby cofnąć się do téj służącéj w głębi komnaty, która ze świecą w ręku nieśmie i krokiem naprzód postąpić. Obraz ten przedstawia więc historyą jakiegoś ducha, który niemógł należyć do żadnego nieboszczyka, sądząc po wieczerzy dla niego przygotowanéj, i po świeżym rumieńcu dziewczyny. Ale bo za cóż téż papa i mama niechcieli dać przyzwolenia na związek córki z tym, którego jéj serce obrało? Trzeba było użyć niewinnego, jak zwykle mówią, podstępu. Dnia pewnego przybywa do domu

tego, stara cyganka, mocno osmolona po twarzy, i przepowiada zbyt ciekawym i łatwowiernym rodzicom, że córka ich stanie się ofiarą upiora, a raczéj ducha młodego człowieka, który przed rokiem utonął w rzece pod wsią płynącéj. Wkrótce potém zjawia się ten nieszczęśliwy topielec, cowieczór u córki; wszyscy go widzą, jak w białéj szacie przez podwórze przechodzi, drzwi otwiera i do izby się wmyka, i teraz widzieli wyraźnie, jak się ukrył za drzwiami. Przestąpić progu tych drzwi niepodobna: bo topielec stoi za niemi; gdy potém zdołał uciec, omdlała, a raczéj udała omdlenie córka, i zwolna przychodząc do siebie, uwiadomiła rodziców, iż jéj upiór oświadczył, że musi być jego, jeżeli przed trzema tygodniami za mąż nie pójdzie. I tak się stało, bo rodzice, chcąc uwolnić jedyne dziecko od prześladowania topielca, oddali jéj rękę temu, dotąd odrzuconemu kochankowi, który sam był, i topielcem, i cyganką.

Oto jest
KRÓLOWA
FRANCUZKA!

Powieść

zasięgająca czasów pierwszej ćwierci zeszłego wieku.

Przez

Karola Korwella

Pełnia księżyca rozjaśniała noc jesienną, i czarowną rozpościerała barwę na gęstwiny zwierzyńca, przez którego przerwy, dojrzéć się dawały baszty zamkowe i wieże kilku kościołów niewielkiego wprawdzie, ale w powabnéj okolicy leżącego miasta *Wejssenburga*. (*)

Strażnicy tego zwierzyńca, których było niewielu, opuściwszy odleglejsze swe stanowiska, podeszli cichaczem pod zamek, zwabieni rzęsistszem niż kiedykolwiek z okien światłem i huczną muzyką. Pierwszyto raz, od czasu jak zamieszkał tu, ze swoją

(*) *Wejssenburg*, dawniéj do rzeszy niemieckiéj, lecz w czasie, o którym tu mowa, już do Francyi należące miasto w Alzacyi-dolnéj, a dzisiejszym departamencie Niższego-Renu (*du bas Rhin*) nad rzeką *Lauter* położone, liczy teraz do półsiodma tysiąca mieszkańców.

familiją, Stanisław *Leszczyński*, siedlisko to, spokojności filozoficznej upadłego króla poświęcone, szumną rozlegało się wesołością. Swietna jakaś uroczystość, przerywała teraz zwyczajną tego ustronia ciszę. Dojmujący chłodem wieczór październikowy, skupił zgromadzonych gości do sal zamkowych; a zwierzyniec, znacznie już z zieloności obnażony, był pusty, i jak się wyżej namieniło, zwykłej swej pozbawiony straży.

W tej właśnie porze, dwaj jacyś ludzie gramolili się przez palisadę zwierzyńca, by się doń dostać. Jeden z nich, smagłą urodą więcej pochodzący na młodzieńca, pierwszym skokiem dostawszy się wewnątrz ogrodu, silił się, ile mu płaszcz szeroki i maska dozwalały, dopomódz zleść z palisady drugiemu, który był niższym i otylszym. —»Biedny, pękaty mój Gabryelu« ozwał się ze śmiechem, przy tej pracy, młodzian: »widać, żeś do przygód miłosnych nienawykły. Po ziemi, jeszcze ci jako-tako chodzić; ale przez lada zagrodę, i do raju nawet przeleść-byś nie mógł.«

—»Ależ w takiéj dobie!« rzecze staruszkowaty sługa, z obawą na wierzchu palisady siedzący: »chodzić a skakać nie jedno! Oj, podobno przyjdzie innéj szukać służby: bo za młodym, rozkochanym panem biegać, nie starczą już nogi!«

—»Czekaj!« zawoła młodzieniec, »pomogęć tak, jakoś mię dziecięciem na swém nosił ręku. Tylko śmiało, rzuć się na mnie, a zdołam cię utrzymać.«

Stary wahał się; ale młodzian, schwyciwszy go za nogi, podniósł, i zwolna zsadził z palisady na ziemię.

—»Otóż teraz« mówił daléj, »jesteś na równinie! Idź za mną, ale ani słówka! bośmy w kniei, na tropie zwierzyny!«

—»Co u licha!« odezwał się służący.....

—»Cyt! tropimy jelenia!«

—»Czyż o północy, po księżycu, i w takie zimno!«

—»Oszalałeś, czy co! Noc ciepła, kochankom sprzyja!«

—»Ależ pan swojéj kochanki nie szukasz tu, po nocy.«

—»Milcz, mówię ci. Jéj szukam, lub kogo

innego! schowaj się w krzaki: któś nadchodzi!«

Gabryel wszelako nie mógł milczéć. — »Dla Boga! musisz pan tu, na upiora, lub rywala czatować.«

—»Może i to« szepnął młodzieniec.—»Chcę wiedziéć, cotoza upiór od trzech dni w tym gaju się zjawia, i spać mi niedaje. Czyś uważał Gabryelu, jakto ona z sali wychodzi, a ja wtenczas, naszém okienkiem od ogrodu wyjrzawszy, widzę przy blasku księżyca snującą się tu postać czarną, mężczyzny. Na honor, trzeba się dowiedzieć co to jest? Cyt! kogoś słyszę!«

—»I, to wiatr liści miece!« odrzekł służący.

Wszakże byłoto co innego.—»Stój! ktoś ty!« zawoła młodzieniec, nieodpowiedziawszy nic słudze, wyskakując z zasadzki, do przemykającéj się pod szpalerami, czarnéj postaci.

—»A któżeś ty!« zarzuci silnym głosem nadchodzący, błysnąwszy w ręku szablą: »Ktoś ty, śmiałku, co mię pytasz?«

Zmięszała ta odpowiedź młodzieńca. Ale

i jego pałasz błysnął, i zdawało się, że chce słowa uczynkiem poprzéć.

—»Kto jesteś i czego tu szukasz?« rzecze ten ostatni.

—»Aleś ty kto? i czemu się pytasz?« była odpowiedź.

—»Prawy człowiek mówi jak się zowie, gdy go oto pytają« powiedział młodzieniec:

—»Więc słuchaj! Jestem *Espinois*.«

—»Hrabia *Espinois*?« powtórzył młodzieniec zadziwiony.

—»Nieinaczéj. A któż jest pytający?«

—»Pułkownik *Estrées*. Hasło!« dodał.

—»Marya!« krzyknął Espinois.

—»Na śmierć!« odpowiedział pułkownik, i wnet się skrzyżowały pałasze; ale oba przeciwnicy dobrze niemi władać umieli, a noc była jak dzień widna.

—»Marya Opalińska!« wykrzyknął jeszcze Espinois, i uderzył na Estréego.

—»Dość, dość!« zawołał Estrées.—«To co innego, hrabio! zgoda! Masz oto broń i rękę moję, a razem daję słowo, że będę twym orędownikiem przed Maryą Opalińską.«

Zdziwiony hrabia uściskał podaną rękę, a tymczasem Gabryel, ochłonąwszy z przestrachu, wyszedł z ukrycia.

—»Ale kogożto szukasz tu, pułkowniku?» zapytał hrabia po chwili.

—»Także Maryi« odpowiedział Estrées— »tylko nie Opalińskiéj; więcéj, daruj, że nie powiem! Dość na tém, że roszczę sobie nadzieję, iż będę z tobą w pokrewieństwie.«

—»Co znowu? miałżebyś myśléć o Maryi Leszczyńskiéj? córce byłego, jak to go zowią, Króla?«

Estrées z uśmiéchem na to: »Czyż ona nie jest aniołem? Czyż nie jest dziewicą? A ja, czylim jeszcze nie młody, i czyż nie jestem Estrées? Co! Leszczyńskiego córka! kocham ją tak, jak ty, hrabio, kochasz twoję. Bądźże mi przyjacielem: i skorom ci swoje polecił słuźby, nieodmawiaj mi pomocy!«

—»Zagorzalec z ciebie, jak widzę! Marzysz o księżniczce!«

—»Co mi tam do księżniczki. Marya jest córką Leszczyńskiego, który oddawna o

tronie zapomniał. Wreszcie, jestto filozof, a Marya,— to anioł dobroci i wdzięków! Więcéj ci nie powiém. Chcesz bydź, hrabio, moim przyjacielem?«

—»Oto daję ci rękę! Cokolwiekbądź, możesz na mnie polegać.«

Rozhukany młodzieniec rzucił się w objęcia starszego, nowo-nabytego i rozważniejszego przyjaciela.

—»Twa przyjaźń, hrabio, szczęście dla mnie rokuje!«

—»Dobrze, dobrze,« odrzekł Espinois.— »Staraj się tylko podbić tak serce Maryi Leszczyńskiéj, jakeś sobie moję przyjaźń zjednał.« Po tych słowach, uścisnąwszy się na wzajem, odeszli, a Gabryel podniósłszy z ziemi nieskrwawione pałasze, udał się za pojednanymi opodal.

Niewiadomo, co za tajemnice Estrées nowemu swojemu przyjacielowi powierzył; musiały bydź jednak wielkie, gdyż ledwo po dwugodzinnéj przechadzce, ujrzano ich obu znowu w pałających od mnogiego światła salach zamku, zawsze jeszcze pod ramiona się wzajem trzymających.

Pomimo szczupłego grona osób, które składały dwór Leszczyńskiego, przybycie wielu gości tak napełniło wszystkie komnaty, że nieobecności przez ten czas pułkownika Cezara d'Estrées, nikt więcéj podobno niedostrzegł, oprócz jednéj osoby, która po wyjściu na chwilę, znowu się w głównéj sali zjawiła. Jakkolwiek baczne, nadzwyczaj atoli smętne były téj osoby oczy. Strapienie jakieś, serdeczne strapienie, wyraźnie z nich widać było. Cóż tego za przyczyna?

Ów tak rzadki festyn, poświęcoony był niejakiemu księciu Salm, panu dostojeństw i zasług pełnemu, który od kilku dni w domu Leszczyńskich goszcząc, dał pochóp do różnych o swych odwiedzinach pogłosek. Najwięcéj wszakże zdań było za tém, że zamiarem księcia, jest połączenie się węzłem małżeńskim z piękną szesnastoletnią Maryą Leszczyńską. Nietajném to było matce jéj, Katarzynie z Opalińskich; owszem, nawet służebne jéj panny wiedziały, że zamysłom księcia sprzyja, i do skutku je przywieść wzięła na siebie. Sam

zaś ojciec, zwykle niepodejrzliwy i więcéj rozważaniem swego losu zaprzątniony, zgoła się jeszcze dotąd o dziewosłębstwie tém niedomyślał, ale wieść chodziła, że po téj uroczystości, miała mu to odkryć dostojna jego małżonka, pragnąc, ze zgodzeniem się córki, o któréj posłuszeństwie nie było wątpliwości, razem i ojcowskiém błogosławieństwem, wybranego na zięcia uszczęśliwić.

Ale serce Maryi było już zaślubione. Wprawdzie, aż do tego wieczora niewiedziała ona o tém; a jéj młodociana dusza, ledwo zgadywała: coto jest miłość. Z niewinném upodobaniem, widywała Marya w domowém towarzystwie, młodego, udatnego, pełnego wiadomości i dowcipu, pułkownika Estrées. Jego wymownym opowiadaniom rada się była przysłuchiwać; nieraz wszystkich zachwycał śpiéw najwdzięczniejszy, gdy miły swój głos z jego głosem łączyła. Uważano nawet, że najchętniéj do Estréego zwracała mowę; że się najwięcéj jego o Paryżu i dworze Regenta Francyi wypytywała: Estrées bowiem

niedawnoco był opuścił stolicę, dla objęcia dowództwa regimentu dragonów w Metz; słowem, z małéj owéj liczby obcych, którzy do zamku Wejssenburgskiego wstęp mieli, nikogo, zdaje się, nie witała milej, nad tego młodego pułkownika, lubo wprawdzie ku wszystkim z niewymowną była uprzejmością. Tyle właśnie jéj matka, tyle dworzanie i panny pokojowe, a nawet sam jéj ojciec dostrzegał; lecz więcéj nie wiedział nikt, może i Marya sama — ów, świéżo rozwity niewinny pączek róży—chyba tylko jéj powiernica i kuzynka, Marya Opalińska, niemniéj piękna i niewinna, jak ona, ale dwoma lub trzema laty od niéj starsza, *więcéj* się może domyślała: bo się o tém: *więcéj*, z własnego doświadczenia dowiedziała. Hoża ta Maryi Leszczyńskiéj siostra, poznawszy Hrabiego Espinois, także oficera załogi w Metz, pokochała go. Widywali się oni z sobą w Wejssenburgu, Nancy, Lunevillu i w Metz, publicznie, a ze dwa razy kryjomo, w owym parku, gdzie Estrées i Espinois ścisłe z sobą zawarli przymierze. Tajemnica jedné

Maryi, nie była dla drugiéj skrytością.— Obie te Marye, były najmilszemi dziewicami, jakie tylko sobie wystawić można; z tém wszystkiém, w wyrazie swych wdzięków wielce się różniły. Marya Opalińska, brunetka, wysmukła, dziwnie wesołego temperamentu, istna bogini niewinnéj wesołości w domowém towarzystwie, w niczém prawie nie była podobną do swéj krewnéj księżniczki, która, i pełniejszego ciała, i blondynka, w jasno-niebieskiém oku, nosiła cechę prawdziwéj północnych krain piękności. Pomimo takiego braku podobieństwa zewnętrznego, obie te dziewice, przy powinowactwie imion i rodu, jeszcze bardziéj w duszach swych były spowinowacone, tak, że Marya Leszczyńska żywo się cieszyła szczęściem Maryi Opalińskiéj, któremu, przez wzgląd na urodzenie i zasługi hrabiego d'Espinois, nic nie zdawało się stać na zawadzie. Ale inaczéj się rzecz miała z samą Maryą Leszczyńską. Znajdowała się ona w takim przypadku, w którym potrzeba gwałt zadać swemu sercu; wymagała tego po niéj, lub przy.

najmniéj zdawała się wymagać konieczność, któréj żaden człowiek uniknąć nie jest w stanie. Pułkownik Estrées, był bez wątpienia godnym szacunku i miłowania młodzieńcem; pochodził z zacnéj familij, która Francyi nie jednego dostarczyła wodza; ale do ubiegania się o rękę Maryj, ledwoby mu dostojność książęca lub parowska dawać mogła jakiekolwiek prawo. Regent państwa opiekował się wprawdzie wywołaną z kraju swego familiją Leszczyńskiego, ale coby chciał dla Estréego uczynić, i jak dalece jego nadzieje ziścić, było niepewném.

W takich okolicznościach, czegoż się mogła spodziéwać biédna, mimo swéj wiedzy rozkochana Marya? — Niewiele! — Los ją niejako na cierpienia był skazał. Od przyjścia na świat, igrzyskiem była najcięższych przygód, chociaż się urodziła na tronie. Gdy ojciec jéj pierzchnąć musiał z Warszawy, wszyscy spieszą do obozu, — a o dziecięciu, Maryi, zapominają. Ledwo późniéj znaleziono w stajni, śpiące, lube to niemowlę. — Nikt niewiedział czyja ręka zbawcza tam je złożyła. — We dwa

lata później, podobne nieszczęście księżniczce zagraża. — Stanisław Leszczyński był w obozie; małżonka jego z córką, w Poznaniu, sądziła się bydź bezpieczną. — Gdy wtém niespodzianie miasto zostaje opasaném i zdobytém, — królowa ratuje się ucieczką, a Marya znowu się w moc przeciwnéj strony dostaje. Ale teraz wiadomo, kto jest jéj wybawcą.—Hrabia Espinois, ojciec wyżéj wzmiankowanego, poseł francuzki, ratuje opuszczone dziecię.— Wśród ciemnéj nocy, skrycie spuszcza się koszyk z okien zamku. — Koszyk ten kryje w sobie Maryą.—Uboga wieśniaczka bierze ją w swą opiekę. Stara dziéża od chleba, przez tydzień jest schronieniem dziecięcia; czuwa nad niém zbawczyni, pielęgnuje i w ręce dworzan królewskich oddaje, gdy niebezpieczeństwo przeminęło. Nikt niewiedział o tym skarbie, co się w owéj chacie ukrywał, tylko zgrzybiała gospodyni babka, która w całéj okolicy, za mądrą niewiastę, za czarodziejkę uchodziła. — Kiedy dworzanie zabrać Maryą przyszli, miała ona wyrzéc, zwykłym so-

bie tonem proroczym, wziąwszy dziécię to dostojne na ręce, następne słowa:

»Czy słyszycie!
Dla téj oto dzieciny —
Wysokie hołdy, na całe życie,
Są zgotowane u obcéj krainy!«

Poczém złożyła dziecię na ręku kasztelana Sandomiérskiego, który po nie z dworzanami Leszczyńskiego przybył, — i dodała, gdy orszak z Maryą opuścił chatę:

»Będzie księcia narzeczoną;
Nareszcie królewską żoną.
Cnot jéj i zasług u świata,
W niebiesiech będzie zapłata.«

Pośród ciągłych zaburzeń krajowych, wzrastała Marya. — Zwała się księżniczką, a była tułaczką. — Los jéj ojca rozstrzygła bitwa pod Pułtawą. Matka jéj z całym dworem schroniła się do księstwa *Dwóch-Mostów;* gdy tymczasem, ojciec został jeńcem w Benderze. — W lat sześć dopiéro córka go ujrzała. — Francya dała mu przytułek w Wejssenburgu.

Mimo takich zmian losu, Marya wychowała się aniołem dobroci i skromności.

Mężną była jéj dusza, dojrzały rozum, tkliwe serce: poznanie bowiem nieszczęścia i nieupadanie pod niém, krzepi duszę, dodaje rozsądku i usposabia serce do litości. Patrzała na cierpiącą swą matkę, i zahartowała się jéj pocieszaniem; wyćwiczyła swój umysł do zapobiegania wcześnie grożącemu nieszczęściu; stała się dobrotliwą: bo widok niedoli ciągle miała przed oczyma. Wdzięki jéj, były pociechą matki; dobroć i uprzejmość, rozkoszą całego domu; a umysł i serce najdroższym skarbem Maryi Opalińskiéj. Ta jéj krewna i towarzyszka, była jéj przyjaciółką, w takiém znaczeniu wyrazu, że bez niéj żyć zdawało się dla Maryi Leszczyńskiéj niepodobieństwem. Jakoż, przed nią wyjawiała swe dolegliwości, i w jéj serce swoje zlewała pociechy. Była tamta wprawdzie, jak się już rzekło, z natury wesoła, i tak mówiąc, pierwiéj róże niż kolce dostrzegała; gdy ta, ufająca, ale do melancholii skłonna, prędzéj czuła niedostateczność szczęścia ludzkiego, aniżeli jego upojenie; sprzeczność ta jednak w dwóch szlachetnych duszach,

18

tym ściśléj zdawała się zawiązywać między niemi spójność, i jak się zewnętrzne tych Maryj wdzięki nawzajem równoważyły, tak też wzajem wspomagały się ich dusze i skłonności.

Zjawienie się Estréego, było dla Maryi Leszczyńskiéj, piérwszą, po długich utrapieniach pociechą. Cóż więc dziwnego, że jéj młoda i pełna szczérości dusza, jakąś wyższą w nim widziała istotę? Że zaś go kochała, to żartobliwie nieraz utrzymywała jéj kuzynka, ale Marya sama wierzyć sobie nie chciała. Widząc się ona dzisiaj z Estréem, łzy miała w oczach: bo też dzień ten był istnym zwrotnikiem jéj tajemnego szczęścia. Wychodziła wprawdzie z sali, ale to tylko na skinienie matki; i kiedy Estrées także się wymknął, aby urojonego spotkać rywala, Marya przerażające oświadczenie matki usłyszała. Myśl księcia Salm o jéj ręce, tak już była dalece doźrzała, że nareszcie musiała Marya o tém się dowiedziéć od matki, wyszedłszy za nią do jéj pokojów. Zadrżała, nie dając odpowiedzi, w téj właśnie chwili, kiedy

Estrées i Espinois bronią się mierzyli. Milczeniem tém bynajmniéj nie zdziwiła się królowa, ani też rozgniewała się na córkę, któréj szczęście droższém matce było, niż jéj własne. Dała tylko przestrogę córce, aby odtąd nie unikała księcia, jak dotychczas miała zwyczaj, i aby jego oświadczeniom przychylne skłaniała ucho. Wreszcie zostawiła jéj do namysłu trzy dni, to jest, do niedzieli po mszy: a wychwalając przytém zalety i wziętość powszechną księcia i wyliczając jego spowinowacenia z wielą domami królewskiemi, zakończyła zagadnieniem: iż może się jéj on niepodoba.

Bolało to wielce Maryą, że z przekonaniem, *tak jest!* powiedzieć nie może. Bo też prawdę mówiąc, książę był pięknym mężczyzną, chociaż u kresu wieku młodego mężczyzny. Wymówiła się więc tylko tém przed matką, że go jeszcze dobrze nie poznała, i że, jeśli oto idzie, odtąd przysłucha się mu i przypatrzy, jako starającemu się o jéj rękę.

Poczém rzuciła się z płaczem w objęcie

matki, która jéj łzom inną wcale od istotnéj przypisując pobudkę, pocieszała łkające dziecię, wystawianiem konieczności rozłączenia się z sobą prędzéj lub późniéj. Wypłakawszy się Marya, nieszczęśliwsza teraz niż dotąd, powróciła z matką do sali balowéj.

Wkrótce téż zjawił się znowu Estrées, ze swoim nowym przyjacielem. Marya niewiedziała co się znią dzieje, widząc tryumfujące jego spójrzenia poraz pierwszy. Zdawał się bydź tak uszczęśliwionym, przez samo jéj oglądanie, tak zadowolonym, że z nowém strapieniem przyszło jéj na myśl, iż może odgadł tajemnicę jéj serca. To właśnie było przyczyną, że go ile możności unikać zaczęła, ciągle zostając przy boku matki, póki nareszcie książę, uwiadomiony o tém, co między niemi obiema zaszło, nie zbliżył się do Maryi. Piérwszy raz w życiu, z przymusem obróciła się ku niemu, i z płaczącą duszą słuchała jego przemówienia, które zręcznie do uwag nad szczęściem domowém skierować umiał. Możeby nawet w rozmowie jego znalazła u-

podobanie, gdyby nie postrzegła Estréego, nagle zasmuconego, w drugim końcu sali. Dla tego odpowiadała księciu z roztargnieniem, często zwracając się do matki. Dopóki królowa siedziała, nie ruszała się także i Marya z miejsca; a książę do tańców nie należał. Lecz skoro matka się podniosła, powstała i córka; skłoniwszy się księciu, szukała przy matce obrony — obrony, przeciwko samej sobie.

Tymczasem Marya Opalińska, wsparta w skocznym tańcu na ramieniu hrabiego Espinois, była szczęśliwą i bynajmniéj nieprzeczuwała cierpień swéj kuzynki, któréj nagle cały blask festynu zaćmiła gruba strapienia zasłona. Takto się szybko zmienia postać świata w oczach naszych! Jeszcze przed kilką godzinami i Marya Leszczyńska czuła się bydź szczęśliwą.

Nareszcie zeszły się z sobą. Uściśnieniem ręki, z oczyma łzawemi, zwróconemi do góry, dała poznać księżniczka, drogiéj swéj powiernicy, że jakiś dotknął ją smutek. A z kilku słów: *co* i *jak*, tyle dowiedziała się Marya Opalińska, że gotowa by-

ła wyjść z sali, aby na osobności z księżniczką lepiéj się porozumiéć. Lecz wtém książę Salm się zbliżył, przemówił do Opalińskiéj, i wnet żwawa wszczęła się rozmowa. Z téj chwili korzystając Estrées, podszedł do księżniczki, i rzekł z cicha:

— »Pani! mamże się już wyrzéc nadziei?"

Nie wiedziała Marya, co na to odpowiedziéć. Uczuła wszakże całą uroczystość téj chwili; zdobywszy się więc ile mogła na śmiałość, rzekła:

— »Z niemą nadzieją rozstać się trzeba. — Chcąc ją ożywić, należy jéj głos nadać!«

Łatwo to zrozumiał Estrées. — Wyrazy te, jakimś radości dreszczem go przejęły; zasępione przed chwilą jego oko, znowu się wypogodziło jak zwykle, a przychyliwszy się do ucha Maryi, cicho powiedział:

»O żyje ona wiecznie, jak i moja miłość!«

Poczém oddalił się od drżącej dziewicy i wkrótce ujrzano go rozmawiającego z Leszczyńską.

Rozmowa ta przerwaną została, gdy się Stanisław Leszczyński do nich przybliżył.

Miał on dla każdego z gości coś uprzejmego do powiedzenia: snadność bowiem jego obchodzenia się ze wszystkimi, odpowiadała zupełnie dobrotliwości jego serca.

— »Ej! panie pułkowniku« rzecze do Estréego podając, mu rękę, »zapominasz o nas widzę; wszakto córka moja od trzech dni pozbawioną była swego spół-spiéwaka! Zapewne musiały go zatrzymać obowiązki służby.

— »Tak jest, Najiaśniejszy Panie«! odpowiedział Estrées, »jakkolwiek żywiéj jeszcze poczuwałem się do miłéj powinności...... Księżniczka Marya jest o tém przekonaną!«

— »To więc córka moja więcéj wié odemnie« zarzucił z uśmiéchem Leszczyński.

»Bez wątpienia! — co się tylko mnie tyczy« rzekł śmiało Estrées, chcąc przez to pierwszą domysłu iskierkę w Leszczyńskim wzniecić.

Jakoż, zdziwiło to wielce Stanisława. Popatrzał chwilę na pułkownika badawczym wzrokiem; jego jasne łagodnego spójrzenia oczy z upodobaniem spoczęły na pię-

knem obliczu młodzieńca. — Lecz wnet jakaś myśl nieprzyjemna, widocznie zamąciła tę łagodność: gdyż z uśmiechem prawie ironicznym odezwał się: — »Zuch z Waszmości, mój kochany pułkowniku! chwalę ścisłość w pełnieniu obowiązków służby,! i dla tego miałbym sobie do wyrzucenia, gdybym go chciał od niéj dla spiéwania odrywać. — Wreszcie, córka moja tyle już postąpiła, że z każdym innym spiewakiém się zgodzi, jakkolwiek miłym był nam zawsze Wasz tenor. — «

Pomilczawszy nieco Estrées, śmiele wtrącił:

— »Wszelako pochlebiam sobie, że z moim głosem najlepiéj się zgodzi.« —

Odezwanie się to, sprawiło wyraźnie na Leszczyńskim niemiłe wrażenie: obrócił się bowiem, spójrzawszy na pułkownika z ukosa, ku hrabiemu Espinois, i zapytał go, czy nie miał jakich wiadomości od ojca swego, który teraz ustronne pędził życie w majętnościach swoich w Burgundyi.

Mężne Estréego serce gwałtownie bić zaczęło po téj rozmowie, do któréj niejako

podżegnionym był przez Maryą. — Znowu chciał się zbliżyć do swéj oblubienicy, ale ta z kuzynką wyszła była z sali. — Matka także udała się za niemi; a chociaż Stanisław był jeszcze obecnym, słońce jednak festynu, tak mówiąc, było już zaszło.

Następne trzy dni stały się dla Maryi dniami walki z sobą samą, któréj skutkiem było odgadnienie wielkiéj dotąd tajemnicy: że pułkownika kocha. — Minął już czas ukrywania się; wydała przed sobą i przyjaciołką to, co tak długo w jéj duszy było ukrytém. — Matka nawet, umiejąca czytać w czystéj duszy Maryi, odgadła ją snadnie. — Pewną atoli będąc, że okoliczność ta inny obrót weźmie, wystrzegała się, w ciągu trzydniowego namysłu córki, najmniejszéj wzmianki o przedmiocie jéj nadziei.

Nadeszła wreszcie niedziela. — Zadzwoniono na mszę w kaplicy zamkowéj. — Po bezsennych trzech nocach, twarz Maryi zwykle czerstwém zdrowiem pogodna, przybrała wyraz cierpienia. — Ale w jéj duszy było już niezachwiane postanowienie: bynajmniéj wszakże nie na stronę księcia.

Z kornym i pobożnym duchem poszła do kaplicy, i zasyłała gorące do Przedwiecznego modły, aby ją natchnął słowami odpowiedzi, przeciwnéj oczekiwaniom matki, tak łagodnemi, iżby tkliwe macierzyńskie serce nie było niemi obrażone.

Estrées także dowiedział się o wszystkiém: a co dziwniejsza, dowiedział się od swego Gabryela, który pomimo ociężałości z wieku pochodzącéj, miał jednak jakieś w zamku żywsze związki, co mu wiadomości o staraniu się księcia Salm o rękę Maryi Leszczyńskiéj wnet udzieliły. — Tą zwiastunką była Marcyanna, pokojówka Opalińskiéj.

Wiadomość ta, od sługi powzięta, niezmiernie zdziwiła pana: chociaż przy lada jakiéj przezorności, powinienby ją wziąć za naturalną i konieczną. — Ale miłość nie ma przezorności, i wszystko, co się wbrew jéj zamiarom przytrafia, za nadnaturalne uważa. Czegóż więc miał się jąć Estrées, jeśli nie szukać porady u swego nowego przyjaciela? Ale go ciągle niezastając w domu, i niemogąc nigdzie znaleść spokojności,

śpieszy do zamku Weissenburgskiego. — Katarzyna Leszczyńska przyjęła go wcale zimno; Marya spiéwać nie mogła; a nawet zawsze wesoła jéj kuzynka, ledwo chciała usta otworzyć. Wszelakoż porozumiały się oczy: gdyż Estrées uczuł w sobie wskrzeszoną otuchę od śmiałych spójrzeń Maryi i wyzywających oczu jéj kuzynki.

Z tego powodu spodziewał się jakiegokolwiek tajemnego poselstwa; ale się go nie doczekał. — Jedno tylko słowo, które szepnąć mu znalazła sposobność Marya Opalińska, było: »Odwaga!«

Nie zbywało też na niéj Estréemu; wiedząc o stanowczéj niedzielnéj godzinie, postanowił na wszystko się odważyć, byle tylko szalę losu na swą przechylić stronę. Tego, co przedsięwziął, nikomu się nie zwierzył, a raczéj mówiąc, sam jeszcze nie był zamiaru pewny: bo tylko miał jakąś myśl wdania się, w porze właściwéj, w sprawę Maryi, azatém i swoję, przed jéj rodzicami. O skutkach tak zuchwałego kroku, miłość niedozwoliła zaślepionemu nią młodzieńcowi pomyśléć.

Nadeszła nareszcie z takim frasunkiem oczekiwana godzina. — Marya, obok swéj dostojnéy matki, trzymając się pod rękę drżącéj tak prawie, jak i ona, kuzynki, przeszła z kaplicy do pokojów, gdzie czując się nagle osłabioną, usiąść natychmiast musiała: i na matce także widać było wzruszenie; milczeniem więc rozpoczęła się ta ważna scena.

Łzy stanęły w oczach królowéj, gdy tym czasem jéj synowica, wesołą rozmowę wszcząć usiłowała.

— »Moje' dziecię:« odezwała się do niéj królowa po niejakiém milczeniu »humor twój wcale nie przystoi téj chwili. — Któraż matka rozstaje się z swém dzieckiem ze śmiéchem! A wiész, że mi przychodzi rozstać się z moją Marysią.«

Płacz rzewny głos jéj przerwał. »Nie trwóż się moje dziecię« rzekła daléj, zwracając mowę do Maryi — »wszędzie niebo zsyła błogosławieństwo na dobrych. — Powiedzże mi teraz, co twe serce postanowiło? Co myślisz o zaszczytnéj propozycyi księcia? Pewna jestem, żeś to do-

brze rozważyła; bo moja Marysia nie jest lekkomyślną!«

Księżniczka rzuciła się na wyciągnięte ręce matki. W tém uściśnieniu znalazła otuchę, któréj się mało spodziewała. — »Najdroższa matko!« odezwała się głosem pewnym — »dobrzem rozważyła. Nie mogę się rozstać z wami, dla księcia.«

Tą tak niespodzianą odpowiedzią córki dotknięta Leszczyńska, spójrzała na nię z zadziwieniem, i ledwo tylko wymówić mogła: »Maryo!« Ale ta na to: »Byłoby takie rozstanie bez odwetu wszystko wynagradzającéj miłości! chciałabym, ale nie mogę do tego się skłonić!«

—»Jakto!« zawołała królowa »moje dziecię! Więc nim pogardzasz?— Chcesz zatém.....«

—»Ja nim niepogardzam« rzekła śmiele Marya: »owszem szanuję go, i dlatego mniemam, że się ta rzecz bez trudności załatwi. Niech poprzestanie na moim szacunku i zamiary swe trafniéj gdzieindziéj zwróci, a Marya niech się dłużéj szczęściem zostawania przy takich rodzicach, jakimi ją Bóg litościwy obdarzył, cieszy!«

— »Moje dziecię! Ojciec miał już nadzieję, że zgodzenie się twoje usłyszy.«

— »Ach! to pójdę do mego drogiego ojca» łzami zalana rzekła Marya: »pójdę błagać go, by mię niechciał widzieć nieszczęśliwą. — «

— »Nieszczęśliwą! powtórzyła matka. — Przebóg! nie! jakżebyś nią bydź mogła!« To rzekłszy, powstała żywo z krzesła i pociągnęła za taśmę ściennego dzwonka.

— »Zaraz będzie tu i ojciec« odezwała się łagodnie, ściskając córkę. »Nim nadejdzie, przyznaj mi się kochane dziecię moje! czy oprócz własnego twego zdania, żadne inne do tego postanowienia nie wpływało?«

— »Żadne, prócz mego!« odpowie jakby na nowo ożywiona Marya: »bo miłość moja, do mnie należy!«

Królowa na to, z widoczniejszém jeszcze zdziwieniem: »Więc kochasz kogoś innego?«

— »Tak jest, najdroższa matko! kocham, z całéj méj duszy! Lecz jestem córką waszą! Rozkażcie — a nigdy go widziéć nie będę — z księciem jednak, połączyć się, aby dom rodzicielski opuścić — nigdy!«

— »Moje dziecko!« przerwała jej wzruszona matka: »Jakieś, niestety! obłąkanie cię ogarnęło« i zamilkła.

Wejście Stanisława Leszczyńskiego do pokoju, położyło koniec téj niemej scenie. Marya rzuciła się mu na piersi, i przez ten czas, kiedy matka musiała przykre toczyć opowiadanie całéj téj sprawy, ojciec niespuścił z rąk płaczącej córki. Wysłuchawszy do końca łagodnie, bez najmniejszego znaku zadziwienia, milcząc pomknął Maryą na ręce matki, która z widoczną ciekawością odezwania się męża czekała.

—»Moja córko!« powiedział nareszcie: twój obłąd niedozwala, abyś już kiedykolwiek ujrzała pułkownika Estrées! a że skutkiem takiego twego omamienia, książę cierpieć musi, niech więc tymczasem poprzestanie na naszym żalu. Uspokój się i pomyśl, wyrok twój nie jest nieodzowny. Wejrzyj w próżność swéj skłonności. Nie wyciągam tego po tobie, abyś się dla nas poswięcała — byłbym w tym razie, tak jak ty, nieroztropnym. Masz teraz lat szesnaście; za rok lub dwa, wcale co innego bę-

dzie; wtenczas będziesz myślała, jak i my.«

—»Ach mój ojcze!« wykrzyknęła Marya, i upadła na jego ręce.

—»Moje dziecko!« odezwał się Leszczyński wzruszony. »Jużeśmy się porozumieli. Pułkownika Estreés nie ujrzysz więcéj; sam napiszę do niego o tém najdelikatniéj, jak mnie znasz zapewne. Książę odjedzie; a ty pozostaniesz przy nas, jak byłaś dotąd, najmilszą naszą pociechą.«

W téj chwili drzwi się nagle otworzyły, pomimo służby dworskiéj, znajduiącéj się w przyległych komnatach, i pułkownik Estrées wszedł do pokoju.

—»Przebóg! co widzę!« zawołała Marya, i przytuliła się do kuzynki.

Estrées padł do nóg Leszczyńskiemu; lecz ten, z wyraźnem nieukontowaniem go podnosząc, rzecze:

—»To zawiele, panie pułkowniku! Skąd ci to takie napastowanie mnie w zakącie mojego domu? Wstań, dla Boga! i pamiętaj, żeś ostatni raz mój próg przestąpił!«

—»Miłościwy panie!« odpowie Estrées:

»uważałbym się za najpodlejszego, gdybym był przyczyną zatrucia komu spokojności, nieczując sam téj goryczy. Ukarz mię więc śmiercią! gotowem ją ponieść. Przebaczyłeś tym, którzy, w *Dwu-Mostach*, na twe, panie, godzili życie! ci bowiem lękali się śmierci; ja, umrę z ochotą!«

Stanisław odwrócił się z okiem, łzą zaszłém. »A kiedy tak jest, dziwno mi, że nie wiész, droga Kasiu, jak do tego przyszło? — Więc go kochasz, Marysiu?

Marya, nic nie mówiąc, z płaczem do nóg padła ojcu, i ledwo wyjąkać mogła: »kocham go, bardziéj jak siebie!«

— »To co innego. Jam rozumiał, że to tylko jakaś skłonność, a nie miłość! — Moja wina — moja wina. Za błąd mój niepowinnaś pokutować! Wreszcie niémasz w tém nic straconego. Rzeczy tego świata, należy cenić podług ich prawdziwéj wartości; a cóż jest droższém nad serce! Otóż, mój panie pułkowniku, gniewam się tylko teraz na ciebie za niewczesny napad; z resztą wszystko jest moją winą! Koniec końcem, powiédzże, co mi

dajesz za moje dziecię?« przydał, podnosząc Maryją.

Temi słowy, jak piorunem rażony Estrées, nie znalazł odpowiedzi.—»Widzisz?« mówił daléj Leszczyński z uśmiechem. — »Teraz gdy się do waszych życzeń skłaniam, jesteś w kłopocie.—Owóż tedy, powiém ci otwarcie, kochany Estrées! Szanuję twe serca i umysłu przymioty; ale dla oka świata więcéj jeszcze potrzeba. Należałoby dostąpić godności książęcéj lub parowskiéj: wszak w miłości nic niemasz trudnego. Albo też, gdy jesteś żołnierzem, którego męztwo i rzadkie talenta, rządowi i krajowi są znane, wróć do nas z marszałkowską laską! Jeszcze Marya zamłoda. — Masz jeszcze dwa lub trzy lata czasu!«

Coza zdziwienie, te niespodziane wyrazy sprawiły! Estrées niepamiętał o sobie. Katarzyna zaczęła ściskać córkę; a nawet Marya Opalińska rozpłakała się z radości.

Nareszcie Estrées, uchyłając się znowu do nóg Leszczyńskiému, wyrzekł: »Mam więc słowo Waszéj Królewskiéj Mości!«

— »Tak jest! dałem je, i powtarzam, że

pewnym bydź możesz ręki mojéj córki: zostań tylko marszałkiem, książęciem, lub parem!«

Estrées wyciągnął drżącą rękę do Maryi, i spójrzał na nię z wyrazem zapytania; a gdy ta wnet swoję rękę mu podała, ucałował ją najgoręcéj. Tym czasem przystąpiła do nich królowa.

— »O matko!« zawołała Marya, »Ojcze! — Dzięki wam! dzięki nieskończone! Jestem najszczęśliwszą!«

Milczenie téj zachwycającéj sceny ledwo kilka wyrazów przerwało. Leszczyński przyciskając Estréego do piersi, powiedział tylko: »Bądź szczęśliwy!«

Powtórzyła toż Królowa. —

— »Do Paryża!« zawołał Estrées, żegnając się najczuléj ze wszystkimi. — »Powracaj! Powracaj prędko!« były słowa Leszczyńskiéj, kończące pożegnanie.

Tegoż wieczora, późno, książę Salm wyjechał z zamku Wejssenburgskiego; a że nazajutrz i Estrées pośpieszył do Paryża, znowu przeto w domu Leszczyńskich nastąpiła taż cisza, która, przed zdarzeniem

się wypadków tu opisanych, zawsze panowała.

Przybył nareszcie Estrées do Paryża, dość prędko,—lecz, jak w niecierpliwości swéj sądził, nieprędko — z gotowością wszystkiego się jąć, byle parostwa dostąpić.

Nie były też jego nadzieje bezzasadnemi. Starodawne szlachectwo, zamożność i odwieczne zasługi familii, przychylność wszechwładnego księcia *Bourbon*, w którego ręce, Regent Państwa, sprzykrzywszy sobie długie spółzawodnictwo, losy Francyi złożył; przytém, choć młodociane, znakomite jednak zasługi własne Estréego, i nakoniec życzenia gabinetu, aby Stanisława Leszczyńskiego jakimkolwiek sposobem zobowiązać, nienarażając się na wielkie straty i ofiary: — wszystko to pochlebiało śmiałym, ale i podobnym do osiągnienia nadziejom kochanka.

Udał się więc z prośbą, o dostojeństwo książęce, do Regenta Państwa, stawiąc na to dobra swoje w Langwedocyi, widoki

na przyszłość, i cały swój ruchomy majątek. Przyznał się oraz, że go miłość do tego powoduje: będąc pewnym, że ten, który tyle dla pozornéj poświęcał miłości, uczucia jego zrozumié. Książę Orleanu, nie miał czasu długo tę rzecz roztrząsać, i o co Estrées, jakby o największe dobro ziemskie błagał, to mu z uśmiechem, jak gdyby jaką fraszkę, przyobiecał.

Nieposiadając się młodzieniec z radości, doniósł natychmiast przyjacielowi swemu, Espinois, jak blizkie czeka go szczęście, i jak pewnym jest, cel swojego życia wkrótce osiągnąć. Dowiedziała się o tém od Espinois Marya, i ledwo ukryć mogła słodkie zachwycenie, z powodu tak bliskiego spełnienia swych życzeń. Matka, widząc ją szczęśliwą, i sama była niemniéj.

Ale książę Bourbon, zrazu już źle to uważał, że dotąd wszelkich od niego łask doświadczający Estrées, zamiast doń, udał się teraz wprost do Regenta Państwa. A chociaż nie mógł otwarcie woli książęcia się sprzeciwiać, umyślił jednak, dogadzając swéj próżności, zwléc przynajmniéj E-

streego życzenia, by go niejako za zbyt zuchwałą skwapliwość ukarać. Dla tegoto młody aspirant do wysokich dostojeństw, bardzo oziębłe u księcia Bourbon znalazł przyjęcie, który mu tysiączne wystawiwszy trudności, zakończył obojętném: »*obaczymy!*«

Zasmuciło to Estréego; wierząc atoli obietnicy Regenta, nietracił nadziei. Lecz, gdy tak już myślą jest u celu swych życzeń; gdy marzy o posiadaniu najwyższego szczęścia, jakie na téj ziemi widzi: najstraszliwszy cios go ugadza. Regent umiéra; a z nim, Estréego nadzieje idą do grobu: bo najpotężniejszy człowiek w Państwie był (jak się to już wyraźnie okazywało) życzeniom jego przeciwny. Jakoż, czego się można było spodziewać, stało się. Jedną z pierwszych czynnosci ministeryalnych Bourbona, pod nowym rządem, była zupełnie odmówna Estréemu odpowiedź.

Niepojmował się Estrées z rozpaczy. Najdziwaczniejsze przedsięwzięcia bez namysłu, walczyły w jego duszy; zamierzył wre-

szcie gwałtem dopiąć tego, co mu przez kaprys tylko zostało odmówionem.

Szczęściem dla niego, że w tym czasie zapamiętałości, przyjaciel, ów hrabia Espinois, przybył do Paryża. Rozważniejsze zdanie jego, uchroniło Estréego od zgubnych skutków rozpaczy.

—»Przyjacielu« odezwał się Espinois, wysłuchawszy żale Estréego: »już eś raz doświadczył złych skutków nierozwagi; chceszże jeszcze do reszty nadzieje swe zniszczyć? Usłuchaj mnie! działaj powolniéj w tém, co przedsiębierzesz, a niechybnie celu swego dopniesz.«

—»Gdyby ten cel nie był tak pięknym, mógłbym się umiarkować« odpowiedział Estrées; »ale kto raz był w raju, wiecznie do niego tęskni.«

Tęsknij sobie jak chcesz, ale działaj tak, jak gdybyś był spokojnym. Szaleniec z ciebie! któż widział tak iść na oślep! Czyżeś to nie dostrzegł ścieszki, którąby cię prędzéj do celu przywiodła, aniżeli ów gościniec, na który się wybić usiłujesz? O, tym sposobem nigdy nie wybrniesz z labiryntu!«

— »Mówże wyraźniéj, bo tego nierozumiém!« zawołał niecierpliwy Estreés.

— »Tylko cierpliwości!« rzekł Espinois. »Czyż nie znasz owéj gwiazdy we Francyi, która do portu wszelkiego bezpieczeństwa prowadzi! owego skarbcu wszelkiéj łaski! — margrabiny?«

— »Jakiéj margrabiny?«

— »Czyto podobna?« z zadziwieniem wykrzyknął Espinois. — »Więc nie znasz kochanki, władczyni Bourbona, margrabiny *de Prie*, a chcesz księciem zostać?«

— »Anim słyszał o niéj!« odrzekł Estreés.

— »Bo po niebiosach biegając, zapominasz, że jesteś w Paryżu. Nuż prędzéj, mój junaku! spiesz poprawić to, coś tak popsuł. Ubiéraj się. — Twarzyczki barwić niemasz potrzeby: bo świeża i rumiana. Nabierz tylko, do ust, czarów pochlebstwa, zmieszanego z udaną posępnością miłośną, i ruszaj do margrabiny. Ale zmiłuj się, bądź młodym i hożym! Takim ludziom rzadko odmawiają. Jak tylko zaś margrabinę będziesz miał za sobą, otrzymasz mitrę książęcą, bogdajby i za obłokami wisiała!«

Gdy to mówił Espinois, posłyszeli turkot pojazdu margrabiny *de Prie*, powracającéj do domu tą ulicą. — »Otóż ona!« zawoła Espinois; »oto ta pani Francyi, siedlisko łask dla szukających! Spieszże się do niéj. Bourbon jest teraz w radzie. Najprzyjaźniejszą masz chwilę: znajdziesz tę piękność sam na sam. — Tylko śmiało: bo wiem, że oddawna wygląda ciebie. Uchodzisz tu za melancholika; po salonach mnóstwo o tobie niestworzonych bają rzeczy. Stałeś się interessującym: a wiesz co tacy u kobiét w naszych czasach znaczą? O, gdybym ja mógł tak zainteressować, od razu zostałbym Bóg wié czém!«

Tu Estrées uściskał serdecznie swojego, gdyrającego przyjaciela. W godzinę, był w przedpokoju margrabiny, czekając na pozwolenie wejścia. Ułożył był ze swoim doradcą planik, mogący wzbudzić zazdrość w margrabini, a widoki jego poprzeć.—Była to iskra, tym łatwiejsza do rozżarzenia, że w istocie pełen próżności Bourbon wywiadywał się kryjomo o Maryi Leszczyńskiéj, i przed swemi poufalcami dał się

z tém słyszéć, iż pomimo wdowieństwa, gotówby się o rękę wdziękami słynąć zaczynającéj Maryi, ubiegać.

Otworzyły się drzwi do sali, i Estrées stanął z niejakiém pomieszaniem przed bożyszczem Francyi, od którego szczęścia się spodziéwał. Pierwsze jego odezwanie się było zająkliwe; lecz margrabina ośmieliła go, przerwawszy z wejrzeniem pogodném na udatnego młodzieńca.

— »Domyślam się, hrabio, co mi honor jego odwiedzin, tak odwlekanych, sprawia. My, kobiéty, umiémy niepowodzenia mężczyzn, ich uchybienia, i tym podobne usterki, poprawiać, i wspiérać to, co grozi upadkiem.«

Estréego przytomność miała, na tak drażliwe zagadnienie, stosowną odpowiedź.

— »Bo kobiéty są podporą społeczności; a gdy do tego jeszcze mają wdzięki, któżby się z ochotą do takiéj podpory nie uciekał?«

Margrabina przyjęła tę grzeczność najmiléj; zarzuciła jednak: — »Ani słowa, hrabio! lecz niékiedy budowa jest tak nadwątloną, że słabe nasze ręce podeprzéć jéj

nie mogą. Nigdy więc z ucieczką do środków zaradczych ociągać się nie należy.«

—»Daruj, najłaskawsza pani,« rzekł Estrées: »cóżby mię do tego upoważniało?«

Margrabina zwolna i z wyraźném zadowoleniem powiodła oczyma po pułkowniku. — »Mnieby się zdawało...... »W tém przerywając sobie doda: »jedném słowem, cóż dla cię mogę uczynić, hrabio! Pewna bowiem aż nadto jestem, że wizytę twoję, nie sobie, nie błahym moim wdziękom przypisać winnam!«

—»Uciekam się do najpiękniejszego i najpewniejszego wsparcia, jakie tylko Francya nastręczyć może nieszczęśliwemu i pomocy potrzebującemu: uciekam się do ciebie, pani! tym pewniéj, że mi dopomódz *musisz*!«

—»*Muszę?*« zawołała śmiejąc się margrabina. »O daruj, ale dziwny masz sposób proszenia.«

—»*Musisz*« powtórzył Estrées śmieléj: »bo szczęście twe, pani, z mojém, w tajemnym jest związku. Nie śmiałbym w ten sposób do najpierwszéj damy we Francyi od-

zywać się, gdybym niemiał do wyjawienia tajemnicy, która szczęściu pani niebezpieczeństwem zagraża.«

— »Niebezpieczeństwem!« krzyknie, zmieszana margrabina. »Mówże! proszę cię, hrabio, słucham.«

Teraz dopiero Estrées miał pole do oskarżenia księcia Bourbon. »Mój prześladowca« rzecze »jest oraz moim rywalem. Książę knuje niewierność, któréj tym bardziéj przebaczyć niemożna: że się pani dotycze. Wszakże musiał już o tém mówić pani kardynał Fleury!«

— »Nie« odpowiedziała margrabina, w któréj twarzy dostrzegać się dawała największa ciekawość. — Estrées więc daléj opowiadał, co tylko wiedział i niewiedział o krokach księcia u Leszczyńskich. Margrabina słuchała go naturalnie z najżywszą uwagą.

— »Owoż całą mą wyjawiłem tajemnicę« rzekł nakoniec, »proszę więc teraz o nagrodę — o łaskę u najpierwszéj i najmożniejszéj piękności w całym kraju.«

— »Dobrze, hrabio« rzecze mu margrabina:

»prawda, że ci *muszę* dopomódz. Sposób twój proszenia, jest musem.« Poczém przyrzekła mu wszystkich dołożyć starań w jego interesie, tak, że Estrées wyszedł pełen nowych nadziei.

Wrzeczy saméj, margrabina dotrzymała słowa. Ale jakich fortelów użyła, niewiadomo; dosyć tylko, że w tydzień bilecik od niéj uwiadomił Estréego, iż sprawa jego na nowo będzie przez radę roztrząsaną.

Któż teraz był od niego szczęśliwszym! Z zapałem uściskał przyjaciela, który tylkoco miał wyjeżdżać do Wejssenburga. — »A widzisz« powiedział mu Espinois, »uboczne drogi są najbliższe! Jadę tym ochoniéj, że obie nasze Marye pocieszę. Ty wszelako niezaniedbuj margrabiny. Słyszysz?«

Z odjazdem Espinois, znikł niejako anioł stróż Estréego. Gdyż niestety owa błyskawica szczęścia mignęła tylko, by na chwilę od gorzkiéj rzeczywistości oderwać uwagę.

Dumny Bourbon, wysłuchał zarzutów margrabiny, którą razem kochał i lękał się; czego po nim wymagała, to uczynił,

iżby tém pewniéj w mniemanym tryumfie uspić. Odwiedziny Estréego u niéj, jéj porozumienia, jedném słowem, źródło, z którego wyczerpała niepotrzebną wiadomość, niemogły się utaić przed księciem. Estrées, dotychczas niby jego wychowanek, odtąd stał się jego przeciwnikiem; i dla tego grożą mu nad głową zebrane gniewem potężnego nieprzyjaciela, pioruny. Wniósł był wprawdzie książe znowu na radę prośbę Estréego, ale w zamiarze, aby już ostatecznie odrzuconą była.

Co się zaś tyczy samego Bourbona: tedy w grzecznéj odpowiedzi z Wejssenburga, wcale dotkliwy pocisk swéj dumie wyczytał. Propozycyą jego o rękę Maryi Leszczyńskiéj, z dziękczynieniem i ile możności najłagodniéj uchylono, wymawiając się wiekiem księżniczki, związkowi małżeńskiemu jeszcze nieodpowiednim. Przytém téż napomkniono o uchwalonym wprzódy przez familiją wyborze Maryi, dla którego rodzice jéj, z żalem, tak zaszczytnéj partyi odmówić muszą.

Taki stan rzeczy oczywiście nie mógł

księcia uczynić przychylniejszym dla Estréego, który się mu teraz w nienawistnéj postaci szczęśliwego rywala przedstawiał. Zniszczenie więc jego nadziei, było teraz wyrokiem, tym nieodzowniejszym, że go osobista natchnęła uraza.

—»Moją bydź niechce; więc i niepowinna bydź jego,« to było zdanie, które podszeptywało próżnemu i zbyt urażonemu człowiekowi, rozjątrzenie.

Tak więc z rady Espinois, wszystko bardziéj się jeszcze pogorszyło, niż było wprzódy; z czego niejako wypada wniosek, że ten, któremu los kapryśny, raz odmówi swych względów, nie tak łatwo, czyto prostemi, czy téż ubocznemi drogami, do celu swoich życzeń trafić może! Estrées obu tych dróg już doświadczywszy, w rozpaczy, a raczéj w młodocianém zaślepieniu, widział tylko jeszcze jednę, zgubną drogę napaści. Musiał téż Bourbon przewidywać w nim do tego gotowość, kiedy się jawnym przeciwnikiem nie chciał okazać. Wolał jąć się chytrości; lecz, na nieszczęście, tak się powikłały wątki, iż zmuszony był innego

potężniejszego rywala, na swe miejsce podstawić, byle tylko Estréemu zagrodzić.

Ludwik XV, który rok szesnasty życia poczynał, nosił już przemożne Króla imię we Francyi. Wola jego, co w okolicznościach rządowych zgoła dotąd była nieznaczącą, również nie należała do rady, w stanowieniu o okolicznościach tyczących się jego serca. Ztądto wynikło, że jeszcze nieboszczyk Regent, ułożył był związek małżeński, pomiędzy małoletnim królem, a sześcioletnią infantką hiszpańską Wiktoryą. Dwór hiszpański, przysłał księżniczkę do Paryża, dla odbycia uroczystości zaręczyn. Lecz tymczasem Regent umarł, a Bourbon objąwszy ster interessów Państwa, stosowniejszém widział temu układowi się sprzeciwić. Byłato dlań najwłaściwsza pora pokazania swego wpływu, zniweczenia zamiarów Estréego, i niejako zasłużenia się przed młodym królem, przez zerwanie ułożonych wbrew skłonności królewskiej związków małżeńskich. Jakoż infantka, pod różnemi błahemi pozorami wyprawio-

ną została do domu; a przewaga Bourbona w gabinecie, widocznie się wzmogła.

Cieszył się z téj przewagi Estrées: bo stąd i dla siebie dobrze wróżył, zawsze pomny na jakiekolwiek obietnice księcia. I w rzeczy saméj, ilekroć niecierpliwszym się okazywał, nasuwano mu zawsze bliżéj cel jego życzeń pod oczy, i tym bliżéj, im bardziéj się sprzeciwiały dopięciu jego, skryte Bourbona plany.

Tymczasem kardynał Rohan, poufały przyjaciel Bourbona, wyjechawszy ze stolicy, przybył w świetnym orszaku do cichego dworu w Wejssenburgu. Poselstwo jego było tajemnicą: ale przed kobiétą, którą cokolwiek obchodzi, niémasz w takiéj rzeczy tajemnicy. Margrabina ją odkryła. Ledwo bowiem Rohan zajechać zdołał do Wejssenburga, zaraz miała wizytę Saskiego posła, hrabiego Flemminga, najzawziętszego przeciwnika Leszczyńskiego. Interesem jego było wszelkiemi sposoby przeszkadzać przyjściu do skutku projektowi, który jego przewadze tak bardzo zagrażał; łatwo przeto wywiedzieć się mógł

o celu wyjazdu kardynała. Margrabinę zaś, równie jak Estréego, wiedząc dobrze o jego nadziejach Flemming, obrał za narzędzia do zniweczenia grożących zamiarów Bourbona. Pospieszył więc do Margrabiny, i potrafił ją na swą przeciągnąć stronę, tak, że Estrées wkrótce do swéj protektorki wezwanym został.

Pełen słodkiéj nadziei, nie ociągając się Estrées, wleciał prawie do gabinetu margrabiny, i z uczuciem szczeréj wdzięczności za przewidywane usłyszenie czegoś pożądanego, ucałował piękną jéj rękę.

— »Hrabio!« zaczęła z przybraną spokojnością: »czy będziesz śmiał iść w zawody z najznakomitszym w kraju rywalem, jakiby się mógł do twéj Maryi odezwać?«

Długo niemogąc na to pytanie odpowiedzieć, stał Estrées jakby w osłupieniu, patrząc w oczy margrabiny; z których jednak żadnéj pociechy niewyczytał.

— »Cóż to mam usłyszéć, pani!..« rzecze nareszcie. »Już mi się czekanie i cierpliwość sprzykrzyły. Niech się nakoniec dowiém, choćby co najokropniejszego było! Marya

nie dla mnie?—to by mi dawne przywróciło siły, które ostatni raz miął ożywiając, dopomagałyby do pogromienia przynajmniéj zawady szczęściu memu.«

—»Tylko bez czczéj gadaniny, hrabio! trzeba tu działać, a działać roztropnie, co jedynie może cię uratować. Spiesz się do Wejssenburga, teraz właśnie pora. — Rohan tam traktuje o rękę Maryi Leszczyńskiéj dla N. Króla Francyi!«

Chociaż Estrées był przygotowany do usłyszenia o jakiémś niepowodzeniu, słowa te jednak odjęły mu przytomność.—W odrętwieniu padł na krzesło: gdyż takiego się rywala niespodziewał. Zakrył sobie twarz rękami, i słowa przemówić nie mogąc, długo z ciężkością ledwo oddychał.

—»Owoż koniec moich oczekiwań i zabiegów!« zawołał potém z rozpaczą. Ale margrabina uhamowała go mówiąc:

—»Obojeśmy oszukani.— Bourbon, jak względem ciebie, tak względem mnie postąpił niegodnie. Gdy nas oboje koił nadzieją, któréj nigdy spełnić nie myślał, knował przez ten czas twą zgubę. Two-

ję zniewagę i ja ponoszę; jam ci w pomocy! — Tylko śmiałość, hrabio, ostateczna śmiałość, może ci zachować Maryą, a za mnie się pomścić nad niedotrzymującym słowa. Prędzéj tedy do Wejssenburga! Zniszcz układy Rohana twojém przybyciem! Mówiłeś, że Marya cię kocha; wymóż więc na niéj, aby tego teraz dowiodła. Stargaj śmiałą ręką chytre wniki, w które ją, i ciebie, i mnie wplątano! odzyskaj na nowo Maryą; a co do swych nieprzyjaciół w Paryżu, spuść się na mnie.«

Słowa te sprawiły swój skutek. Wzbudziły się wszystkie w Estréem namiętności. — Jakaś myśl o walce, o zdobyciu napowrót orężem tego, co doń należało, żywo go opanowała.

— »Do Wejssenburga!« krzyknął prawie bezprzytomnie i skinieniem tylko głowy pożegnawszy margrabinę, pędem wybiegł z pokoju.

Rzecby można, że los uwziął się tego dnia prześladować Estréego; gdyż zaraz w przed sali zetknął się ze swym przeciwnikiem, księciem Bourbonem, który naj-

niespodzianiéj sam jeden nadszedł. Widząc książę hrabiego, z przyjacielskim uśmiechem, który ustom jego stał się już nałogowym, przystąpiwszy doń, rzecze:

— »Winszuję ci, hrabio; upór Fleurego przełamany wreszcie został; za kilka dni, i wahanie się króla ustanie; mam więc nadzieję....«

—»Przebóg!« zawołał w największéj zapalczywości Estrées, »niemiéj książę żadnéj nadziei.« Wtém poskoczył do drzwi, i wprowadził będących w przedpokoju dwóch swoich służących: Gabryela i drugiego.

— »Coto jest?« krzyknął Bourbon zadziwiony. — »Widzę cię, hrabio, w pomieszaniu. Cóż to? czy nie jestem w domu margrabiny *de Prie*?«

— »Masz przed sobą, mości książę, swojego przeciwnika!« odrzekł mu Estrées drżącym głosem, — »przeciwnika, który nakoniec zdołał fałszywość twą przeniknąć. Potrzeba mi świadków. Tu przed moimi sługami, książę, żądam od ciebie ostatecznéj w orężu satysfakcyi, kiedy mi wszelka inna zagrodzona. — Jeżeli masz honor,

jakem się spodziewał, uczynisz mi choć w tym względzie zadość.«

Przerażony takim szałem młodzieńca, Bourbon cofnął się i ledwo mógł wyrzéc: »Nierozważny zapaleńcze! wieszże czego żądasz?« Ale wnet powściągając się dodał: »Bezrozumne zarzuty niebezczeszczą człowieka z honorem. Oddal się natychmiast! Wszakże wiész dobrze, choćbyś bardziéj jeszcze był dziecinnym, że cię zgubić mogę.—W Bastylii, miejsce dla wszystkich, co spokój publiczny zakłócają. Ale nie sądź, bym cię chciał tam posłać. Zgrzeszyłbym, pozbawiając Francyą młodziana, tak wielkich nadziei. Pozwól raczéj, abym i ja mojego stawił świadka. »St-Evremont!« zawołał,— i natychmiast wszedł jego adjutant. —»Oto ten pan!« zwrócił do niego mowę książę z największą spokojnością, »czuje się bydź przezemnie obrażonym. Żąda satysfakcyi. Przyrzekam więc dadź mu ją jak najprędzéj.«

—»Dziś jeszcze!« zawołał Estrées, tą pozorną wspaniałomyślnością przeciwnika zdziwiony.

—»Nie, ale jak najprędzéj!« rzekł Bourbon ze złośliwym uśmiéchem. »Więc zgoda! a teraz panie hrabio, racz....« wskazał mu ręką, aby wyszedł.

—»Dobrze!« krzyknął hrabia, wybiegając do przedpokoju.

Książę opowiedział żartobliwie margrabini przypadek, jaki go w jéj domu spotkał. Ale ta krótko go zbyła.

Im się bardziéj Estrées nad tym wypadkiem i szlachetnym krokiem Bourbona zastanawiał, tym więcéj się przekonywał, że jakiś nowy podstęp go czeka. Mógłże bowiem po tak niebezpiecznym przeciwniku spodziewać się, że, niepomnąc na swą władzę, zechce się poczuwać do winy, i orężem w ręku z nim się rozprawić? Czyż niedosyćby księciu było jednego tylko skinienia, aby Estréego i jego zażalenia w niedostępnéj ciemnicy nazawsze uciszyć. Ale gdyby to było księcia zamiarem, nacóżby używał takiego na świadectwo, coby przewrotność słowa jego przed światem mógł późniéj wyjawić?

Niepojmując tego wszystkiego Estrées,

wyglądał tylko cochwila, rychło wejdzie urzędnik policyjny, aby go zabrał do Bastylii. Wszelako nic takiego nie nastąpiło, coby swobodzie jego zagrażało.

Znał go dobrze Bourbon, i sprawy swéj był pewnym. We wspaniałości swojej ukrywał inny jeszcze cel, to jest, zatrzymanie Estréego w stolicy, do właściwego czasu. Niemógł się o tém wcale domyśléć Estrées. Cały dzień i noc przepędził w zadziwieniu i powątpiewaniu o osobliwszéj swego prześladowcy szlachetności. Niespodziéwał się tego po nim wcale. Wszakże, żaden policyant nie przychodził; a dopiéro nazajutrz, przyniósł dworzanin kartkę, pisaną własną ręką księcia:

»*Daruj panie pułkowniku, że wbrew moim i WPana życzeniom, nieprędzéj, aż w piątek rano, będę miał honor widzenia się z nim. Służba Króla Jmci niedozwala mi prędzéj dotrzymać mego przyrzeczenia, któremu radbym natychmiast uczynić zadosyć. Ale w piątek, o godzinie szóstéj z rana, będę miał zaszczyt rozprawienia się z WPanem orężem.*

Ludwik książe Bourbon.«

Dotkliwą była Estréemu ta dwudniowa zwłoka. — Cóż miał wszelako czynić, jeśli nie przystać na nię? By sobie czas skrócić, pisał do swego przyjaciela Espinois, donosząc mu o tém, co się stało, i żegnając go a oraz swoję narzeczoną, na przypadek śmierci. — Ku niemałéj swéj pociesze odebrał też odpowiedź, w któréj Espinois donosił mu o nieodgadnionym celu przybycia kardynała do Wejssenburga; uspakajał go jednak zupełnie tém, że Marya Leszczyńska zawsze jest dlań jednaką, i że w sposobie myślenia jéj rodziców, także żadna nie zaszła zmiana. »Jak słychać — pisał daléj Espinois: — kardynał kilka dni tylko zabawi w Wejssenburgu, i powróci do Paryża, gdzie niewątpliwie swojém przyłożeniem się nadzieje twoje poprze.«

Rok prawie już upływał od czasu, jak Estrées mieszkał w stolicy. — Zdawał się już bydź u kresu swoich nadziei, i nareszcie nadzieją znudzony, w większém niż kiedykolwiek dotąd widział się opuszczeniu. — Upadł prawie zupełnie na sercu: bo nic snadniéj nie wycieńcza mocy choćby naj-

tęższego charakteru, jak ciągle zawodzone oczekiwania. Wszakże, co za niespodziana znowu zmiana w jego losie nastąpić miała!

Zaświtał ranek owego dnia, tak stanowczego. W najustronniejszéj i najzaroślejszéj części Bulońskiego gaju, czekał Estrées, na krwawe losu swego rozstrzygnienie. Wierny Gabryel stał przy drodze u wjazdu do gaju, aby przybywającemu przeciwnikowi służyć za przewodnika na miejsce rozprawy. Estrées milczący, wyglądał ze swoim sekundantem przybycia księcia; daléj w krzakach, ukryty masztalerz, trzymał jego konia. Chirurg i dwa powozy, jeszcze przed świtem od księcia przysłane, stały nieco o podal.

Na niedalekiéj, nowo-wybudowanéj wieży domu Inwalidów, zegar uderzył szóstą, uroczyściéj niż zwykle, jak się Estréemu zdawało. Byłato znowu jesień, ale jakże różna od przeszłéj, kiedy Estrées patrzał na opadające liście w zwierzyńcu Wejssenburgskim! Tamta, wydawała się mu jakby jutrzenką natury, wszelkie obudzającą siły, każdą duszę do uciechy wzywającą,

i błogość po całém rozlewającą stworzeniu. Ta zaś, przypominała mu rannym, zimowym chłodem, upadek jego szczęścia i nadziei; szeleszczące liście, przykryciem były, w jego oczach, niezliczonego mnóstwa mogił; nie śmiał więc po tym całunie deptać by o zwłoki pogrzebione nogą niezawadzić. Wszystko dokoła zdawało się mu bydź zgnilizną i śmiercią; ptastwo, odraźliwie mu świergotało; pstry liść, na drzewach pozostały, raził mu oczy dzikiemi kolory; ostatnie kwiatki jesienne, zwiastowały mu przyjście śmierci; słowem, całe przyrodzenie było dlań teraz gmatwą, bez barwy, bez życia. Odgłos licznych zegarów stolicy, które wybiły szóstą godzinę, ustał. Estrées jeszcze na księcia czekał. Naokoło głucha panowała cisza.

—»Niespieszy się widać,« rzekł do sekundanta.

—»To prawda« odpowiedział mu ten.

Znowu niema nastąpiła przerwa, która zniecierpliwienie młodzieńca okrutnie drażniła. Chiał daléj ciągnąć rozmowę, ale mu słowa na ustach umiérały.

Uderzył kwadrans,—pół godziny! Jeszcze księcia nie było. Wypytującemu się sekundantowi chirurg powiedział, że mu bydź u księcia kazano równo z dniem, i że potém, z polecenia ustnego księcia, tu przybył, aby nań czekał.

Nowa wątpliwość opanowała Estréego. Wzdęło się serce jego nienawiścią ku pomiatającemu wszystkiém przeciwnikowi.— Tymczasem nanowo ozwały się zégary. Siódma godzina! a jeszcze nieprzyszło do rozprawy.

Estrées do ostatka wyczerpał swą cierpliwość. W zapamiętałym gniewie, przywołał naprzód chirurga, potém dworzan księcia, a nareszcie swoich służących.

— »Ze strapieniem« rzekł drżącym głosem, »oświadczam przed wami, tu obecnymi, że....«

Wtém zamilkł: bo tentent pędzącego w to miejsce konia, dał się słyszéć w cichym gaju.

Przybywa Evremont, adjutant Bourbona. Zeskoczywszy z konia, przybiega do Estréego i rzecze: »Książę prosi przezemnie

pana, abyś go miał za wymówionego, i oto przysyła — (tu podał zapieczętowany pakiet) — na swoje usprawiedliwienie!«

Estrées, drżącą ręką złamał pieczątkę. Zdziwioném okiem ujrzał patent królewski, mianujący pułkownika Estrées, przez wzgląd na szczególniejsze jego zasługi — *parem* i *marszałkiem* Francyi.

Jakby w omdleniu zachwiał się i opuścił rękę, trzymającą kartę, cel swoich najgorętszych życzeń, klucz do swego szczęścia, drogę napowrót do Maryi. Był przytém list od księcia, następny:

»*Mości Marszałku!*

Szczęśliwy jestem, że mogę zadosyćuczynienie, które się zasługom jego należy, w inny: właściwszy sposób, niżliśmy zamierzyli, dopełnić.— Krol Jmość, raczył za mnie się wypłacić; a przeto czując się z długu mego zupełnie wyzwolonym, mam honor, z powinszowaniem, zostawać

Twym, Mości Marszałku,
najżyczliwszym
Ludwik Bourbon.—«

Estrées stał zrazu jak wryty. Padł na kolana — i słowa: »Zacny, najzacniejszy mężu! jakżem cię nie znał! o jak winnym się czuję!« mimowolnie z ust się jego wymknęły. Poczém ucałował pismo księcia.

— »I jam chciał na cię godzić orężem!« mówił daléj: « o najszlachetniejszy mężu! całe me życie nie wystarczy do odpokutowania takiego zuchwalstwa!«

Uściskał oddawcę téj najdroższej dlań odezwy; w upojeniu szczęścia gotów był cały świat, martwy i żyjący, do swego przytulić serca. Wdzięczność, radość najwyższa, odjęły mu prawie przytomność.

— »Maryo! Maryo!« zawołał, »teraz już do ciebie!« Poczém prędko pożegnał obecnych, i wskoczył na koń.

W godzinę, nie było już Estréego w Paryżu. — Znajdujemy go aż na drodze do Wejssenburga, pędzącego co konie wyskoczyć mogły. Tąż właśnie drogą, tego dnia z rana, niemniéj spiesznie, jak on, przeleciał goniec od kardynała Rohan, do księcia Bourbon wysłany; dwóma dniami pier-

wéj, młody książę Orleanu, w największém *incognito* tamtędyż przejeżdżał.

Odległość Wejssenburga od Paryża, i ówczesny stan dróg, były przyczyną, że pomimo nadzwyczajnego pośpiechu, nie mógł Estrées prędzéj, jak dopiéro czwartego dnia ujrzéć wieżyczki skromnego miasta.

Na ten widok uczuł naturalnie taką radość, że napróżno sililibyśmy się ją opisać.

Byłoto o południu. Ze wszystkich tych wież, co tak mile zachwycały, huczne rozlegało się dzwonienie. — Szczęściem tylko swém zajęty nowy marszałek Francyi, rozumiał, że ta oznaka uroczystości, pochodzi z jego przybycia, i że jest dziełem tegoż, który mu świątynią szczęścia tak niespodzianie otworzył.

Wjechawszy do zwierzyńca, poczuł gwałtowniéjsze bicie serca. Na placu przed bramą zamku, ujrzał tłumy dworzan obcych, w sutéj liberyi, strojne rzędem wierzchowce i przepyszne karéty. Wszelako nie zadziwiło go to bynajmniéj, chociaż było nadzwyczajném — tak dalece w oslepieniu

szczęścia, na wszystko co go otacza, nie zważał!

Bramą główną wjechał na dziedziniec zamkowy. Tu go dopiéro zastanowił zgiełk niezwykły. Cały dwór zdawał się bydź w jakimś świątecznym ruchu. Okazałe pojazdy zachodziły przed ganek. Ciągła wrzawa szyldwachów, stangretów, lokajów, ocuciła jak ze snu Estréego, który się nareszcie przekonał, że jakaś święci się uroczystość, i przypisał ją odjazdowi kardynała.

Burgrabia, czuwając nad porządkiem na dziedzińcu, wzbraniał się wpuścić przybywający, zakurzony powóz; ale gdy z niego usłyszał: »Jam Estrées!« w podziwieniu i z szacunkiem, stary domownik, ułatwił mu zajazd.

Stanąwszy przed gankiem, miłością obłąkany, oczom swym niewierzący, a tylko popędem serca naglony, wyskoczył z powozu. Od złota lsknąca się liberyi zgraja, patrzała z zadumieniem na osobliwszego gościa, gdy ten, pośród niéj się przemykając, wbiegł na główne schody.

Tak się dostał Estrées na korytarz, do przedniejszéj sali zamku wiodący, która tuż do kaplicy przytykała.

Pełno w sali zastał postrojonych w galowe suknie, ordery. Sam zaś był w zwyczajnym jeszcze mundurze pułkownika. Szukał oczyma naokoło przyjaciela swego, Espinois; lecz napróżno. Między kobietami także, widział obce, i niedostrzegł nawet Maryi Opalińskiéj. Psykano nań dokoła, lecz się nikt nieodezwał. Ciągle jeszcze Estrées był pewnym, że ten obchód urządzono na pożegnanie kardynała: zwłaszcza że kiedy, przebiegając korytarz, zapytał jakiegoś służącego, ten mu w odpowiedzi coś podobnego dał do zrozumienia.

Tak więc wszedł do sali. Przez otwarte drzwi od kaplicy zabrzmiały hymnu uroczystego ostatnie strofy. Wnet zaczęto z niéj wychodzić. Po przedzie szedł kardynał — wiodąc Maryą Leszczyńską z lewéj strony pod rękę, gdy z prawéj, trzymając ją także za rękę, postępował jakiś prześlicznéj urody młodzian. Osłupiał na ten widok Estrées. Wtém kardynał, wszedł-

szy na środek sali, i wskazując na Maryą, donośnym odezwał się głosem:

»*Oto jest Królowa Francyi!*«

Wszyscy wnet, jakby na skinienie, zniżyli głowy. Kardynał tylko, Marya i książę Orleanu, który ją dla Króla Ludwika XV poszlubił, stali nieporuszeni.

Zagrały w kaplicy organy »*Gloria in excelsis*,« w przedsali muzyka zagrzmiała »*Salvum fac regem*,« a w działa i dzwony uderzono dokoła zamku.

Z tego wszystkiego Estrées nic niesłyszał, prócz słów, które się mu odtąd przez całe życie, najgorliwszéj dla kraju usłudze poswięcane, odzywały:

»*Oto jest Królowa Francyi!*«





Painted by John Martin. Engraved by Henry Le Keux.

POKUTA NINIWY.

Pokuta Niniwy.

(Z RYCINĄ)

I.

Oto Niniwa na górze wysokiéj,
Wznosi czoło pod obłoki,
Marmurowe pałace, wieże złotem lśkniące,
I ulic tysiące,
I place ozdobne w kolumny,
Przez które lud tłumny,
W złocistych szatach i wieńcu na skroni,
Biega z puharem w ręku, wśród kwiatów i
(woni.
Grzmią bębny, cytra miłym odzywa się ję-
I z ust płynie głos niewieści; (kiem,

Tańczą dziewice; tak tonem i wdziękiem,
Roskosz wszystkie zmysły pieści.

Ale w szczęściu i złocie,
Zginęły myśli o Bogu i cnocie!
Dusza zamarła;
Zwierzęce żądze do piersi się wcisły;
A rozpusta wydarła
Wszystkie serca, wszystkie zmysły.
Tak, gdy przed zgrają
Znikł Bóg, znikła cnota,
Bezbożniki! za Boga dla oczu stawiają
Bałwany swojéj chuci, ze srébra i złota.
Swobodnie
Już się z roskoszy puścili na zbrodnie.
Sumienie,
Serc zgryzotami już nieumie chłostać.
Jedna namiętność, jedno w duszy uniesienie:
Czy za krew, czy za złoto, by roskoszy dostać.
Śmiało! Śmiało (ło.
Wylewa się, co w piersiach tajemnie zawrza-
Tłuszcza, zbrodniami, rozpustą zajęta,
Niezna ni trwogi, ni kary dla siebie.
I w pośród milionów nikt niepamięta:
Że Bóg jest w niebie.

II.

Bije godzina trwogi na niebios zegarze;
 Pan przebaczy, lub ukarze.
Lecz kiedy kara bezbożnych dotyka,
Wprzód napomni ustami swego posłannika.

Rozstępują się tłumy; ulica roztwarta.
 Idzie prorok — twarz surowa,
Włos na wiatr rozpuszczony i szata rozdarta,
 Ku niebu wzniesiona głowa,
 I w niebie oczyma tonie,
 I ku niebu wznosi dłonie,
 I w świętém natchnieniu po ulicach woła,
A głos jego grzmi jakby trąba Archanioła.

»Słuchajcie mnie niebiosa! słuchaj ziemio (cała!
 Słuchaj mnie ludu zbłąkany!
 Dusza moja widziała
Wielkiego Boga i Pana nad Pany.

Na tronie z gwiazd on siedział, z gwiazd, (których niezliczę;
Sześcio-skrzydłe Serafy, obok tronu stali,
Dwoma kryli mu stopy, a dwoma oblicze,
 A dwoma skrzydły latali.

Jeden głos w anielskich głosach,
Jeden głos brzmiał po niebiosach,
I ten głos powtarzały chórów miliony:
»Święty, święty, święty!
Pan zastępów, niezmierzony,
Niepojęty!«
»Słuchajcie mnie niebiosa! słuchaj ziemio
Słuchaj mnie ludu zbłąkany! (cała!
Dusza moja słyszała
Głos potężnego Boga, głos Pana nad Pany.

I pojrzał Pan ku miastu, i pojrzał, i potem
Wyrzekł te słowa piorunowym grzmotem:
»O Niniwo! ty świecisz, złoto cię okryło,
Marmurowe twe gmachy, ze śpizu podwoje,
Ale szczęście zaślepiło
Oczy twoje, serce twoje.
Ciężkie twe nieprawości, już dochodzą miary;
Bezbożność z bezbożności; niewiara z nie-
(wiary;
I świętość podeptana, i ołtarz bez cześci,
I grzech na twardych piersiach nierobi bo-
(leści;
O Niniwo! Niniwo! jeszcze masz nadzieję;
Ale za dni czterdzieści (ję.«
Gniew mój, na twoją głowę, jak ogień wyle-

Słuchajcie mnie niebiosa! słuchaj ziemio
Słuchaj mnie ludu zbłąkany! (cała!
Wielki jest gniew, jak wielka potęga i chwała
Wielkiego Boga i Pana nad Pany.

I rozedrze Pan chmury, stąpi z gwiazd ku
Na srébrnym stąpi obłoku; (ziemi,
A księżyc zblednie, słońce się zaciemi,
Przed blaskiem jego widoku.
I zatrzęsie Pan ziemią, zatrzęsie niebami;
I oblecze świat w ciemność, i wśród grzmotu
(ryków
Sam zawiesi swój ogień, ogień z piorunami,
Po-nad głową obłudników.
I wraz trąba nieszczęścia i śmierci zawyje;
Podniesą się chorągwie na wysokiéj górze,
I zabłyśnie żelazo; tłum ziemię okryje,
Podobny czarnym lasom, albo czarnéj chmu-
(rze.
A wśród szczęku oręża, wśród okrzyków gro-
Skinie Pan na swoim tronie, (źnych,
I miliony bezbożnych,
Paszczęka miecza pochłonie.
Biada wam w tenczas, Niniwici, biada!
Jęk boleści, rozpaczy, niebios nieprzebije.

Biada każdemu z was, biada!
Kto chwili zemsty dożyje.
W tenczas, w krwi twéj utoniesz o narodzie
(biedny!
Szczątki twe wicher zetrze i ogień popali.
I w chwili jednéj
Potężne miasto mogiła zawali.
Wtenczas, by w śladach grzech twój nieprze-
(żył cię zdradnie,
Z niebios, jakby najcięższe brzemię,
Przekleństwo spadnie,
I poźrze ziemię.
Wtenczas duma, gdy złota rozpęknie sko-
(rupa,
Piekielném raz ostatni odezwie się wyciem,
A potém dla trupa
Proch zostanie pościelą, robaki pokryciem.
Bo Pan, który wśród stworzeń ziemi-rodzi-
(cielki,
Złe dusze nie nawidzi, tak jak czyste lubi,
Ten Bóg wielki,
Skinieniem światy tworzy, i skinieniem gubi.

Słuchajcie mnie niebiosa! słuchaj ziemio
Słuchaj mnie ludu zbłąkany! (cała!

Wielkie jest miłosierdzie, jak wielka jest
(chwała
Wielkiego Boga i Pana nad Pany.

On człowieka podpora, nadzieja, obrona;
On obłąkanych oświeci;
Do osłabionych swoje wyciąga ramiona,
A do serca przyciska nawrócone dzieci.
On jeszcze, nim gniew straszny z niebios
(swych wyleje,
Przezemnie do was mówi w żalu i boleści,
Ostatnią jeszcze daje wam nadzieje:
Jeszcze dni czterdzieści.
O synowie Niniwy! bądźcie łaski godni;
I z sercem łzami przebraném
Ocućcie się, ocućcie ze snu waszych zbrodni!
Pójdźcie, padajcie na twarz, i płaczcie przed
(Panem!
I o litość, o litość błagajcie koniecznie.
A gdy Pan błyskawicą niebo swe przepasze,
Poglądajcie ku górze, poglądajcie wiecznie,
Aż zemdleją oczy wasze.
I wołajcie wołaniem jaskółki tęskliwéj;
Wołajcie dłonią, łzami, spojrzeniem ogni-
(stém;

Lecz przedewszystkiém, synowie Niniwy!
Wołajcie żalem serca i szczérym i czystym,
A Pan zdejmie łzę z lica swém spojrzeniem
(błogiem,
I z serca zdejmie ciężar rospaczy:
Bo on Bogiem, wielkim Bogiem!
On przebaczy.—«

III.

Stanął lud, jak skamieniały;
Osłabły ręce, serca potruchlały;
Wieńce i szaty rozpusty opadły;
Trwoga na ustach i twarzy wybladłéj;
Żal się do piersi przeciska głęboki.
Ogłuchło miasto — snują się obłoki;
Niebo sczerniało, na ziemi mrok dziki.
Lud drży; tłumami ulice obiega;
Jęki i krzyki,
Płacz się po murach Niniwy rozlega.
I znowu głuche milczenie.
Patrz! po-za bramy Miasta, za złote podwoje,
Jak gdyby mary, tak przez nocne cienie
Snują się w bieli pokutników roje.
Już pola zalegają, padli na kolana,

W trwodze i męce,
Przed obrazem niebios Pana
Czołem biją o ziemię, wyciągają ręce.
Ciemność i ciemność, i trzask grzmi po trza-
A w nieprzejrzaném przestworzu, (sku;
Jako liście na drzewach, jako piasek w morzu,
Widać głów miliony w piorunowym blasku.

IV.

Z niebios grom po gromie pada;
Ziemia jękiem odpowiada;
Huczy powietrze wiatrami grzmiącemi.
W śród tego hymnu i niebios i ziemi,
Z ust drżących
Odbija się psalm ludu, jak jęk konających:

Psalm.

O królu światów! przez gromy i cienie,
Jużeś nam przygotował śmierć i potępienie;
Lecz nim legniemy w grobie,
Ojcze! grzesznicy, ręce wznosimy ku Tobie!

I z upokorzeniem,
Łzami krwawemi dawne oblewając złości,
Krzykiem rozpaczy wołamy ze drzeniem:
Litości! Ojcze litości!

Tyś niebiosa rozciągnął, zapalił gwiazd zło-
Ziemię u stóp swoich złożył; (to,
Tyś myśl rzucił w błoto
I człowieka stworzył.
W przepaści grzechu niedaj ginąć biednym,
Bośmy stworzenia Twojej wszechmocności,
I wołamy krzykiem jednym:
Litości! Panie litości!

Biada ziemi,
Biada grzesznej duszy!
Blask Twój wzrok nam ciemi,
Grom Twój ucho głuszy,
I śmierć do głębi,
Dusze nam ziębi.
Okropne Twoje skaranie!
Lecz okropniejszy
Sam gniew Twój Panie.

Litości Boże! litości!
Jeżeli kara już niecofnięta
Za nasze złości,
Niech się stanie wola święta.
Karz nas i dręcz,
Rwij ciało, rwij!
Męcz dusze, męcz!
I w grób nas wbij!
Twojéj prawicy
Któż się ostoi!
Wszystkie męczarnie wycierpim grzesznicy,
Tylko płaczących wróć do łaski Twojéj!

A. J. Szabrański.



Dzień dobry.

(PIEŚŃ)

1.

Już na niebie lśni słoneczko,
W nic się rozwiał nocny cień;
Już w okienko twe, Haneczko,
Złotém okiem patrzy dzień.
Zbudź się, zbudź się z jasném czołem,
Snów miłosnych rozpędź brzask,
W uciśnieniu będziem społem
Na przyrody patrzać blask.

2.

Już po kniejach, po czaharach,
Brzmi weselem ptasząt chór,
Hoże trzody grają w jarach,
Złote fale płyną z gór:

Wonny wietrzyk słodko dmucha,
  Pszczół na kwiatach brzęczy rój:
Rozkochany gołąb grucha,
  Niebo zalał modry zdrój.

3

Zbudź się, zbudź się, wstań Haneczko!
  Dość roskoszne mary śnić:
Czas otworzyć okieneczko,
  Blask przyrody duszą pić.
Na dzień-dobry, oddam tobie
  Róż, fijołków, krasę, woń;
Pocałuję w oczki obie,
  I przycisnę k'sercu dłoń.

Wiktoryn Zieliński.

PAWIE-OKO (MOTYL)

(Trzydziesty rok mego życia)

Te obrazy mnie uroczą!
  Ileż kwiatów tu na łące?.
  Te stałe, te koczujące,
Co się z kwiatu na kwiat włoczą..
Te motyle mnie uroczą!..

Och, to cudne oko-pawie!
  Cóż porównać do tych lotek?.
  Co tu ozdób, co błyskotek,
Malowideł!.. tyle prawie,
Co na pięknych sztuk wystawie.

Co za zwroty fantastyczne!.
  Na huśtawce się kołysze,
  Hieroglify lotem pisze,
Albo nuty snać muzyczne.—
Jak to wszystko cudne, śliczne!..

Oto róży siadł na czepce,
  Jak leciuchno!... gdyby światło!
  Wziąłbyś go na kwiecie za tło,
I tak cicho w ucho szepce,
Jak Stróż-Anioł przy kolebce.

Lecz.. na co czas marnotrawię?
  Teraz pije on w kielichu,
  Podeń skradnę się po cichu;
A gdy schwycę go na jawie,
To na jawie, duszę zbawię.

Cap!.. mam go!.. mam go w mych ręku!
  Czy ten sam?.. powiédźcie szczerze..
  Bo swym oczom już niewierzę..
Czy ten sam, co go mam w ręku,
Motyl niewieściego wdzięku?.

Ten sam!.. te skrzydełka iasne,
  Układane w łuski-karpie,
  Ten sam!... Jak się ze mną szarpie!..
Za twe dąsy nienawisne,
Tym namiętniéj cię uścisnę!

Ja na życiu twém nie stoję,
  Skrzydełek ci nie połomię,
  Nóżek twoich nie ochromię,

Lecz zachciałą chęć napoję,
I napaszę oczy moje.

Teraz powróć na swobodę.
  Znowu sobie z wiatry hasaj,
  W sercu kwiatów miód wypasaj.
Póki lata kwitną młode,
Cały świat miéj za gospodę.

Cóż-to?.. wolny, spóźniasz loty?.
  Przebóg! zdjęto ze twych skrzydeł
  Galeryą malowideł,
Z ramek wytarto pozłoty,
Pozostał szkielet brzydoty!

Och!.. ja natury wyrzutek...
  Tom ja sprawił!... na méj dłoni,
  Zmazana krasa się płoni..
I... tożto motyla smutek,
Méj płochości srogi skutek?.

Ot... ten co bujał tak lekce,
  Ślepe w lotce ma przegony,
  Niby wiatrak wypiérzony...
Próżno nią powietrze łechce,
Ta ku niebu nieść go niechce!...

Ot... piersiami robi w toni!
  Już na to oko motyli,
  Wzrok ciekawy się nieschyli,
Ni pacholę go pogoni,
Zgrozy tylo głos uroni.

Ja okrutnik... co ja pocznę!
  Teraz pewnie tu, niebogo,
  Połkniesz śmierć od bylekogo,
Lub cię zdepce bydle skoczne,
Lub ropuszysko żarłoczne.

Jaćbym pojął cię ze sobą..
  Ale cóż?.. na twoję szkodę..
  Jeśli za szkło cię wywiodę;
Jakąż będziesz tam ozdobą?..
Tamby pomiatano tobą!

O przeklętyż ja młodzieniec!
  Tylkom ścisnął raz motylka,
  Ze snem owa zbiegła chwilka,
A on targa życia wieniec,
Lub żyje... jak potępieniec.

Autor Babiego-lata.

Do A. J. Sz.........

Próżno po łące, po błoni,
  Błądzę za kwiatem oczyma;
Za kwiatem, godnym twéj dłoni;
  Znikła wiosna — kwiatów niéma.
Daremnie szukam, daremnie!
Zima w polu, zima we mnie.

I cóż ci po moim kwiecie?
  U ciebie kwiatów dostatek!
Snadniéj ci o wieniec przecie,
  Niźli mnie o jeden kwiatek.
Myśl twa wiecznie kwitnie wiosną,
Z niéjto złote kwiaty rosną.

Ty niemi siejesz obficie,
  I miłe roznosisz wonie.
Nie jeden taki kwiat skrycie
  Przyjął się w bijącém łonie;
A gdzie się przyjął, tam ładnie
Zakwitnie i nieopadnie....

Niewszyscy pojąć tak mogą,
  Jak jam zrozumiał twe serce—
To kiedyś ożyje błogo,
  Co dziś może w poniewierce—
I nim się jeszcze wiek zmieni,
  Będzie czas, co cię oceni.

Dla mnie chwila za-daleka!
  Ja uczucia zdradzić muszę—
Masz, widzę, serce człowieka
  I pełną wzniosłości duszę;
Lecz, jak na to, zimne słowa—
W nich stygnie uczuć połowa...

Próżno po łące, po błoni,
  Błądzę za kwiatem oczyma;
Za kwiatem, godnym twej dłoni—
  Znikła wiosna—kwiatów niéma.
Za kwiat więc, bogały w wdzięki,
Przyjmij niemy uścisk ręki.

Teofil Nowosielski.

Pieśń wiosenna.

Po raz pierwszy kukułeczka zakukała w borku,
A ja biedny nieboraczek niemam grosza w worku.
O gdybyto złotóweczki teraz zabrzęczały,
Miałby sobie chłopak z czego pohulać rok cały.

Byłby konik, jeden, drugi,
I parobczak do usługi,
I koszulka wyszywana,
I czapeczka, i sukmana,
I kowane buty,
I pasiczek suty.

Tysiąc kułek-by brzęczało około pasika;
Zleś kukułko dziś zastała, niéma i grosika.
Ale zkądże to, ptaszyno, taka ci moc dana,
Ażebyś lada próżniaka przemieniła w pana?
Kukaj zdrowa, kukułeczko, niewierzę ja tobie!
Nie dasz ty mi nic podobno, kiedy nie zarobię.
Ale niechże do roboty zabiorę się żwawo,
I pewniejsze i smaczniejsze, co zarobię krwawo.
Będzie z czego i pohulać, i jeszcze zostanie;
Przyszłéj wiosny, kukułeczko, usłyszysz brząkanie.
Będę się też do rozpuku śmiał z ciebie, nieboże,
I powiém ci: bez twéj łaski mam pieniążki w worze.

Stanisław z Dzikowa.

ŚMIERĆ

Smaił-beja Begzadżytia.

(Pieśń Serbska)

Jeszcze zorza nie świeciła biała,
Ani jutrznia nie płoniła lica,
Z gór *Kliczewca* do grodu *Skoczyca*,
Od *Kostura* Wila zawołała:

„Synu nieszczęść, Smaił-beju młody!
Czem' niesłyszysz, nie drżysz na przygody?
Trzy ci wojska niosą śmierć, lub łyka:
Z *Białogrodu*, *Szapca* i *Zwornika*.
Temu wojsku, co się burzą wzmaga
Z Białogrodu, wodzem Szain-Aga;
Co z białego ciągnie Szapca-groda,
Nowilanin bej mu Wojewoda;
Co się tłumem ze Zwornika wali,
Głową jemu wyniosły Bej-Ali.
Wnet na ciebie spadną karą bożą;
Białe dwory spalą i rozorzą;

Ciebie zgubią; z dymem puszczą grody;
Biada tobie, Smaił-beju młody!"
Gdy to słyszy Smaił-bej, wnet woła:

„Biała Wilo! zamilcz! mam Sokoła
Synan baszę; pokąd on mi słynie,
Pokąd dzierży na *Ercegowinie*
Mocny *Garażd*, fraszka tłuszcza dzika
Z Białogrodu, Szapcą i Zwornika!
Poślę listy w cztery strony świata;
List do *Tuzli*-kapitana, brata,
Niech powstaje, z całą okolicą,
Gród *Gradaczac*, *Tuzla* z *Graczanicą*,
I najdalszy równej *Spreczy* kraniec,
Aż po *biały-Zwornik* i *Własaniec*.
Ku *Garażdu*, posyłam list wtóry,
Do Sokoła-Synan-baszy szury (*)
Niech się ściągnąć Ercegowce stara,
Z Nikszyckiego grodu i Mostara.
Do Bośniaków posyłam list trzeci:
Niech mi Wezyr piorunem tu leci,
I Bośniackie stawi spachi; wreście,
Listem czwartym każe, w Nowem mieście
Ferat-basza, Ferat-Aga luty,
Niech mi wiodą dzikie Arnauty."

(*) Brat żony, zowie się w języku Serbskim, równie jak w dawnym Polskim, *Szura*.

Jeszcze mówił; a już Skoczyc biały,
Z trzech stron mnogie wojska opasały.
Ginie młody Smaił-Bej, szeroce
Jasne łuny rozwidniają noce;
Palą grody, biorą sprzęt wszelaki,
Niezliczone skarby i rumaki.

Nad mogiłą pyłu, wschodem słońca,
Wierna luba ranną ciszę trąca,
Codzień kroki wiodąc tam tułacze,
Drży jaskułką, jak kukułka płacze.

A. B.



Do J.... S....

w Czerwcu 1834 r.

Przez Stanisława Kr. Starzyńskiego.

Było ich dwoje — sercem i duszą
Lgnęli ku sobie oboje;
Wszystko, co znosić śmiertelni muszą,
Dobro, złe, znosili dwoje.
Wytrwała przyjaźń, życiem ich była;
Reszta, dziecinne wypadki;
A okolica im się dziwiła,
Głoszono przykład ten rzadki.
Lecz cóż stałego widzim pod słońcem?
Nie jeden, co rzekł o sobie:
„Uczuć nie zmienię." zmienił z dnia końcem:
Stały jest tylko człek w grobie!
Tu, schnie w żądaniach, goniąc za złotem,
Siebie i gubi drugiego
Nucąc tak, niewiém, czym słyszał o tém,
Czym sam co doznał takiego?



Drawn by F. Stone. MATYLDA. Engraved by J. Thomson.

NATYDA,

(z rycin)

Ach, otoż i już wiernemi! Żywy obraz anioła, co mi się na krótką chwilę w młodości mej był zjawił, co mi najsłodszą przyczyną tego życia miał być, a [illegible] zaklęciem, tak dalece mnie [illegible] pamiątka [illegible] uczynił, że choć ledwo lat dwanaście od owego [illegible] mego upłynęło, czuję wszakże, jak gdybym już wieki całe żyjąc przeżył! O jak dobrze widzę ją na tej karcie, w tych rysach, które — nie mam teraz

MATYLDA.

Moja pierwsza a razem i ostatnia miłość.

(Z RYCINĄ)

Ach, otoż i *jéj* wizerunek! Żywy obraz anioła, co mi się na krótką chwilę w młodości méj był zjawił, co mi najsłodszą przyprawą tego życia miał bydź, a nagłém swém zniknieniem, tak dalece mię sobie samemu nieznośnym uczynił, że chociaż ledwo lat dwanaście od owego zwiastowania szczęścia mego upłynęło, czuję wszakże, jak gdybym się już wieki tém życiem przemęczył! O jak istnie widzę *ją* na téj karcie, w tych rysach, które — nie umiem teraz

nazwać — błogosławiona, czy mordercza dla mnie ręka, tak cudownie z oblicza Matyldy, nazawsze mi znikłéj, schwyciła i na papiérze zatrzymała! Widzę ją, kréślącą dla mnie ową czarodziejską okolicę Wilna, ze wzgórza niegdyś majestatycznych *Werek:* z owego miejsca, tyle podobieństwa z cyplem *Bastei* w Szwajcaryi Saskiéj mającego! — kréślącą dla mnie ten, tak mi podziśdzień święty, tak kosztowny upominek, na widok którego, myślą, w najmilszych chwilach mojéj przeszłości, zmartwychwstaję!

Ach! tak jest; widzę *ją* tu, tę nigdy niezapomnianą Matyldę: przedmiot piérwszéj i ostatniéj mojéj miłości — miłości! mówię, nie zaś płochéj, dziecinnéj skłonności, jakiéj zapewne każdy z nas, od lat piętnastu do dwudziestu wieku swego, nieraz doświadczył i najżywszą mienił. O! nie; wizerunek tu wyryty, nic nie ma spólnego z tak błahą fantazyą. Wystawia mi on istotę, co najpiérwéj i ostatecznie prawdziwą we mnie miłość wznieciła; piérwszą i jedyną kobiétę, co mi o związku małżeńskim, z roskoszą najwyższą myśléć, co mi

go za szczęście, o które jak najwcześniéj ubiegać się należy, poczytywać kazała. W wieku bowiem późniejszym, związek ten uważamy za jakąś tylko stanu naszego zmianę, któréj się nareszcie poddać musimy: zawsze atoli tak długo, jak można, zwlekamy. Coto za różnica, pomiędzy namiętnością a uczuciem! Tamtą, może się zapalić ku mało-godnemu przedmiotowi, również bez godności serce: ku roztrzepanéy dziewicy, młokos; uczucie zaś, wzbudzić tylko może, całą swą zacnością kobiéta, w szlachetnym mężczyznie. — Ale, wracając do przedmiotu, który mnie w te rozpamiętywania wprawił, — Matylda, mogła się była liczyć do najpierwszych piękności w całéj okolicy. A jak mię kochała! — Kto podobnie był kochany, i tak, jak ja, po wielu lęciech nad tém rozmyśla, niewątpliwie zgodzi się ze mną, że przypomnienie o cnotliwéj kobiéty skłonności ku nam, jest balsamem dla duszy; jestto jakby *oaza* w pustyni życia światownika, jakby jakaś świątkowa uroczystość wśród powszednio-dziennych naszych za-

trudnień. Wspomnienia o miłości Matyldy nieoddałbym za nic w świecie.... Nierozsądny, co ja marzę! Za cóżbym je mógł oddać, kiedy moje uciechy tak są ograniczone! Ale i wszelkiéj przyłudy życia, choćby nawet niebyła tak skąpą, jak jest dla mnie, gotówbym się wyrzéc, niżeli tego przekonania, że mię Matylda kochała.

Więcéj jeszcze jak piękność, zalecała Matyldę, osobliwsza łagodność i dobroć serca, nieckliwa jednak i odtrętwiała, jak bywa łagodność i dobroć u wielu kobiét, w istocie na wszystko oziębłych. Jakaś pociągająca ku sobie malowała się na jéj twarzy melancholija, która dziwnie dobrze jéj rzadkim wdziękom przystawała; ale umysł jéj nie był posępny, tylko podobny do wiosennego dnia zmierzchu, którego wpływem tak się napawać lubimy. Pełna owéj młodocianéj romantyczności, która najczystszym duszom jéj płci w tym wieku jest właściwą, póki nie rozpierzchnie się od wrażeń gorzkiego doświadczenia, Matylda obojętna na wszelkie podniety hucznego świata ludzi, poświęciła swe niewinne serce za-

chwycaniu się swiatem stworzonym, i uwielbianiu jego Stwórcy.

Jakiéjże sobie nie roiliśmy przyszłości! — »Byle tylko miłość, a i w chatce będziemy szczęśliwi!« mawiała Matylda. »Drogi Kaziu! ja najszczęśliwszą będę i w chatce, aby tylko z tobą; ta chatka będzie wśród ogródka, jaki lubisz; ja go pielęgnować nie zaniedbam!« — »A żywić się będziemy, mlékiem, sérem, miodem i owocami, — nie prawdaż!« dodawałem, w chwilowéj pustocie. — »Jabym, aż nadto na tém przestała; ale ty, Kaziu! zawsze mi mówisz naprzekor, zawsze sobie żartujesz z moich życzeń, jak powiadasz, do czasów patryarchalnych, do czasów opiéwanych w sielankach, czy eklogach, należących. O! jaki złośnik z ciebie. Wszak ty sam, czytając cóś podobnego, masz łzy w oczach! Może mię łudzisz? Wtenczas, biadaby mi, biada, zacom cię tak ukochała!« — Zapłakałem nad tą moją ustną swawolą, i usty, na których odezwało się me serce, drobną rączkę Matyldy ucałowawszy, przywróciłem jéj spokojność.

Ach Matyldo! jam cię najpiérwéj i ostatecznie ukochał! Gdzieżeś ty?.... Ale, oto i jéj listy!.... związane wstążeczką różową, jak były jéj kiedyś jagody.... Listy od niéj! Czytajmy, ten piérwszy!

»Lękam się, bym o płochość nie była »posądzoną, dając odpowiedź na kartkę, coś »mi wczoraj, odchodząc, w ręku zostawił. »Dowiedziałam się z niéj, czego, spodzie»wając się i wątpiąc o tém, dowiedzieć się »pragnęłam. Jednakże, gdym czytała, jakiś »głos tajemny radość moję zakłócał, — głos, »szepcący mi, żem czytać tego niepowin»na, — że uchybiam winnych, dla najdroż»széj matki méj, obowiązków. Każde jéj »dobrotliwe słowo — a matka nie zwykła »do mnie inaczéj przemawiać — każde jéj »słowo, zdaje się mi zarzucać, żem to u»taiła. Pozwól mi więc odkryć przed mat»ką, lub może (co lepiéj będzie) sam jéj »oświadcz, że mię kochasz: bo tajemnica, »zawsze ma w sobie coś nagannego, co mię »niepokoi.«

Ach! luba, droga moja Matylda!

Owoż, i drugi *jéj* list!

»Do zachwycenia wystawiłeś mi wczo-
»raj, jedyny mój Kazimierzu! naszę przy-
»szłość. Ale czy potrafisz wyrzéc się dla
»mnie większego świata, który tak cię nę-
»cić może? — Wczoraj widziałam cię bla-
»dym, bladszym niż zwykle; może to mi
»się tylko zdawało, ale zasnąć dla tego nie
»mogłam. Dałby Bóg! aby to było tylko
»moje przywidzenie. Gdybyś jednak był
»cierpiącym, szanuj się, mój najdroższy,
»na miłość naszę zaklinam cię! Wiész, że
»szczęście moje od ciebie zależy: dbaj więc
»o swe zdrowie wedwójnasób. — Ale, Ka-
»ziu mój! zawsze mi przykro, że listy od
»ciebie potajemnie odbiéram, a tym bar-
»dziéj, że na nie, równie skrycie odpowia-
»dam. Już też więcéj pisać do ciebie nie
»obiecuję, aż póki mama na to nie zezwo-
»li; wszak we mnie jest tak zaufaną, tak
»dla mnie dobrą — mogłażbym ją dłużéj
»oszukiwać! Teraz nawet nie wiém, jak się
»na to zdobędę, aby ci tę kartkę oddać.
»Zdaje mi się coś w tém tak nieprzyzwoi-
»tego, a zwłaszcza przy téj, którą tak, jak

»ciebie, kocham—ale nie! więcéj jeszcze—
»w któréj, uwielbiam naylepszą matkę! Nie
»sądź więc ten ostatni raz źle o mnie, ko-
»chany mój Kazimierzu, że moja ku tobie
»najszczérsza przychylność, pokonała obo-
»wiązki córki. — Twoja Matylda.«

Najzacniéjsza duszo! zdaje mi się, że w téj chwili, poważném i razem tkliwém jak niegdyś poglądasz na mnie okiem!.

Spełniłem wreszcie Matyldy życzenia, wyznawszy miłość naszę przed jéj matką. Zrazu pokazała mi niejakie zadziwienie, iż córka, mimo jéj wiedzy wybór uczyniła; ale łzy i pieszczoty Matyldy, a z méj strony nieskończone usprawiedliwiania się, przywróciły pokój i zgodę dotychczasową.

»Panie Kazimierzu!« odezwała się nakoniec matka Matyldy: »Oddając ci me dzié-
»cię, przyjdzie mi się rozstać z mojém je-
»dyném na téj ziemi dobrem. Jak umysł,
»tak i siły fizyczne mojéj Matyldy, równie
»są delikatne; lada przeciwne wrażenie mo-
»że ją zgubić. Będziesz przeto musiał czu-
»wać nad nią tak, jak ja dotąd; będziesz ją

»pielęgnował, jak kosztowną a słabowitą »roslinę, ciągłéj pieczołowitości potrzebu»jącą; ale za to wywdzięczy się ona sowi»cie, jeśli Najwyższemu podoba się utrzy»mać ją w życiu.« W téj tkliwéj przemowie matki, było cóś tak smętnego, co jak gdyby czarną krepą radość moję obwinęło; ale kiedym na zorzysty rumieniec, na blask prześlicznych, ciemnych oczu mojéj *przyszłéj* spójrzał, przestrogi mi dane, przypisałem tylko zbytnéj troskliwości macierzyńskiéj, i uśmiechnąć się musiałem, widząc najświeższą dziewicę, do chorowitéj przyrównaną rośliny. Wrodzona tego najmilszego stworzenia powolność, którą bardziéj jeszcze wzmogło nadzwyczajne do mnie przywiązanie, nadała mi prawie nieograniczoną władzę nad Matyldą, i przywiodła do téj próżności, albo raczéj, nierozsądnéj igraszki, żem tą mocą znaglał córkę, do małych przekór matce. Jakżeto często widziałem, dobrą tę matkę, rumieniącą się i łzy tającą, ilekroć jéj najdroższe dziécię zaniechało w czémkolwiek mądrych rad względem zachowania zdro-

wia, aby tylko mnie, com takie ostrożności żartobliwie wyszydzał, dogodzić! Czasem wyrzucała mi to Matylda — »Jak masz »serce« mówiła, »skłaniać mię do tego, »iżbym choć w najmniejszéj rzeczy śmiała »sprzeciwić się zdaniu matki? Żebyś wie»dział, jak mi to boleśnie, kiedy widzę pa»trzącą ją na mnie z żalem, pomimo, że tak »zdrową, bardzo zdrową, i tak szczęśliwą »się czuję!«. Oczy jéj błyszczały zachwycającą pieszczotliwością, kiedy wspomniała o swojém szczęściu, które ze mnie pochodzić miało. — »Wiém to dobrze,« mówiła jeszcze: »że tylko niezmierne przy»wiązanie mojéj matki, każe ci się lękać »o mnie w tém, co bynajmniéj niebezpie»czeństwem niegrozi, — lękać się o moje »życie; ale też byłabym najniewdzięczniej»szą, gdybym takiéj troskliwości cenić nie »umiała. Przestań zatém, drogi Kazimie»rzu! mieć zabawkę z narzucania mi swéj »woli, przeciwnéj woli matki: wiész bowiem »aż nadto dobrze, iż, ani się tobie opiérać, »ani też najlepszéj matce bydź niepposłu»szną, nie mogę.« Na te, do serca przeni-

kające słowa, odpowiedziałem żartując ze skrupulatności Matyldy; przepisy matczyne nazwałem śmiesznemi andronami; jéj leki, Antośkową medycyną, i nieprzestawałem tak, jak wprzódy, miéć z przeciwieństw moich igraszkę.

Czcigodna Matyldy matka, zamiast obrażenia się tą moją dziecinną uporczywością, najcierpliwiéj ją znosiła; a widząc w swéj córce nieograniczoną ku mnie miłość, wolała swoje rozsądniéjsze zdanie mojemu trzpiotalstwu poświęcić, byle tylko niestać się powodem nieporozumień między nami. Tak więc, mimo tych dziwactw, byliśmy wszyscy troje, bardzo sobą szczęśliwi. Przyszło i do naznaczenia dnia, który tę szczęśliwość dla mnie i Matyldy na zawsze miał zapewnić. Dniem tym miał bydź 26 Lipca: dzień imienin naszéj matki. Tymczasem przygotowywała się dla Matyldy wyprawa. — O jak niecierpliwie liczyłem dni tych kilku tygodni, upłynąć mających do najpożądańszego nam kresu!

Jednego wieczora, będąc w domu matki Matyldy, namówiłem je, do odbycia naza-

jutrz przejażdżki do Werek, Wiliją. Matylda nie posiadała się z radości, bardzo lubiąc tę okolicę: bo i któżby jéj nie polubił, choć raz obaczywszy! Sprytny mój Stefanek, zamówił dla nas, u brzegu przed Antokolem, łódź wygodną, i ruszył o świcie z różnemi zapasami, na naszę całodzienną wędrówkę potrzebnemi, do Trynopola, głównéj naszéj przystani.

Ale nazajutrz, z rana już było parno; naciągające chmury groziły dészczem; dla tego więc matka Matyldy radziła, przejażdżkę tę na czas późniejszy odłożyć. Widząc Matyldę tém zawiedzeniem nadziei strapioną, nastawałem usilnie na jéj matkę, i nareszcie wymogłem, żeśmy zamierzoną przedsięwzięli wycieczkę; jednak przez cały czas półmilowéj żeglugi, matka była niespokojną, coraz poglądając na zachmurzone niebo.

W uświęconym gaju Kalwaryi przepędziliśmy dzień najpoboźniéj i najszczęśliwiéj. Matylda, ciągle prawie trzymając się mię pod rękę, po wyjściu z każdéj stacyowéj kaplicy, nowém zdawała się bydź przejętą zachwyceniem, i tkliwemi spójrzeniami śledz-

ła we mnie sympatycznego udziału. Téj najczystszéj rozkoszy, odbywania pielgrzymki świętéj i modlenia się obok swéj ukochanéj, któżby kiedy mógł zapomnieć? Co do mnie, żadne okoliczności mego późniejszego życia, nie są mi tak w pamięci obecne, jak każde Matyldy w owym dniu słowo.

I tak mówiła ona, gdyśmy odpoczywali przy Ogrójcowéj kaplicy, w cieniu gęstych jodeł: »Ilekroć podobnie, jak teraz, przenikniona jestem myślą o niezmierzonéj dobroci Opatrzności, która żadnego mego życzenia nie odrzuca, zawsze opanowuje mię jakaś zabobonna trwoga, jakieś trapiące przeczucie, że tak zupełna szczęśliwość na téj ziemi długo trwać nie może. Cała moja dusza, przejęta wspaniałością niebios i ziemi, wylewa się w miłość ku Stwórcy, który mię do poznawania Swych cudów zdolną uczynił. Oko moje, z zachwyceniem wpatruje się w czarującą dokoła naturę: a to zachwycenie, z tobą, mój Kazimiérzu, dzielę! — Któż na błękit nieba, na te mnogie odcienia zieloności, na te niezliczonemi kwiaty okryte łąki, na owe przezroczyste

strumyki, może patrzéć bez przejęcia się najgłębszém uwielbieniem dla tego, co to wszystko z nicestwa wywiódł? A jednakże, do najtkliwszéj wdzięczności, jaką we mnie te przedmioty rodzą, miesza się posępna uwaga nad znikomością tego świata. Za lada chwilę możemy być wezwani do rozstania się z tą piękną ziemią, z tém jeszcze piękniejszém niebem, i z tymi, co nam droższi nawet, niż tamto oboje! Nimem ciebie, luby Kazimiérzu, poznała, częstom się zastanawiała nad śmiercią, ale nigdy z trwogą; lecz teraz drżę z przerażenia, pomyślawszy o tém, co nad śmierć samę jest okropniejszém — o rozstaniu się z tobą!«—Ganiłem jéj te zasmucające myśli, ale nie mogła się im odjąć. — »Mnie się zdaje« rzekła znowu »że nigdy niepowinniśmy zaniedbywać rozmowy o śmierci. Cóż bowiem wnosić można o tym z dwojga kochanków, co, wiedząc o nadchodzącéj nieżbędnéj podróży, dla któréj się na czas długi od najmilszego sobie przedmiotu oddalić musi, uprzedzić go o tém omieszkiwa? Tym bardziéj więc, zdaje się, powinniśmy sobie przypominać o

owéj najdłuższéj podróży, o owém zbyt gorzkiém rozstaniu się: aby, pozostać tu muszącemu, choć to pocieszające było przekonanie, że podróżny nie bez ostrzeżenia puscił się w drogę. Wreszcie, wyznam i to szczérze, iż jakkolwiek się lękam śmierci od czasu, jakem cię poznała, wszelako, za szczęśliwszego mam tego, co w młodości ten świat opuszcza, póki dlań życie jeszcze swych powabów nie straciło, póki się jeszcze oko obojętném, a serce zimném na piękności natury nie stało!« — Słów tych prawdę najżywiéj uczułem, i dla tego nie mogłem się wstrzymać od wykrzyknienia: »Ach, tak! lepiéj zamłodu umrzéć, aniżeli szczęście swe przeżyć!«

W głosie Matyldy, zawsze słodkim, było jeszcze coś tak rozrzewniającego, że chciałem wprawdzie robić, na jéj smutne myśli, zarzuty, ale żartować nie miałem ducha.

Przerwała rozmowę naszę matka, wzywając do prędkiego powrotu do domu: gdyż ciemniejsze niż dotąd nadchodzące chmury, ustawiczną błyskawicą wkrótce ulewę zapowiadały. Po niejakiém z méj strony o-

ciąganiu się, ruszyliśmy z miejsca, i nareszcie dostaliśmy się do czekającéj na nas łodzi. Matylda, znaczniejszą niż zwykle przechadzką rozgrzana i znużona, dała powód matce do nowéj obawy, że musi miéć gorączkę. Ale ja, widząc ją teraz bardziéj zachwycającą zwiększonym rumieńcem, który szczególniéj oczom jéj blasku przyczyniał, znowum sobie pozwolił żartów z troskliwości najlepszéj matki. — Ledwośmy upłynęli pół drogi, gdy lunął deszcz nawalny z gradem, tak, że w kilka minut, pomimo wszelkiéj ochrony, wszyscyśmy przemokli. Teraz dopiéro zacząłem wyrzucać sobie moję przekorę, i czytać złą wróżbę w niespokojnych spójrzeniach matki, których wrażenia, uśmiéch nawet lubego przedmiotu, złagodzić nie mógł. Odtąd postanowiłem sobie, nigdy już więcéj mojemi kaprysami nie narażać Matyldy na podobne niebezpieczeństwo.

Wszakże, niestety! wszelkie, przez troskliwą matkę użyte środki, po powrocie do domu, nie uchroniły mojéj *najdroższéj* od gorączki, która ją nazajutrz gwałtownie

dotknęła. Pomimo najdzielniejszéj pomocy lekarskiéj, nie mogła się matka w płaczu utulić, z obawy o swe jedyne dziécię. Jam też oczywiście widział okropne skutki moiego uporu, które codzień stając się wyraźniejszemi, o rozpacz mię przyprawiały. Matyldę zaś, ani na chwilę nietracącą przytomności, wkrótce opanowała myśl, że ledwo kilka dni przeżyje. Prosiła więc o pozwolenie widzenia mię. Wszedłem do jéj pokoju. Spoczywała na kanapie. Gorączkowy rumieniec pałał na jéj twarzy. Zachwycające jéj oczy, mimo osłabienia, miały jakąś żywszą, aniżeli dawniéj, wyrazistość. Na mój widok, zaszły łzami. Usta jéj drgały, gdy mi podała do uściśnienia gorącą rękę. Widząc moje strapienie, zdobyła się na siły, i omdlałym rzekła głosem: »Pamiętaj, mój najdroższy, że rozstanie nasze nie jest wiecznem. Muszę się z tym światem pożegnać; ale znajdziesz mię tam, gdzie już się nigdy z sobą nie rozdzielimy. Umiéram w wieku, od win i trosk wolnym; umiéram będąc kochaną, i dla tegom szczęśliwa. Ciesz mo-

ję biédną matkę, gdy już mię nie będzie! A jeśli chcesz, drogi mój Kazimierzu, dać mi dowód swéj stałéj miłości ku mnie, przeżyj tak na téj ziemi, abyśmy się kiedyś w niebie złączyć mogli!«

Silenie się w mówieniu, do reszty ją osłabiło; lekarze znaglili mię do wyjścia z pokoju, — tak tedy ostatni już raz oglądałem Matyldę za życia! Nazajutrz, była już w trunie. Co się ze mną działo; próżnóbym chciał to wyrazić. Byłem gotów uciekać z tych miejsc, teraz tak dla mnie obmierzłych, w najodleglejsze strony; atoli nie mogłem tego na sobie przenieść, abym jeszcze raz owego anielskiego oblicza nie obaczył. Upatrzywszy porę, kiedy nieszczęśliwa matka, boleścią znękana, oddaliła się była od opłakiwanego ciała córki, wszedłem ze ściśnioném sercem do tegoż pokoju, ledwo się mogąc na nogach utrzymać.

Byłto piękny, balsamiczny poranek letni; cała natura, z nowemi wdziękami zdawała się odżywać, — gdy tymczasem *ona*, najprzedniejsze jéj dzieło, wiecznym snem

usypiała! Chociaż dom leżał w najzgiełkliwszéj części miasta, w ogródku jednak, na który wychodziły okna, panowała taka cisza, jak w ustroniu wiejskiém. Byłoto Matyldy najupodobańsze zabawy miejsce. Rozmaite krzewy i rzadkie kwiaty, powiększéj części jéj ręką wypielegnowane, w całéj swéj bujały okazałości, rozlewając woń w powietrzu, kroplami rzęsistéj rosy odświeżone, kiedy tymczasem dobroczynna ich opiekunka — coża straszna zmiana! Zbliżywszy się do truny, wlepiłem oczy w tę twarz, zawsze jeszcze napodziw miłą. Pomimo marmurowéj spokojności, jakże jeszcze była zachwycającą! Zdawało się, że zasypia.

»Nie!» westchnąłem: »jam jéj na zawsze nie stracił; bo i jakże mógłbym to znieść, aby mi dni, miesiące, lata, upływały, bez ujrzenia kiedykolwiek *jéj* — światła mojego życia! Odezwij się do mnie aniele; daj znak, żem niezupełnie zapomniany!» Kiedym tak w duchu przemawiał do tego cudnego posągu, którego żadna iskra Prometeusza ożywić nie mogła, zégar w przy-

ległym pokoju zaczął grać ulubioną jéj aryjkę, ową aryjkę, któréjśmy się nieraz w szczęśliwych godzinach z radością przysłuchiwali. Toby powinno *ją* obudzić! Patrzałem na *nię* w największém oczekiwaniu, zapomniawszy zupełnie o rzeczywistości. W tém widzę wielką, błękitną muchę, około bladych *jéj* ust krążącą; chcąc odegnać, dotknąłem zlodowaciałe lica; — krew we mnie skrzepła; cała straszliwa prawda jawnie mi stanęła w oczach; istota, którąm uwielbiał — o Wielki Boże! — stała się dla mnie teraz przedmiotem okropności. Wyszedłem bez pamięci z pokoju, a gwałtowna gorączka, uwolniła mię na kilka tygodni od najboleśniejszych myśli.

Matki Matyldy jużem nigdy więcéj nie widział; bo wkrótce wyjechała do Inflant, gdzie w pół-roku umarła. Odjeżdzając, zostawiła do mnie list smutny, ale w najczulszych dla mnie wyrazach, a przytém maluczki pakiecik, z napisem ręką Matyldy: »*Dla drogiego Kazimierza*«, w którym znalazłem kilka skrzętnie zasuszo-

nych źdźbeł niezapominajków. Pakiecik ten znaleziono wstoliku nieboszczki.

(**)

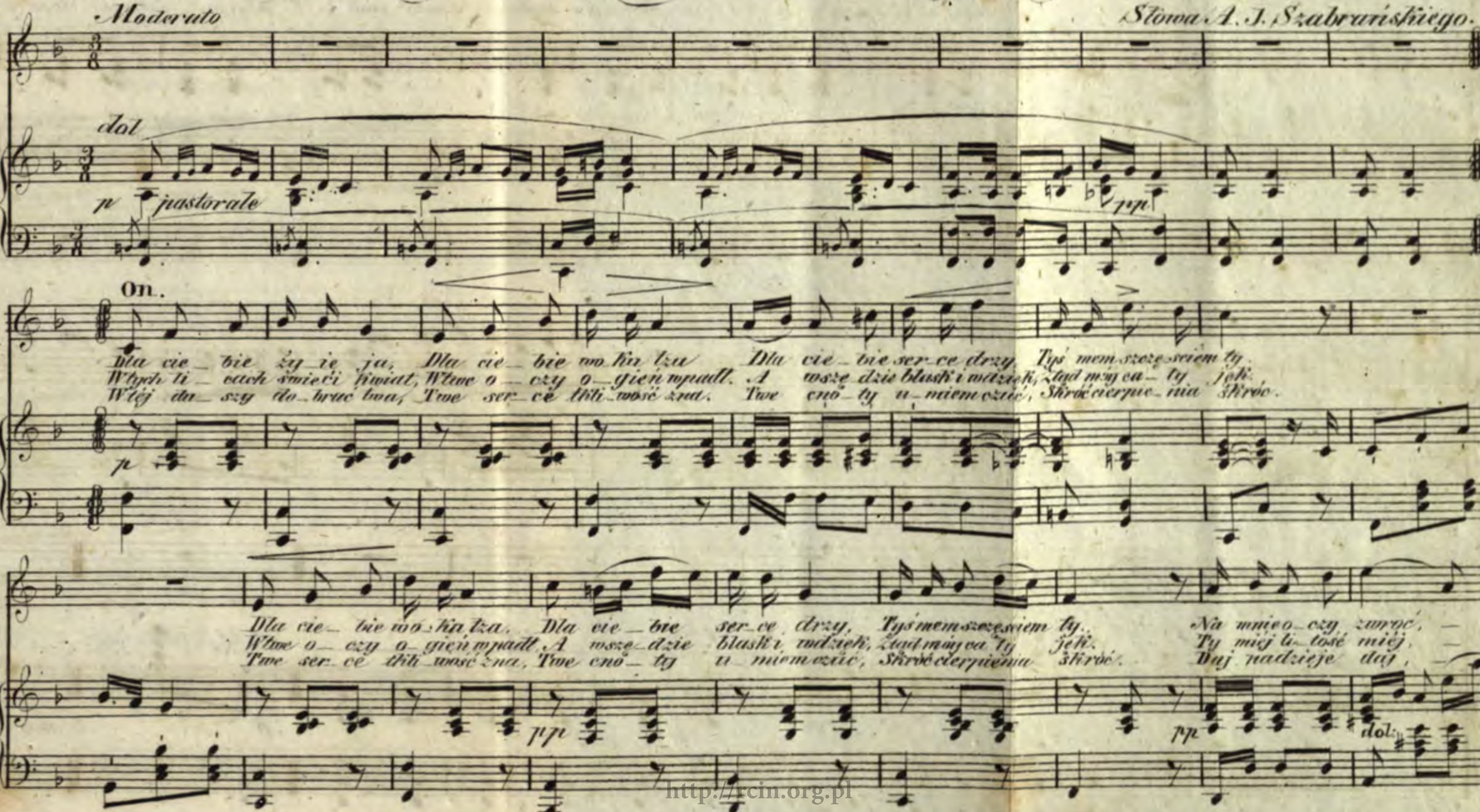


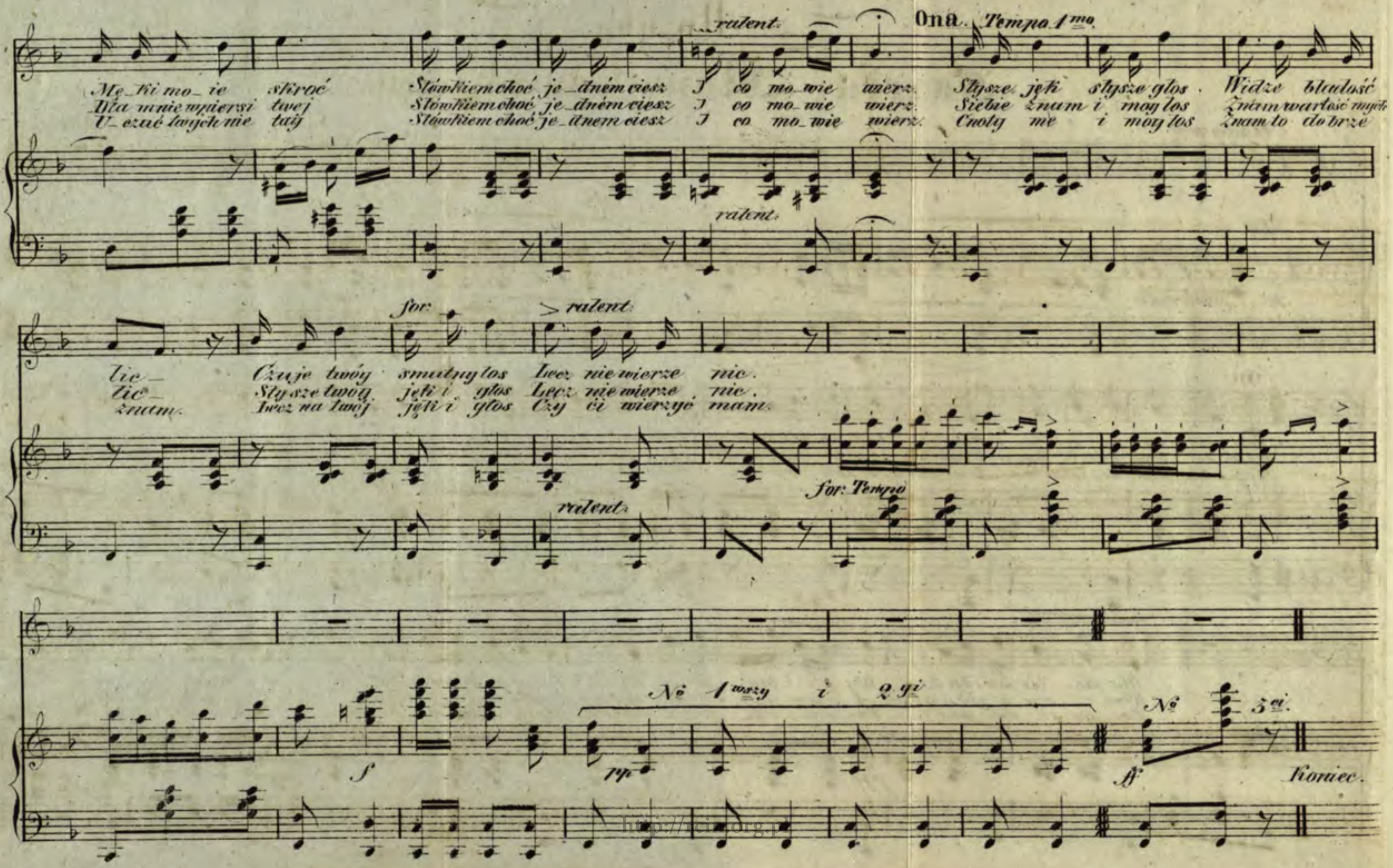
KONIEC.

MAZUREK

z Muzyką

Józefa Nowakowskiego.
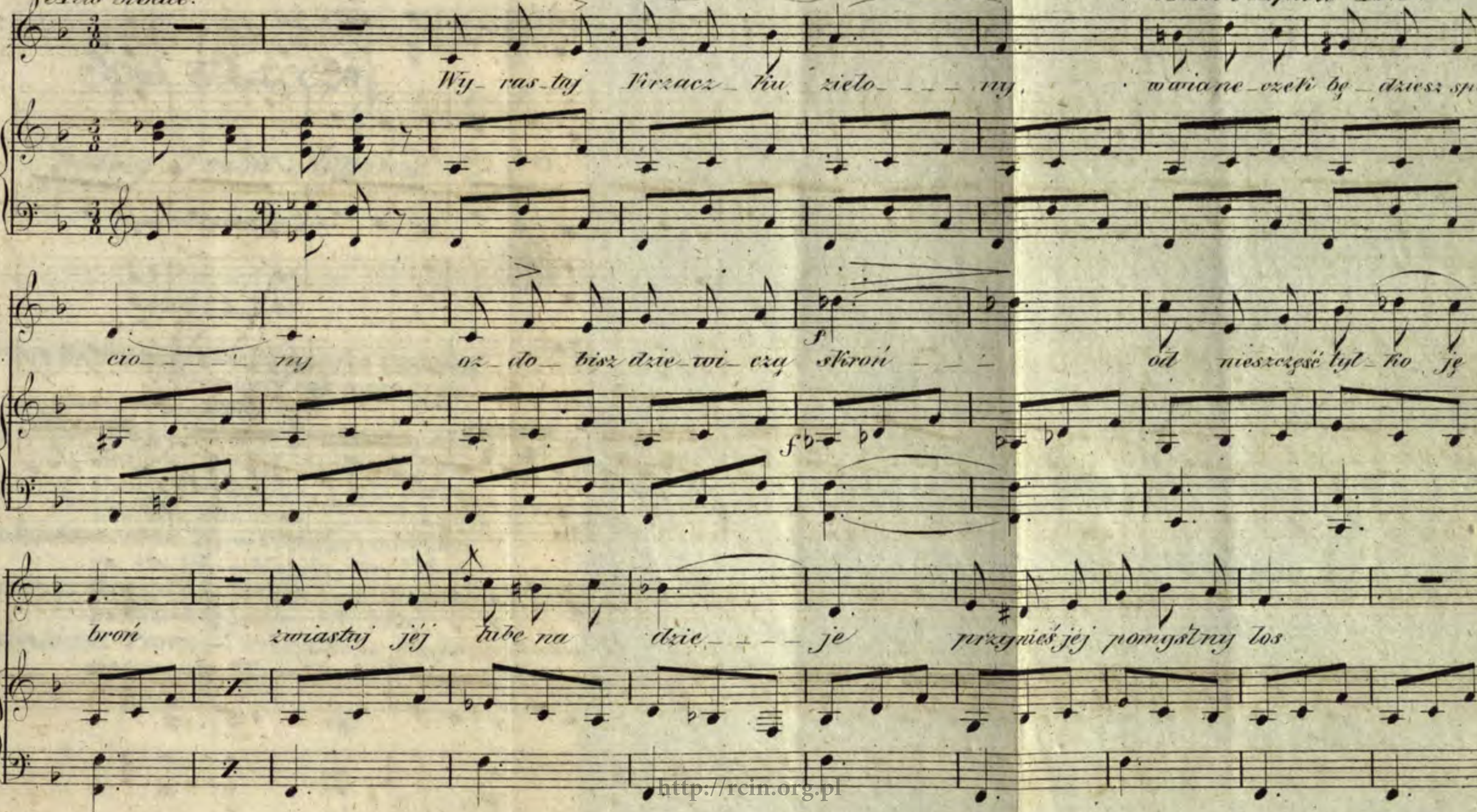



ralent.
Ona. Tempo 1mo
Mę_Ki mo_ie sieroć Słówkiem choć je_dném ciesz I co mo_wie wierz. Słysze jęki słysze głos. Widzę bladość
Dla mnie wpiersi twej Słówkiem choć je_dném ciesz I co mo_wie wierz. Siebie znam i móy los Znam wartość mych
U_czuć twych nie tay Słówkiem choć je_dnem ciesz I co mo_wie wierz. Cnoty me i móy los Znam to dobrze
ralent.
for.
ralent.
lic_ Czuję twóy smutny los Lecz nie wierzę nic.
lic_ Słyszę twóy jęk i głos Lecz nie wierzę nic.
znam. Lecz na twóy jęk i głos Czy ci wierzyć mam.
ralent.
for: Tempo
No 1wszy i 2gi
No 3ci.
pp
ff
Koniec.
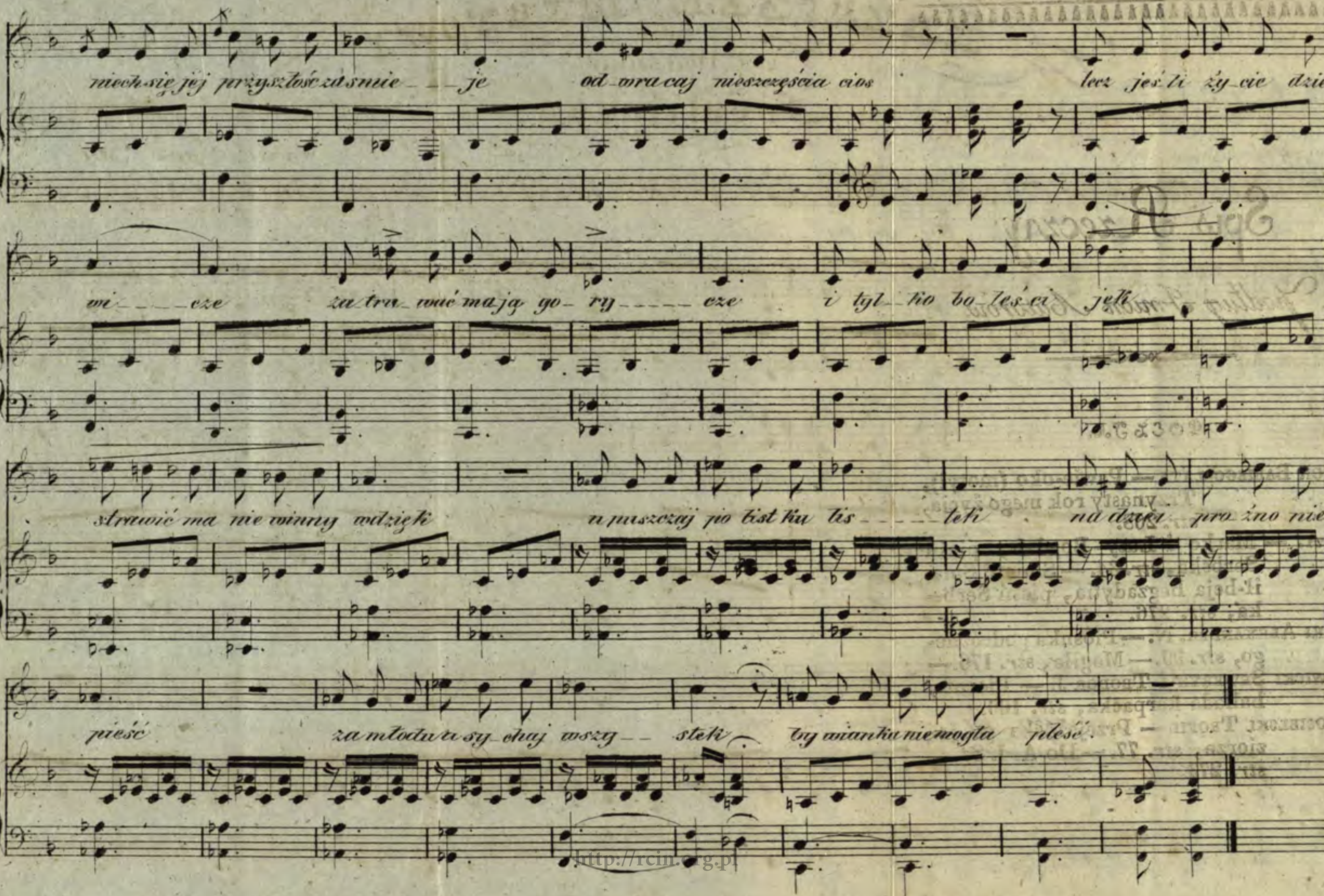
KRZACZEK MYRTOWY

z Muzyką

F. Wilczka.

Allo vivace. Słowa i Śpiew M.C.




niech się jej przyszłość zasnie_ _ _je od_wracaj nieszczęścia cios lecz jeśli ży_cie dzie_
wi_ _ _ _cze za_tru_wać mają go_ry_ _ _ _ _cze i tyl_ko bo_leś_ci jeśli
strawić ma niewinny wdzięk upuszczaj po listku lis_ _ _ _ _teli na dzień próżno nie
pieść za młodu u sy_chaj wszy_ _ _stek by wianku nie mogła pleść.

Spis Rzeczy
podług Imion Autorów.

POEZJA.

AUTOR BABIEGO-LATA — Pawie-oko (motyl), Trzynasty rok mego życia, *str.* 268.

B... A. — Marko i Luty-Bogdan, pieśń Serbska, *str.* 34. — Śmierć Smaił-beja Begzadytia, pieśń Serbska, *str.* 276.

BURSKI ALEXANDER. N. — Piosnka podróżnego, *str.* 99. — Mogiła, *str.* 176.—

DZIEWICKI SEWERYN i TEODOR J. — Piorun, ballada karpacka, *str.* 100.

NOWOSIELSKI TEOFIL — Przejażdżka po jeziorze, *str.* 77. — Do A. J. Sz.... *str.* 273.

Szabrański A. J. — Zamyślona, *str.* 1. — Nagroda śpiewaka, *str.* 126.—Pokuta Niniwy, *str.* 255.
Stanisław z Dzikowa. — Zegary, powieść, *str.* 184. — Pieśń wiosenna, *str.* 275.
Starzyński Stanisław Hr. — Do J. S.... *str.* 278.
Z... J. G. D. — z A. Puszkina, *str.* 181.
Z... B. — W Imienniku*** *str.* 79.
Zieliński Wiktoryn — Wyjątki z poematu Kobieta, *str.* 82. — Do mojéj gwiazdki, pieśń, *str.* 140.—Dzień dobry, pieśń, *str.* 266.

PROZA.

Anonim — Topielec, *str.* 186. — Matylda, moja piérwsza a razem i ostatnia miłość, *str.* 279.
Korwell Karol — Oto jest Królowa Francuzka, powieść, zasięgająca czasów piérwszéj ćwierci zeszłego wieku, *str.* 189.
Malecka Wanda — Ideały i Rzeczywistość, *str.* 103.
Sk... Fr... Hr. — Podróż Dunajem od Ratysbony do Wiédnia, *str.* 142.
Szabrański A. J. — Ecyn Gieraj, powieść historyczna, *str.* 38.
Wójcicki K. Wł.— Wysoki Zamek, powieść z 1594. *str.* 5. — Klecha, obraz, *str.* 88.

RYCINY.

Zamyślona, do str. 1.
Przejażdżka po Jeziorze, do str. 77.
Ideały i Rzeczywistość, do str. 103.
Topielec, do str. 186.
Pokuta Niniwy, do str. 255.
Matylda, do str. 279.

Muzyka mieszcząca się przy końcu.

Mazur, słowa A. J. Szabrańskiego, muzyka Józefa Nowakowskiego.
Krzaczek mirtowy, słowa M. C. muzyka Wilczka.